TRANSGRESJE

ANTOLOGIA

TRANSGRESJE ANTOLOGIA

Transgresje. Antologia opowiadań
pod redakcją Agnieszki Wolny-Hamkało

Wrocław 2014

© Copyright by the authors
© Copyright for this edition
by Towarzystwo Aktywnej Komunikacji

www.tak.net.pl

Wydanie I
Printed in Poland
Projekt okładki: Fabien Lédé
Ilustracje: Fabien Lédé
Korekta: Dobromiła Jankowska
Skład: 2BU STUDIO

ISBN 978-83-63945-02-2

Publikacja powstała w ramach projektu „Transgresje – międzynarodowa wymiana narracji”

TOWARZYSTWO AKTYWNEJ KOMUNIKACJI

WROCŁAW 2016
Europejska Stolica Kultury

Projekt realizowany jest w ramach programu “Promowanie różnorodności kulturowej i artystycznej w ramach europejskiego dziedzictwa kulturowego” współfinansowanego ze środków Mechanizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego 2009-2014 pochodzących z Norwegii, Islandii
i Liechtensteinu oraz ze środków krajowych.

Dofinansowane przez:

ICELAND LIECHTENSTEIN NORWAY
eea grants

PROMOWANIE RÓŻNORODNOŚCI KULTUROWEJ I ARTYSTYCZNEJ

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Spis treści

Agnieszka Wolny-Hamkało
Transgresje, dygresje, wstęp

Mikkel Bugge
Wraki

Ziemowit Szczerek
Koniec świata chce się zbliżyć

Natasza Goerke
J. Määttä: Zbrodnie doskonałe

Laila Stien
W drodze

Marek Bieńczyk
Albatros

Stefan Sprenger
Kaldakinn

Kristín Eiríksdóttir
Ziemia

Inga Iwasiów
Resztki

Halldór Armand Ásgeirsson
Racja stanu

Piotr Paziński
Wyprowadzka

Christine Glinski-Kaufmann
Wizyta strasznej pani

Þórarinn Eldjárn
Czekając na Rola

Grażyna Plebanek
Jestem u siebie, je suis chez moi, home, sweet home

Biogramy autorów

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

Transgresje, dygresje, wstęp

Transgresja jest funkcją literatury postrzeganej jako wyzwanie i eksperyment, jako czynność wysoce ryzykowna i progresywna. Literatura to bieg w dół kolorowym wzgórzem, kiedy nie wie się nic o lądowaniu. Tworzenie nowych symboli, kiedy w obiegu są stare. Wytrącanie z myślowych przyzwyczajeń, kiedy przyzwyczajenie jest siłą utrzymującą w ramach całe narody, państwa, kanony. Literatura to praca na systemie komunikacji – dezintegracja systemu, czujna łobuzerka. Trawestacja przysłów, prześwietlanie klisz, druzgotanie kalek. Wreszcie – testowanie i przekraczanie wszelkich granic: obyczajowych i formalnych. To jeden z niewielu przywilejów, jakie ma artysta: łamanie tabu, wywracanie na nice pojęć, językowy rozbój w biały dzień. W nowoczesnych społeczeństwach pisarz w pewien sposób pełni funkcję szamana – pozostając na marginesie, przetwarza odpady, brudy kultury. Ale przekroczenie dotyczy go także bezpośrednio: tworząc, schodzi do piwnic, w których ukrył ścierwo, świństwa, upiory, a one aż się trzęsą, żeby znów zacząć mu towarzyszyć. Wywoływanie duchów jest niebezpieczne, albowiem hologram z zaświatów może nie chcieć wrócić w mniej lub bardziej nieprzyjemny niebyt. Cóż, nie ma sztuki bez ryzyka. Zależy nam, żeby projekt „Transgresje" uwypuklił tę ścieżkę, tę funkcję literatury. Pochwalił ją za te cenne, codziennie, małe rebelie, bez których bylibyśmy – jak pisała Susan Sontag – unieruchomieni w kalekich tożsamościach. Literackie transgresje pomagają nam dostrzec i zintegrować inność, pomagają nadal silnie przeżywać sztukę, sprawić, że pozostaje aktualna i dotkliwa. Zaprosiliśmy kilku pisarzy, żeby z nami bliżej przyjrzeli się i zbadali tematy rozmaitych przekroczeń. Grażyna Plebanek, Janusz Rudnicki, Ziemowit Szczerek, Marek

Bieńczyk, Inga Iwasiów, Piotr Paziński dokonują transgresji na różnych poziomach, ale łączą ich czujność i odwaga, indywidualność i wyrazistość. Pokazują nam nowe ścieżki rozumowania, nowe melodie języka, obszary, w których jeszcze nas nie było.

Słowo transgresja mieści w sobie wiele znaczeń – w kulturze transgresji dokonuje geniusz, wykraczając poza rozmaite stałe. Dokonuje on aktu gwałtownej kumulacji danych i wyraża się w sposób olśniewający. Wytwarza ten naddatek niezbędny do wkroczenia na wyższy poziom. Ale istnieje także transgresja lodowca, zwana awansem lodowca, a to już pojęcie z pola glacjologii. Podczas transgresji lodowiec przesuwa swoje „czoło" ku przodowi. To moment, kiedy przybywa więcej lodu, niż go ubywa, mamy więc do czynienia – jak w przypadku naszego geniusza – z bilansem dodatnim. Transgresja morza z kolei to stopniowe zalewanie powierzchni lądu. Obrazek jak z diariusza małego katastrofisty: morze jako twór organiczny i amorficzny niezauważalnie pochłania ląd, pozbawiając nas miejsca do życia. Ciemna symbolika rozbudza wyobraźnię. Ale znów – to przekroczenie dla nas może nie najszczęśliwsze, jednak jakże miłe dla morza, które powoli, ale permanentnie kolonizuje Planetę. Odejdźmy od malowniczych, budzących grozę obrazów i wróćmy do tej małej, niecierpliwej istotki, jaką jest człowiek. W psychologii i filozofii transgresja oznacza przekraczanie granic biologii (genetyka), osobowości, a także norm społecznych. I tu wracamy do naszego geniusza, naszego niespokojnego artysty. Stoi w oknie mieszkania i patrzy na śnieg jak bohater nudnawej, ale niepozbawionej uroku powieści Orhana Pamuka. A może jedzie pociągiem, jest kobietą i – jak Anna Karenina – nie może się skupić na książce? Podejmuje jakąś decyzję. W jego mózgu odbywa się proces chemiczny, którego nie potrafimy nazwać.

Z Ziemowitem Szczerkiem można przekroczyć wiele granic. Podróżowanie z nim ma w sobie urok nocy spędzonej na rozmowie z kimś, kto jest tak bezpośredni, spontaniczny, że nas samych mimochodem otwiera. Azerbejdżan, Tbilisi, Morze Czarne, Bułgaria, Macedonia, Gruzja, Armenia, Chiatura, Gori – te obco brzmiące nazwy tkwią w jego prozie niczym szlachetne kamienie. Jest w nich coś baśniowego i zakulisowego – to tropiciel niezwykłości, których inni nie widzą, bo mają oczy zwrócone na Zachód, bo idą tam, gdzie gustownie i kolorowo. Opowiadanie „Koniec świata chce się zbliżyć" ma w sobie najlepsze cechy jego pisarstwa: lekkość gawędy, uważność reportażu, potoczność i chłopacki liryzm.

W opowiadaniu Piotra Pazińskiego objawia się jego słynna miłość do książek. Bohater ma dla nich tyle czułości! I wszystkie jego marzenia koncentrują się w tym punkcie: zbadać odnaleziony nagle księgozbiór, posiąść choćby jego część. Opisując wyprowadzkę/konfrontację z robotnikami, udało mu się nie tylko trafnie i dowcipnie oddać ludzkie charaktery, ale zbudować atmosferę zagrożenia i zagubienia. Dezorientacja bohatera, jego niepewność co do rozpoznań udzielają się czytelnikowi. Robotnicy z opowiadania Pazińskiego są nieobliczalni i irracjonalni, wykonują dziwne gesty i mają swoje tajemnice. Są jednocześnie złowrodzy i śmieszni – jak u Bułhakowa.

Opowiadanie Nataszy Goerke jest jak bieg kolorowym wzgórzem – turlanie się dla stu dwudziestu zawrotów głowy, przygodowa jazda bez trzymanki. Ile może się dziać w krótkim tekście o autorce kryminałów, która pisała o postaciach od początku martwych? Ile można otworzyć szufladek, tropów, fantastycznych obrazów? To mistrzowski tekst, który jest jak czarodziejska budowla architektoniczna z tysiącem drzwiczek, modułów i niespodzianek. Goerke buduje cudowny świat pełen osobliwych ogrodów (w formie ośmioboku), czarnych łabędzi (które na widok

ludzi stają się białe), cieni kieliszków i pianin. W jej dowcipie, który skanuje cały tekst od góry do dołu – są trafna obserwacja społeczna, fantazja i ciepło.

Niektóre antologie tworzą spójną narrację, wszystkie służą jakiejś idei bądź historii i pracują nad nią. Opowiadania dokładają, cegiełka po cegiełce, swoje energie i rytmy, tworząc solidne domostwo. Inne są bardziej anarchistyczne, stawiają na wolność i różnorodność, odsyłają w wielu kierunkach, pokazują wielość ścieżek i szlaków. Te lubię najbardziej. Oto obok reportażowej prozy Szczerka dostajemy oldskulową fantasy Christine Glinski-Kaufmann. Jej bohaterce śni się prababka, właściwie – przychodzi do niej w nocy, jak to się dzieje w świecie widm. Jest charyzmatyczna i pełna energii. W ogóle: niezła z niej manipulantka – to się obraża, to przymila. Swój prestiż buduje przy pomocy Jimiego Hendrixa i Johnny'ego Casha, który też wpada ze spontaniczną wizytą do (pra)wnusi. Prababka ma konkretną sprawę do załatwienia i szybko przechodzi do rzeczy. Ale w „Transgresjach" liechtensteińska fantasy odsłania też inną twarz. Jak ambitna to może być literatura, pokazuje „Kaldakinn" Stefana Sprengera. Każde państwo ma swoje klasyczne literackie opowieści z dreszczykiem. W Polsce najlepiej znane są przekłady mrocznych opowiadań pisarzy rosyjskich i niemieckich. Ma się rozumieć poza Edgarem Allanem Poe. Tymczasem „Kaldakinn" ani na moment nie spuszcza z tonu – świetnie napisany, intensywny i tajemniczy – ma w sobie także pewien alpejski chłód, namiętność do szerokich, ostrych krajobrazów oraz ruchomy zoom, przenoszący co chwilę uwagę czytelnika od detalu do pełnego planu. A wszystko to na granicy humoru i gotyckiej, szlachetnej grozy. Wykreowany przez Sprengera Mori, zaklęty zmarły, z pewnością dołączy do galerii słynnych straszydeł zaludniających naszą wyobraźnię. Czy może być mocniejszy literacki duet niż miłość i śmierć, eros i thanatos, zmysłowość i szczątki, resztki? „Resztki" to tytuł

przejmującego, pięknego opowiadania Ingi Iwasiów. Pisarka z niespotykaną precyzją i zmysłowością opisuje trudną geometrię miłości. Abstrakcyjne liryczne rozważania zastępuje tu konkret – posunięcia ciała i języka, budowanie wspólnych obszarów, przekraczanie granic i ucieczki na bezpieczne pozycje. Opór, jaki stawiają dojrzałość i odśrodkowa siła, schopenhauerowski pęd ku życiu. Powstawanie nowego związku w „Resztkach" dalekie jest od słodkich obrazów, które znamy z przekazów popkultury: to niepozbawiony piękna, ale trudny poród, wykluwanie się wiosny spod ścierniska i zgnilizny. Nowe plemię idzie spod ziemi – chwiejne jeszcze i nieszczelne. Nie wie jeszcze, czy dokądkolwiek dojdzie. Cel jest niejasny, ale może jedyny sensowny? Jedyny punkt, w którym perspektywy się zbiegają.

Takie pętle, takie wpadanie na siebie ludzi (i języków) – inaczej pokazuje Grażyna Plebanek w quasi-reportażowym opowiadaniu „Jestem u siebie, je suis chez moi, home, sweet home". To tekst o kilku kobietach, z którymi los zetknął bohaterkę – w różny sposób: poprzez tekst i w potocznym życiu. Każda z nich ma swoją historię, ta zaś toczy się na planie wielkiej historii – okrucieństw ludobójstwa w Afryce. Jest także Rwanda – ukryta bohaterka tego tekstu: magnetyczna i zmysłowa, ale także groźna – co jakiś czas pokazuje swój ciemny rewers, mimo to pozostaje punktem odniesienia bohaterek, mitycznym domem, który kobiet noszą w sobie, który pozostaje żywy w języku. To przechodzenie na inny język, momenty zawieszenia pomiędzy francuskim, polskim, angielskim pokazują jasne oblicze narratorki – nowej Europejki. To nie jest nastawiona na konsumpcję i przyjemność turystka, raczej wrażliwa obserwatorka, antropolożka, czynna i uważna, gotowa zaangażować się, zrezygnować z siebie, przejść na inny język.

Domy noszą w sobie także bohaterowie „Wraków" Mikkela Buggego. Są takie opowiadania, które od razu nas porywają, dzięki sile sugestii i intensywności środków wyrazu

przenoszą do nieznanych miejsc i zakorzeniają nas tam głęboko. To jeden z takich tekstów. Domy stojące samotnie na brzegu morza, surowe, skandynawskie krajobrazy, przygięta i wysuszona przez wiatry roślinność to dekoracje, w których bohaterowie usiłują znaleźć przyczynę potężnych zniszczeń, jakim ulegają domy. Palą papierosy, uprawiają seks, zwiedzają wraki, rozmyślają o przeszłości. Tajemniczy podziemny ruch, jakaś nieznana siła może się uaktywnić w każdej chwili. Atmosfera zagrożenia i bezradności podkreśla ponure, wypalone życie bohaterów.

Zresztą, co my wiemy o cudzym życiu? Zwykle mylimy się nieopatrznie, pragnąc dla kogoś tego lub owego, przykładając własną miarę, nawet wtedy, kiedy jesteśmy blisko – jak bracia w opowiadaniu Halldóra Armanda Ásgeirssona. Bohaterem tego równo skrojonego, pięknie wyważonego tekstu jest asystent prezydenta Islandii – jego skrupulatne czynności, rola, której podporządkował wszystko. Oto życie upływające na wypełnianiu obowiązków, których wymaga urząd. Ásgeirsson każe nam zastanowić się nad tym, co potocznie nazywamy „sensem życia" lub jego „pełnią", nad próbami reżyserowania cudzego życia i powagą, z jaką niektórzy grają swoje role. Jego bohater jest jednocześnie czarująco staroświecki i bohaterski, wzbudza współczucie i szacunek.

Jak mało wiemy o innych ludziach, także tych żyjących obok – jak nasi bracia, ojcowie, córki matki – pokazuje „Ziemia" Kristin Eiriksdóttir: przejmujące studium charakteru młodej Kolli. Poznajemy ją na imprezie u przyjaciółki i obserwujemy przez jakiś czas. Życie nastolatków pisarka przedstawia w pełnym świetle – bez środków znieczulających i niedomówień: ludzie bywają okrutni i głupi, a życie z nimi to walka o władzę lub próba utrzymania pozycji. Moment nieuwagi, niewłaściwe słowo, wyjście poza konwencję może kosztować utratę pozycji, poniżenie, a w konsekwencji samotność i depresję.

Ale są i tacy, którzy jakoś sobie radzą, sprawiają sobie małe, ale przecież nieskończenie ważne przyjemności, które utrzymują ich na powierzchni. Hörður, historyk informatyki, bohater opowiadania Þórarinna Eldjárna, poluje na niechciane, zdezaktualizowane książki ze swojej dziedziny. To, co dla innych stanowi balast, śmieć – dla niego jest skarbem. Wplątany w sieć rodzinnych historii i tajemnic, próbuje uratować mniej lub bardziej absurdalne wartości. Jego zgoda na stan rzeczy, łagodne próby kreowania własnego życia i cierpliwa, sekretna miłość – wzbudzają czułość i sympatię.

Podobnie jak niezwykła relacja Joanny i Bohdana – bohaterów egzystencjalnego, smutno-pięknego opowiadania Marka Bieńczyka „Albatros". Historia nikłego, niemal nieistniejącego, z drugiej strony jakby mistycznego związku małej dziewczynki i jej opiekuna-przyjaciela staje się na przemian istotna i zupełnie nieważna, powracając jako zatarte wspomnienie z przeszłego życia. Dziwna jest zmysłowa intensywność tej prozy, gorzka i nieco odrealniona jak nasze historie z dzieciństwa, w których mieszają się wstyd i zachwyt, odwaga i lęk, przeczucie szczęścia i pierwsze, duszne myśli o śmierci. Bieńczyk potrafi te wszystkie sprzeczne emocje pokazać w jaskrawych kulminacjach. Uwodząca jest nieoczywistość tej prozy, niejednoznaczności, domysły, niedomknięte ścieżki, które przechodzą w niebyt miękko jak samo życie.

Jego nieznośną lekkość i ulotność pokazuje także „W drodze" – opowiadanie Laili Stien – tekst, który trudno zapomnieć. Pomysł jest prosty: kobieta i mężczyzna jadą samochodem do szpitala, żeby dowiedzieć się, co jej jest. Schudła tak bardzo, że zdjęła obrączkę, żeby jej nie zgubić. Pozornie na planie przygody niewiele więcej się dzieje: jadą, wyludnione, surowe krajobrazy Skandynawii podkreślają to, co dzieje się w klaustrofobicznej przestrzeni samochodu: czułe gesty, wspomnienia, lęk. Stien udało

się w oddać intensywność chwil podczas oczekiwania na ostateczne rozstrzygnięcie. Piękno i groza życia, które powracają w nowych odsłonach, jakby chciały jeszcze raz – ze zdwojoną siłą – ukazać swoją głębię, zanim znikną.

*

Wszystkie zamieszczone w tym tomie opowiadania powstały specjalnie na potrzeby projektu „Transgresje – międzynarodowa wymiana narracji" i były prezentowane na dedykowanych spotkaniach w Polsce, Norwegii, Liechtensteinie i na Islandii. Autorskimi ilustracjami skomentował je Fabien Lédé.

MIKKEL BUGGE

Wraki

Po powrocie z urlopu rodzina Karlsenów nie mogła tego pojąć. Ich położony na końcu przylądka czerwony domek z lat pięćdziesiątych ścisnęło i zamieniło w stertę drewna z powybijanymi szybami, wokół zaś walały się ubrania, fotografie i resztki mebli. Dach został później znaleziony na pobliskich skałkach widocznych w czasie odpływu. Musiał go zerwać wiatr. Ale jaki? Przecież prawie nie wiało.

Następny był dom Johansenów. Wnuk po synu, który go przejął, kiedy stara Johansenowa miała wylew, był entuzjastycznie nastawionym trzydziestotrzylatkiem z planami renowacji piwnicy i powiększenia dobudówki, ale przyjeżdżał zaledwie na kilka tygodni w lipcu, a z czasem nawet i to nie. Dom stał na końcu drogi tuż obok łanu krzaczków moroszek i w zimowej połowie roku mało kto tu zaglądał. Na dom, a właściwie na jego resztki, natrafiła Rita Knutsen podczas przedpołudniowego spaceru z najmłodszą córką w nosidełku. Póki córeczka się nie obudziła i nie zapłakała, Rita jak skamieniała wpatrywała się w przewrócony komin, którego wylot szczerzył się w jej stronę. Zatelefonowano do wnuka. Powiedział, że z miejsca rusza na północ, ale od tego czasu ślad po nim zaginął.

Wezwano mnie dopiero wtedy, gdy została zgnieciona willa Gabrielsenów. Znajdowała się na wydzielonej, nachylonej ku północnemu zachodowi działce, dogodnej do obserwacji nigdy niezachodzącego słońca. Katastrofa nastąpiła w środku nocy. Mąż i żona zginęli w mgnieniu oka, natomiast synek przez wiele godzin leżał pod gruzami i żył jeszcze, kiedy na miejscu pojawiła się straż pożarna. Wołał mamę i tatę. Starali się zlokalizować chłopca wśród ruin, ale zanim tam dotarli, głos ucichł. Znaleźli go godzinę później i wtedy nie dało się już nic zrobić.

Skontaktowała się ze mną kierowniczka nadzoru budowlanego w gminie Maria Brannbu. Studiowaliśmy razem inżynierię na uniwersytecie w Trondheim. Kiedy telefon zadzwonił, byłem w pracy. Mierzyłem właśnie stopień

nasłonecznienia w sadzie w zachodniej części Oslo razem z nielicencjonowaną agentką nieruchomości, nieco rozczarowaną tym, że odebrałem.

– Zaskakująco łatwo cię dorwać – odezwała się Maria tonem wskazującym, że nie do mnie pierwszego dzwoni.

Od lat nie słyszałem jej głosu, ale od razu rozpoznałem, że wolałaby szybko przejść do rzeczy.

– Potrzebujemy oszacować szkody – powiedziała i naszkicowała sytuację.

Słuchając jej, wędrowałem w cieniu starych jabłoni i czułem ulgę na myśl, że się na chwilę od tego wszystkiego oderwę.

Po prostu zniknę.

Wczesnym rankiem tydzień później leciałem w promieniach słońca na północ. Wyspy wzdłuż wybrzeża dziurawiły morze za oknem. Gdzieniegdzie fale biły pianą o podwodne szkiery. Przypomniał mi się rejs dookoła świata, który po ogólniaku planowaliśmy z kolegami. Mieliśmy pożeglować via Kanary przez Atlantyk na Karaiby, a potem zbadać najwięcej jak się da wyspiarskich państewek. Odłożyliśmy pieniądze i przeznaczyliśmy na to cały rok, ale kilka dni przed podniesieniem żagli zadzwonił Kapitan i powiedział, że jego dziewczyna jest w ciąży. Wściekłem się i tego samego dnia wieczorem wsiadłem w samolot do Dżakarty. Przez pół roku bez planu włóczyłem się z plecakiem po Indonezji i Malezji. I chociaż udało mi się zaliczyć kilka rejsów między tamtejszymi wilgotnymi i bujnymi wyspami, to nie było to samo. Po powrocie spotkałem Kapitana w sklepie RIMI. Dziewczyna straciła dziecko, a koszyk Kapitana wypełniały gotowe dania.

Wylądowaliśmy z głuchym tąpnięciem, a grupa pasażerów w dresach głośno zaklaskała. W hali przylotów dosłyszałem, że byli to siatkarze, którzy wygrali turniej w Szwecji.

Miałem wrażenie, iż wszyscy na pokładzie się znają i cieszą, że wreszcie dotarli do domu.

Podczas jazdy samochodem przesuwałem wzrokiem po stromych zboczach gór i skupiskach domów wczepionych w skrawki ziemi tuż nad brzegiem morza. Nigdy przedtem nie byłem w tej części kraju i starałem się wchłonąć jak najwięcej. Tu i tam pojawiały się nowe budynki w formie willi i nieco starsze domy w stylu nordlandzkim o podłużnej, wysmukłej sylwetce, przeważały jednak kwadratowe domki. Przypominały rozsiane w przytłaczającym krajobrazie klocki.

Podróż trwała dłużej, niż zakładałem. Miałem ochotę na kawę, lecz od lotniska nie natrafiłem na stację benzynową.

Nagle wzdrygnąłem się, słysząc ostry pisk.

Wystąpiło zmęczenie. Zrób przerwę – wyświetliło się na monitorze.

Wjechałem w najbliższą zatoczkę dla autobusów. Skąd komputer pokładowy wiedział, że jestem zmęczony? Czy wskazał na to mój sposób prowadzenia? Zjechałem na zły pas, czy może za bardzo zbliżyłem się do skraju drogi? Odpiąłem pas i wysiadłem z samochodu. Czyżby zamontowano tam kamerę, która rejestrowała pracę moich źrenic?

Zadrżałem z zimna na wietrze. Kawałek dalej w kierunku jazdy, w zarośniętym ogrodzie stał dom z wykrzywioną kalenicą i obluzowanymi szalówkami. Linka na maszcie uderzała w metal, wydobywając ostry, pusty dźwięk, a dwa okna na piętrze wyglądały jak mroczne oczy. Niewiele spałem poprzedniej nocy. Nasza córka się obudziła i przyszła do gościnnej sypialni, w której leżałem, z pytaniem, co teraz robi święty Mikołaj. Umościłem ją w swoim łóżku i opowiedziałem o biegunie północnym. W miękkim polarowym ubranku przypominała w dotyku niedźwiadka. Nucąc kołysankę mamy trolli, smyrałem ją po brzuszku, póki nie zasnęła. Leżałem potem, nie śpiąc i rejestrowałem bezwiedne ruchy jej ciałka.

Kiedy przyjechałem, Maria opierała się o metalową barierkę ochronną na parkingu i paliła papierosa. Nie widziałem jej prawie piętnaście lat. Nie zmieniła się wiele, tylko twarz stała się bardziej kanciasta. Zauważyła mnie, przydeptała niedopałek i podeszła.

– Dobrze cię widzieć. Jak podróż?

Uściskaliśmy się. Nawet w grubej puchowej kurtce jej ciało było twardsze, niż zapamiętałem. Ale co właściwie o nim wiedziałem? Czy ściskaliśmy się tak w lokalach Zrzeszenia Studentów? W stołówce? Po wykładach? Byliśmy kumplami. Za to teraz uwiesiła się na mnie. A może to ja uwiesiłem się na niej?

Usiedliśmy w pokoju konferencyjnym na parterze ratusza. Na ścianie wisiały portrety poprzednich wójtów aż do przełomu wieków. W połowie lat osiemdziesiątych wślizgnęła się tam jakaś kobieta, poza tym widać było głównie błyszczące łysiny i siwe włosy. Wątpię, czy w tym pomieszczeniu cokolwiek zmieniono od czasów budowy. Lamperia pożółkła, w rogach łuszczył się tynk, świetlówki nad nami świeciły ostrym blaskiem, a jedna z nich migotała.

– Wszyscy są oczywiście wystraszeni, no, chyba rozumiesz.

– A ludzie myślą, że co się stało?

Odchyliłem się na oparcie krzesła, które ugięło się z nieprzyjemnym skrzypnięciem.

– Nie mają pojęcia i to właśnie jest problem.

– Domy nie walą się same z siebie – zauważyłem. – Zawsze znajdzie się jakieś wyjaśnienie, chociaż może nie takie, jakiego by sobie życzyli.

Dopiero teraz zauważyłem, że manipuluje przy paznokciach. Zdrapywała lakier i obrywała skórki. Czerwień z kciuka częściowo już zeszła, środkowy dalej płonął ogniem.

– Najważniejsze, żebyśmy znaleźli wyjaśnienie – powiedziała, zmieniając pozycję.

Zacisnęła usta.

– Na początku zatem prosimy o ocenę ryzyka i szacunek zasięgu, jak to ustaliliśmy w rozmowie telefonicznej.

Kiwnąłem głową. Oczekiwała, że będę miał pytania? Wcisnąłem palec w dziurkę brązowego plastikowego uchwytu wokół białego, karbowanego jednorazowego kubka i upiłem łyk słabej kawy.

– W takim razie zaczniemy od jutra rana – rzuciłem.

Dostałem teczkę. Ze schodów przed ratuszem wskazała mi hotel. Budynki musiały zostać zbudowane jednocześnie, bo kształt miały podobny i oba oblicowano płytami z takiego samego szarego kamienia. Młoda dziewczyna z recepcji odprowadziła mnie aż do drzwi pokoju na drugim piętrze i zaklinała, żebym, jakby co, koniecznie się odezwał. Pokój był mały, lecz wyposażony we wszystko, czego potrzebowałem. Położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy.

Kiedy się obudziłem i zszedłem do recepcji, dziewczyny nie było. Nikogo tam zresztą nie było. Szukałem czegoś do zjedzenia, ale jedynym miejscem otwartym poza sezonem turystycznym okazała się stacja benzynowa. Zjadłem kiełbaskę i popiłem dwiema dietetycznymi oranżadami, a potem wróciłem do pokoju w hotelu. Skupiłem się na czytaniu teczki, kilkakrotnie sprawdziłem komórkę, ale żona nie przysłała żadnej wiadomości. Przypomniało mi się, jak minionego wieczoru stała przy kuchennym stole i wycierała do sucha od dawna osuszoną patelnię. Spytała, dlaczego to mówię akurat teraz, tuż przed wyjazdem. Też mi nowina. Czy uważam, że jest naiwna? Nie mam na tyle jaj, żeby powiedzieć, o co naprawdę chodzi?

I co na to rzec?

Że nie wiem, czy ją jeszcze kocham?

I że mi z tego powodu przykro?

Z pewnością powinienem wymyślić jakąś aferę z kobietą.

Byłoby jej łatwiej.

Tyle że nie miałem gotowej odpowiedzi.

Więc tylko wycierała bez ustanku tę piekielną patelnię.

Do głębi sfrustrowana.

Toteż stawiała bez przerwy te same pytania, a ścierka na brzegach coraz bardziej czerniała.

Trudno mi było skoncentrować się na teczce i być może nie miało to aż takiego znaczenia, skoro następnego dnia i tak miałem zobaczyć te miejsca na własne oczy.

W którymś momencie musiałem przysnąć, bo śniło mi się, że jestem na imprezie z dawnymi kolegami ze studiów. Nagle znaleźliśmy się nadzy na wysepce na środku rzeki Nid, każdy z butelką Jägermeistra. Potem postanowiliśmy wracać do domu, zaczęliśmy szukać drogi i zrozumieliśmy, że to nam się w życiu nie uda, bo nie mieliśmy pojęcia, gdzie mieszkamy.

– Te ślady osiadania muszą być stare. Pierwsze pęknięcia i szpary mogły powstać wiele dziesiątków lat temu – powiedziałem, kopiąc lekko jedyną krokiew, która wystawała ze sterty resztek czerwonego domu z lat pięćdziesiątych.

Przebywaliśmy tu od godziny. Przyjrzałem się temu, co udało mi się odnaleźć z konstrukcji i elementów nośnych. Wiele krokwi spróchniało, a drewno generalnie robiło wrażenie przegniłego.

– A można było tego uniknąć?

Maria paliła papierosa nieco z boku, jakby nie chcąc deptać po resztkach desek, choć miała na nogach gumowce .

– Domyślam się, że ci, co tu mieszkali, czasami mogli to słyszeć.

Rozejrzałem się po wystających z morza górach, które przypominały grzbiety potężnych bestii.

– Co?

– No, coś jakby trzeszczenie. Tu trzaśnie, tam trzaśnie, może gdzieś w domu coś skrzypiało, z czasem te trzaski były liczniejsze, ale ludzie się chyba do nich przyzwyczaili.

Maria zgasiła papierosa i zrobiła kilka kroków w moją stronę. Przez kuchenne okno w sąsiednim domu obserwowała nas starsza kobieta, a w górze przy drodze zebrał się mały tłumek. Podszedłem do niej i spytałem cicho:

– Wiesz może, czy przeprowadzali w tym domu jakieś renowacje?

– Renowacje?

– No, wstawiali okna dachowe albo burzyli ściany nośne, takie rzeczy.

Roześmiała się lekko, zanim odpowiedziała.

– Rozejrzyj się. Wątpię, czy w całej wiosce znajdziesz jedno okno dachowe. Po co to komu? A co do burzenia ścian nośnych, nie, bardzo to dziwnie brzmi.

– A co z rodziną, do której należał ten dom?

– Karlsenowie? Wyprowadzili się do Tromsø – odparła Maria.

Kiedy jechaliśmy do domu Johansenów, zaczęło padać. Włączyłem wycieraczki. Zanim tu przyjechałem, wyobraziłem sobie zapadłą, niemal opustoszałą wieś. Jednak domy wokół nie tylko wyglądały na zamieszkałe, ale i były zadbane. Zaledwie kilka pokrywał stary eternit lub zardzewiała falista blacha. Nie dostrzegłem ani spróchniałych desek, ani wybitych szyb. Trawniki były świeżo skoszone, ogrody zdobiły krasnale i wypielęgnowane kwiatowe rabatki. Większość domów niedawno malowano. W wielu miejscach pod okapem wisiały suszące się ryby, a nad drzwiami wejściowymi pyszniła się płaskorzeźba błyszczącego orła.

– Wczoraj wieczorem pewnie nie dostałeś nic do jedzenia, co?

– Owszem, zjadłem na stacji benzynowej.

– Chodź dzisiaj na obiad do mnie. W tym tygodniu dzieci są u ojca – dodała Maria.

Dom Johansenów został ściśnięty do środka, jak to opisano w teczce. Zaparkowaliśmy i wyszliśmy z samochodu. Ta ruina wyglądała dziwniej, niż przypuszczałem. Duża połać dachu przykrywała resztki salonu, wystawał jedynie koniec brązowej zniszczonej kanapy. Po drugiej stronie leżał stary kuchenny zlew otoczony skorupami porcelany. Kiedy podszedłem bliżej, zorientowałem się, jak silne działało tu ciśnienie. Ciężki żeliwny piec został wyrzucony wiele metrów w głąb pola moroszek. Przynajmniej trzy elementy nośne konstrukcji musiały ustąpić równocześnie. Północna krokiew chyba się chwilę opierała, a potem i ona się złamała, pociągnęła cały budynek prawie o metr w swoją stronę i upadła.

– Kiedy mieliście tu ostatnio porządny sztorm? – spytałem.

Maria chwilę się zastanawiała.

– Ostatni był „Terje”, w listopadzie.

Myślałem, że to wszystko, i odwróciłem się, ale ciągnęła dalej.

– Przedtem mieliśmy „Dagmar” i „Kårego”, ale „Odvin” to ostatni duży, który ludzie zapamiętali. Porwał kilka dachów ze stodół i wiat autobusowych.

– A to się wydarzyło później?

– Tak, dużo później.

Użyłem łopaty i łomu, by usunąć dach i zbadać drewno pod spodem. Nie było ściemniałe ani mokre, wykazywało niewielkie miejscowe zapleśnienia. Wbiłem w belkę scyzoryk. Wszedł zaledwie na kilka milimetrów. W pozostałych drewnianych elementach nie znalazłem pleśni ani innych uszkodzeń.

Kiedy postanowiliśmy z żoną kupić letni domek, poszukiwaliśmy go przez kilka lat. Z żadnego nie była w pełni zadowolona. Przeszło nam koło nosa sporo okazji. W końcu zgodziliśmy się oboje na mały domek z międzywojnia stojący w głębi zatoczki oddalonej o godzinę drogi od Oslo. W nocy przed terminem przelania pieniędzy żona obudziła mnie i zażądała, żebyśmy pojechali tam ostatni raz przed podjęciem decyzji. Powiedziałem, że już się zdecydowaliśmy, i że to nie ma sensu, ale ubrała się i niecałą godzinę później staliśmy na wejściowych schodkach. Świtało. Zachciało jej się zejść do piwnicy. Nie protestowałem i po otwarciu klapy znaleźliśmy się w prymitywnej ziemiance.

– Chcesz, żebym coś sprawdził? – spytałem.

– Nie, nie trzeba – odpowiedziała żona, patrząc przed siebie.

W świetle latarki wydawało się, że się uśmiecha. Nie potrafiłem nie zauważyć, jak jej loki ślicznie obramowują twarz. Pochyliłem się i ją pocałowałem. Odskoczyła i krzyknęła z bólu. Nastąpiła na gwóźdź, który przebił podeszwę gumowca i wszedł w miękką skórę podbicia. Z początku nie wiedziałem, co robić, ale za zamrażarką znalazłem butelkę rumu Captain Morgan, który zdezynfekował ranę i osłabił ból.

Sam łyknąłem go kilka razy.

Położyłem sobie jej stopę na kolanach i delikatnie gładziłem.

Wyciągnęła się i mnie pocałowała.

Przysunąłem się.

Rozebraliśmy się nawzajem.

Kilka miesięcy później byliśmy w ciąży.

W drodze do willi Gabrielsenów Maria spytała, czy zgodzę się pójść z nią na filiżankę kawy do Eldbjørg Lien, znajomej starszej pani, która mieszka przy szosie, w tanim domu,

jakie budowano po wojnie z państwowego kredytu mieszkaniowego. Zaparkowałem przed starym golfem, który tam stał. Kiedy podeszliśmy do drzwi, Maria weszła bez pukania. Eldbjørg okazała się żwawą reumatyczką z siwymi loczkami, ubraną w zielony sweter w ciapki obszyty czerwoną tasiemką. W saloniku było gorąco. Na ścianach wisiały rodzinne fotografie. Na jednej z nich przed domem ustawili się trzej chłopcy w sztruksach z fryzurami z lat siedemdziesiątych. Obok to samo ujęcie kilka dekad później. Łatwo było rozpoznać chłopięce twarze w męskich rysach. Dwóch z nich trzymało w ramionach niemowlaki, a mniej więcej pięcioletnia dziewczynka wybiegała z kadru.

– To Anita – objaśniła Eldbjørg, wskazując ją palcem – Była w reprezentacji siatkarskiej, ale uszkodziła kostkę i musiała odejść. Potem przez pół roku mieszkała u mnie. Zwykle grałyśmy w karty i piłyśmy czerwone wino. Właściwie nie lubię czerwonego, ale mój lekarz rejonowy, Polak, powiedział, że powinnam wypijać kieliszek dziennie.

– A co robi teraz? – spytałem.

– Została socjologiem i wyszła za mąż za jakiegoś chłopaka z południa. Mają przyjechać do mnie w odwiedziny za kilka tygodni – odparła z dumą i zaprosiła do stołu.

Wafle były kruche i słodkie. Nałożyłem sobie konfitury z moroszek. Eldbjørg spytała, czy chcę jeszcze kawy. Przytaknąłem i uderzyło mnie, jak szybko sięgnęła po termos.

– Może mógłby pan rozejrzeć się tu u mnie? – uśmiechnęła się zachęcająco.

Spojrzałem na Marię. Zapaliła papierosa i utkwiła wzrok w zegarze wiszącym na ścianie. Nagle zrozumiałem, dlaczego zaproponowała, żebyśmy tu wpadli. Umówiły się z góry, że sprawdzę dom.

– Instrumenty mam w samochodzie.

– Świetnie – ucieszyła się Eldbjørg Lien.

Włożyłem buty i przyniosłem z samochodu pojemnik. Zanim wszedłem do środka, zrobiłem rundkę wokół domu. Był kilkakrotnie rozbudowywany. Domyśliłem się, że część z wejściem pochodzi z lat sześćdziesiątych, natomiast powiększony salon powstał w osiemdziesiątych. Zastanawiałem się, kiedy odszedł jej mąż. Zauważyłem kilka jego zdjęć w salonie, ale zbyt dokładnie nie zdołałem się przyjrzeć. Fundamenty wyglądały solidnie, a pozostałości różanych krzaczków w ogrodzie przypomniały mi kwitnące krzewy róż widziane podczas podróży poślubnej do Portugalii.

W kilku newralgicznych miejscach użyłem wilgotnościomierza, ale nie wykazał decydujących wahnięć. Okna, chociaż stare, były dobrze zabezpieczone. Dostrzegłem kilka rys w suficie, lecz ogólnie rzecz biorąc, mogły być skutkiem naturalnej pracy drewna. Na strychu również niczego nie znalazłem.

– Dom jest stary, ale wygląda nieźle – powiedziałem po powrocie do sieni.

Maria położyła mi rękę na ramieniu.

– To było bardzo uprzejme z pana strony – Eldbjørg Lien podziękowała i wręczyła mi niewielką papierową torbę.

Otworzyłem ją. W środku była para ciepłych, robionych na drutach, wełnianych skarpet.

– Żeby panu nogi nie marzły – uśmiechnęła się.

Uściskałem ją z wdzięcznością.

– Jedźcie ostrożnie – powiedziała na pożegnanie i zamknęła drzwi.

Nic nie wskazywało na to, że willa z końca lat osiemdziesiątych mogłaby się, ot, tak sobie, zawalić. Naturalnie, to się zdarzało, ale wszystkie przykłady, jakie znałem, miały proste, choć tragiczne wytłumaczenie. Oszustwo przy odbiorze końcowym albo zastosowanie tanich materiałów mogły mieć fatalne skutki. Podjechaliśmy powoli do działki i zaparkowaliśmy. Wokół skrzynki na listy leżały wieńce,

kartki i wypalone znicze. Na licznych arkusikach widniały zdjęcia chłopca, który zginął w katastrofie. Do palików otaczających posiadłość przymocowano żółte taśmy, ale w wielu miejscach się oderwały i furkotały na wietrze. Odsunięto dach, odsłaniając to, co pozostało z domu, a nad częścią wyposażenia rozpięto plandekę. Tu nie uchowała się żadna z krokwi. Budynek złożył się jak domek z kart. Zauważyłem, że Maria zachowuje dystans. Kilka osób w sąsiedztwie przypatrywało się nam z balkonu. Zanim jeszcze cokolwiek podniosłem, wiedziałem, że nic nie znajdę. Nie w ten sposób. Mimo to sprawdziłem konstrukcję nośną. Nie było mowy o przegniciu czy uchybieniach budowlanych. Przepiłowałem belkę z klejonego warstwowo drewna tuż obok miejsca przełamania. Wszystko było w porządku. Zbierałem się do powrotu do Marii, gdy moją uwagę przykuło coś niebieskiego. Była to dziecięca szczoteczka do zębów. Schyliłem się i podniosłem ją z ziemi. Na rączce znajdował się Listonosz Pat ze swoim kotem i samochodem w tle. Włosie było usmarowane ziemią. Pomyślałem, że chłopczyk pewnie nie chciał iść spać ostatniego wieczoru. Uciekł w momencie, kiedy akurat miał założyć piżamkę. Jego małe stopy przemierzały biegiem nawoskowane klepki parkietu. Miejsc do ukrycia się musiało być sporo, w schowkach, pod schodami. Nikt nie znał domu lepiej od chłopca. Wsadziłem szczoteczkę do kieszeni i podszedłem do Marii.

– Jestem raczej pewny, że to nie problem natury budowlanej.

– Wobec tego jakiej?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Może to coś ze skalnym podłożem. Może w skałę sączy się woda albo występują lokalne wstrząsy. Na twoim miejscu wezwałbym geologa z powiatu – powiedziałem, dobrze wiedząc, że nie to chciała usłyszeć.

Dom Marii stał samotnie tuż nad brzegiem morza. Żywopłot w ogrodzie przygiął wiatr, trawa pożółkła, niemniej widok na horyzont w dali powalał na kolana. Hen w głębi zauważyłem kilka statków i przyszły mi na myśl czasy, gdy morze było jedyną drogą, łączącą wioskę z resztą świata.

– Z każdym sztormem z północnego zachodu morze pożera mi kolejny kawałek działki. Widziałam na zdjęciach, że ogród sięgał kiedyś aż do tamtej wysepki – odezwała się, wskazując palcem oddaloną o kilkadziesiąt metrów grupkę skał.

– I co robisz, żeby temu zapobiec?

– Wrzucam żwir i kamienie, ale to starcza tylko na kilka miesięcy.

Na obiad podała dużą porcję pieczonego karmazyna z sosem winegret na bekonie i własne ziemniaki z ogrodu z koperkową oliwą. Lśniąca ryba płaszczyła się na talerzu i rozpływała w ustach. Wznieśliśmy toast i podziękowałem Marii za posiłek. Po drodze na kanapę ponownie napełniła nam kieliszki. Siedliśmy, by przyglądać się morzu. Było ciemno, ale księżyc świecił na tyle, że widzieliśmy rozbijające się o brzeg fale.

– Kiedy kupiec Stian Lamark budował ten dom, wszyscy sąsiedzi się schodzili, żeby popatrzeć – rzuciła Maria, zapalając papierosa. – To był pierwszy budynek, którego okna w salonie wychodziły na brzeg. Dzisiaj wszyscy chcą mieć widok na morze, ale wtedy tak się nie budowało. Znad morza przychodził północny wiatr, na morzu ginęli ludzie. Otwartego morza się bano, a domy stawiano raczej za osłoną skałek po drugie stronie szosy, żeby go nie oglądać. Tylko że Stian Lamark był inny. Może dlatego, że napływowy. A może to kwestia osobowości. Zabawne, że zginął na morzu zaraz po tym, jak się tu wprowadzili. Popłynął zbierać jaja mew na szkierach, kiedy nagle z silnym zimnym wiatrem napłynęła mgła. Wdowa po nim nie lubiła patrzeć

na morze, więc założyła okiennice. Trzynaście lat temu, kiedy kupowałam ten dom, wciąż zasłaniały okno.

– Co wobec tego oglądała wieczorami, jak myślisz?

Maria nie odpowiedziała. W zamian spytała:

– Dalej jesteś żonaty, prawda?

Kiwnąłem potakująco głową.

– Sprawdziłam na Facebooku, po prostu dla zabawy. Prawie wszyscy z naszego roku ciągle tkwią w małżeństwach. Czy to nie dziwne?

– No wiesz, inżynierowie.

Zaśmiała się lekko i pociągnęła łyk z kieliszka. Poszedłem w jej ślady. Zapadła cisza. Zapragnąłem ją czymś wypełnić.

– Dom to żywa istota – powiedziałem. – Mieszka tak samo w tobie jak ty w nim. Kiedy na przykład wyjeżdżasz w podróż, zabierasz dom ze sobą. Wiercisz się w obcym łóżku i czujesz, że to tylko przerwa i wkrótce obudzisz się we własnym. W hotelowym pokoju często przychodzi mi na myśl widok z mojego okna w kuchni, szczególnie gdy z pokoju w hotelu widać inne okna. To nie tęsknota za domem, lecz całkiem konkretna świadomość, że dom żyje we mnie. Wprowadził się do mojego serca, do duszy i tam zamieszkał. Jak w przypadku każdej miłości dom potrzebuje masy starań. Nie tylko prac czysto technicznych, lecz także dbałości mentalnej. Bo jaki jest obraz czy też fizyczna jego manifestacja w twoim wnętrzu? Jeżeli o niego nie zadbasz, podupadnie. Spróchnieje w tobie po kawałku, aż na ostatku zostaniesz bez domu.

Maria zabrała kieliszki i znowu podeszła do kartonu z winem.

– Chyba muszę wracać do hotelu – dorzuciłem.

Znieruchomiała na moment, jakby uświadomiła sobie coś śmiesznego.

– Wiesz, że jesteś tam jedynym gościem?

– Naprawdę?

– Namówiłam ich, żeby go otworzyli dla ciebie, jednak wątpię, by ktoś tam dyżurował w recepcji o tej porze. Poza tym żadne z nas nie może już dziś prowadzić.

Mruknąłem coś na temat taksówki.

– Taksówki mamy tutaj tylko w weekendy i latem – odparła. – Wypijemy jeszcze po kieliszku, a potem pójdę na górę i przygotuję ci pokój.

Leżałem, słuchając, jak dom skrzypi. Wiało z północnego zachodu, na tyle się orientowałem. Wiatr atakował okap dachu i szarpał mocowaniem desek. Trochę dalej, może nad łazienką albo główną sypialnią jakaś płyta z falistej blachy mocno obijała się o krokiew. Musi być jakiś powód, dla którego te domy się po prostu zawaliły. Może miałem go przed oczami, tylko nie potrafiłem go dostrzec?

Przewróciłem się na bok, przycisnąłem ucho do niewietrzonej poduszki i lewym ramieniem przykryłem drugie. Najpierw zapadła cisza. Słyszałem tylko dalekie dudnienie, coś jakby odgłosy imprezy w oddalonym mieszkaniu albo prawie wyparte z pamięci wspomnienie. Starałem się przyjąć pozycję myślową, która pozwoliłaby mi zasnąć. Żeby to osiągnąć, musiałem pozwolić wyciec temu, co wypełniało mi głowę. Wszystkie przeżycia i myśli, które w ciągu dnia w coraz bardziej zmasowany sposób okupowały mózg, trzeba było usunąć. Uformowałem z tyłu głowy swego rodzaju lejek, taki filtr świadomości, i zacząłem ostrożnie przepuszczać tamtędy wrażenia dnia. Czułem, jak wypływają z mojej świadomości – rozmowy z Marią, jazda samochodem i resztki ruin. Pojawiła się również jedna czy druga emocja, ale ich nie wyłowiłem. Zająłem się obrazami. Pole. Osłonięta od wiatru ściana budynku. Dom Johansenów. Trzej mężczyźni przy płocie. Logo sklepów RIMI. Kilka owiec na łące. Deszczowa pogoda. Wyślizgiwały się ze mnie, pozostawiając coraz obszerniejszą pustkę, która dawała mi spokój. Jednak dudnienie znowu zaczęło absorbować moją

uwagę. Rozbolało mnie też ramię. Odwróciłem się na plecy i otworzyłem oczy.

Wtedy ją zobaczyłem.

Marię – tuż przy łóżku, w nocnej koszuli.

Światło zewnętrznej lampy, przesiane przez pomarańczowe zasłony z połowy lat siedemdziesiątych, nadawało jej skórze nienaturalny blask.

Obudził nas dzwonek telefonu. Wciąż panowały ciemności. Nasze ciała splotły się ciasno na wąskim materacu. Stawy mi zesztywniały i nie miałem ochoty wstawać. Maria poderwała się szybko i wychodząc z pokoju, podniosła nocną koszulę. Kiedy schodziła po schodach, ściany się zatrzęsły. Podniosła słuchawkę, słyszałem jej głos przez strop. Coś się wydarzyło. Robiła wrażenie zdenerwowanej, kroki stawiała twardo. Podniosłem się, włączyłem komórkę i wysłałem SMS-a do żony. Nie był długi, ale tego, co tam napisałem, nie mówiłem jej od dawna i wydawało się, że nadszedł na to czas.

– Weźmiemy twój samochód. Ja poprowadzę – powiedziała Maria, kiedy wychodziliśmy z domu.

Podałem jej kluczyki i siadłem na miejscu pasażera. Fotel był wyziębiony. Włożyłem dłonie między uda, tymczasem Maria wykręcała. Pochyliła się nisko nad kierownicą, jakby zapomniała założyć okulary i próbowała nadrobić ich brak, przysuwając się jak najbliżej drogi. Chociaż dom był nieco oddalony, już za zakrętem dostrzegliśmy rozświetlające noc niebieskie błyski.

Przed nami jechał samochód, za nami także. Nie my jedni odebraliśmy telefon. W mijanych domach świeciło się. Pomyślałem, że w ciemnościach się do siebie upodabniają. Kilka jasnych okien na parterze. Cienie za firankami. Lampa nad wejściem. Tak tu mieszkają. Wszyscy co do jednego.

Przy wjeździe na działkę stał radiowóz. Wiele z zaparkowanych samochodów skierowało długie światła na resztki domu. Szara szalówka mieszała się bez ładu i składu z brązowymi panelami ścian wewnętrznych. Budynek rozpadł się w ten sam sposób co pozostałe. Jakby go od góry przygniotła jakaś wielka siła. Takiemu ciśnieniu nic nie mogłoby się oprzeć. Jedna sprawa to, jak w moim przypadku poprzedniego dnia, zobaczyć te domy kilka tygodni czy miesięcy po czymś takim. Co innego tutaj. Wokół fruwały gazety i zdjęcia. Wykręciło cały regał z książkami, ledwo trzymał się rogiem ściany. Pod kołami chrzęściło szkło.

Stanęliśmy.

Maria została w samochodzie. Wysiadłem i przywitałem się z szefem straży pożarnej. Usłużnym tonem udzielał informacji. Nie znaleźli jeszcze Eldbjørg Lien, poczekają z podniesieniem dachu, aż zrobi się jasno.

– Rozumie pan – zaczął i przerwał.

Rumiany mężczyzna z długimi, opadającymi na kark włosami. Uderzyła mnie myśl, że lata osiemdziesiąte pewnie były dekadą jego młodości, i że to było dawno temu.

Moja ręka dotknęła jego ramienia, lecz kurtka od kombinezonu była tak sztywna, że nie miałem pewności, czy to zauważył. Maria wysiadła i stanęła obok nas. Spytałem, czy ma papierosa. Podała mi całą paczkę. Zapaliliśmy oboje. Podrażniło mi gardło, rozkaszlałem się, ale paliłem dalej.

– Spała tam – Maria wskazała palcem w kierunku lewej ściany szczytowej, która leżała sprasowana na trawie.

Trudno było sobie wyobrazić, by jakiś człowiek mógł się tam uchować przy życiu.

– Chyba długo to nie trwało – zauważyłem, łapiąc się sam na tym, jak chłodno to brzmi.

Spojrzała na mnie.

Po policzkach spływały łzy.

Ze wszystkich stron nadciągali ludzie.

Wiatr ucichł.

Padał na nas tylko drobny deszcz.

W samochodzie w drodze powrotnej żadne z nas się nie odzywało. Zrobiło się jaśniej, lecz nad górami wisiała ciężka mgła. Tuż przed zjazdem ciszę przerwał ostry pisk.

Wystąpiło zmęczenie. Zrób przerwę – zamigotało na monitorze.

Wzdrygnąłem się, lecz Maria zignorowała komunikat. Spokojnie skręciła na żwirówkę i dojechała pod sam dom.

Kiedy robiła śniadanie, wpatrywałem się w wysmagane wiatrem pole za oknem w kuchni i tęskniłem za domem. Co ja tu robię? To nie mój teren. Ja tutaj nie przynależę. Maria postawiła na stole chleb, ser i wędlinę. Kawa w ekspresie dochodziła, siorbiąc głośno, kiedy wyjmowała z szafki filiżanki i spodki.

Wreszcie siadła.

Wziąłem kromkę i posmarowałem ją serem.

– Jak się czujesz?

– Czasami tuż przed orgazmem – odezwała się – widuję skrzyżowanie. Nie jakieś tam, tylko zawsze to samo skrzyżowane w Bawarii. Kilka samochodów czeka na zielone światło, paru przechodniów stoi po drugiej stronie ulicy.

– To dość specyficzne.

– Tak mi się też wydawało, ale czytałam, że to wcale nie jest takie niezwykłe, jak się sądzi. Czasami myślę, że ci ludzie, których wtedy widzę, też mają w tym samym czasie orgazmy i że się w ten sposób spotykamy, na przekór wszystkiemu.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć i tylko przelotnie na nią spojrzałem. Głowę miała skierowaną w stronę okna, mięśnie na karku napięte. Raptem odwróciła się i utkwiła we mnie wzrok.

– Któregoś popołudnia parę lat temu powiedziałam o skrzyżowaniu Eldbjørg. Zdrowo się uśmiała. Potem dolała nam kawy i opowiedziała o swojej podróży poślubnej. Pojechali do Luleå i wprowadzili się do hotelu. Pierwsza noc nie należała do udanych. Natomiast na śniadanie następnego dnia mąż zabrał ją na wystawę saabów i na tylnym siedzeniu jednego z eksponatów oboje zrozumieli, że właśnie takiego samochodu im potrzeba.

*

Kiedy Maria kilka miesięcy później znów zadzwoniła, byłem z powrotem w Oslo, w trakcie szacowania wartości domu w szeregowej zabudowie. Stałem na strychu w towarzystwie właściciela, który uważał, że kryją się tu duże możliwości.

Geolodzy nie znaleźli jednoznacznej odpowiedzi. Kilku z nich doszło do wniosku, że podłoże w wiosce jest stabilne, natomiast inni widzieli wyraźne oznaki osuwania się skał. Inżynier budowlany z ramienia państwa wytropił braki w przepisach dotyczących domów z drewna. Prawnik wyliczył koszty przy ewentualnych pozwach przeciwko gminie. Tabloidy nie odpuszczały i dzień w dzień zamieszczały pisane wojenną czcionką sprawozdania. Tymczasem zawaliło się dalszych dziewięć domów. Sześć osób straciło życie. Inżynier z powiatu nie chciał ryzykować. Przyjęto plan przeniesienia wioski. Wiele osób już się wyprowadziło, ale większość nie pozwoli się stamtąd ruszyć.

Mieszkali tu od zawsze.

Tu jest ich miejsce.

Maria mówiła, że zwołali zebranie mieszkańców. Była na nim m.in. Rita Knutsen, ta, która natknęła się na resztki domu Johansenów. Taka kura domowa, która zwykle nigdy się nie odzywa. Tym razem wstała i powiedziała, że jeżeli założenie jest takie, że domy mają się walić, to nie ma o czym mówić. Po co miałaby próbować się z tego wywinąć?

Usiadłem na jakiejś skrzyni na strychu i poprosiłem właściciela o kilka minut przerwy.

Maria opowiadała dalej:

– Myślicie, że jest jakieś wyjście – ciągnęła Rita. – Jeżeli się po prostu przeniesiemy albo wzmocnimy domy, to nic się nie stanie. Mylicie się. Jeżeli któregoś dnia zauważę, że podłoga ucieka mi spod nóg, poczuję, że dach wali mi się na głowę, i zobaczę, że dzieci odbiegają w panice, to będzie po prostu ten dzień, gdy wszystko się zmieni, gdy przestaniemy istnieć. Tylko że ten dzień i tak przyjdzie i nie możemy zrobić nic, żeby go uniknąć – powiedziała na koniec.

– A ty? – spytałem Marię.

– Na pogrzebie Eldbjørg Lien postanowiłam zostać. Uważałam, że choć tyle jestem jej winna. Ale teraz koniec z tym. Dzieci. Brak mi już sił. Mamy dosyć.

Pomyślałem o swojej córeczce.

Poprzedniego wieczoru zostawiłem ją samą w pokoju z rozsypanymi na podłodze klockami lego. Kiedy wróciłem, zdążyła spiąć kolorowe elementy w wysoką, przytłaczającą ścianę. Kucnęła za nią, drżąc z podniecenia. Ściana robiła wrażenie stabilnej i dobrze zaplanowanej. Miała równe boki i szczyt. Córka potrafiła ułożyć obok siebie klocki w tym samym kolorze. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby budowała coś wyższego ponad niewielkie wieże. Często traciła cierpliwość i chciała, żebym je za nią dokończył. Jak jej się udało zbudować coś aż tak wielkiego? Nauczyła się tego w przedszkolu? Może żona pokazała jej, jak to się robi? A może wpadła na to sama?

Nagle wyskoczyła zza ściany.

– Buu! – zawołała, unosząc ręce nad głową jak głodny drapieżnik.

Cofnąłem się gwałtownie, a ona zaczęła się śmiać.

– Przestraszyłeś się?

– Tak, teraz tak.

Przełożyła Maria Gołębiewska-Bijak

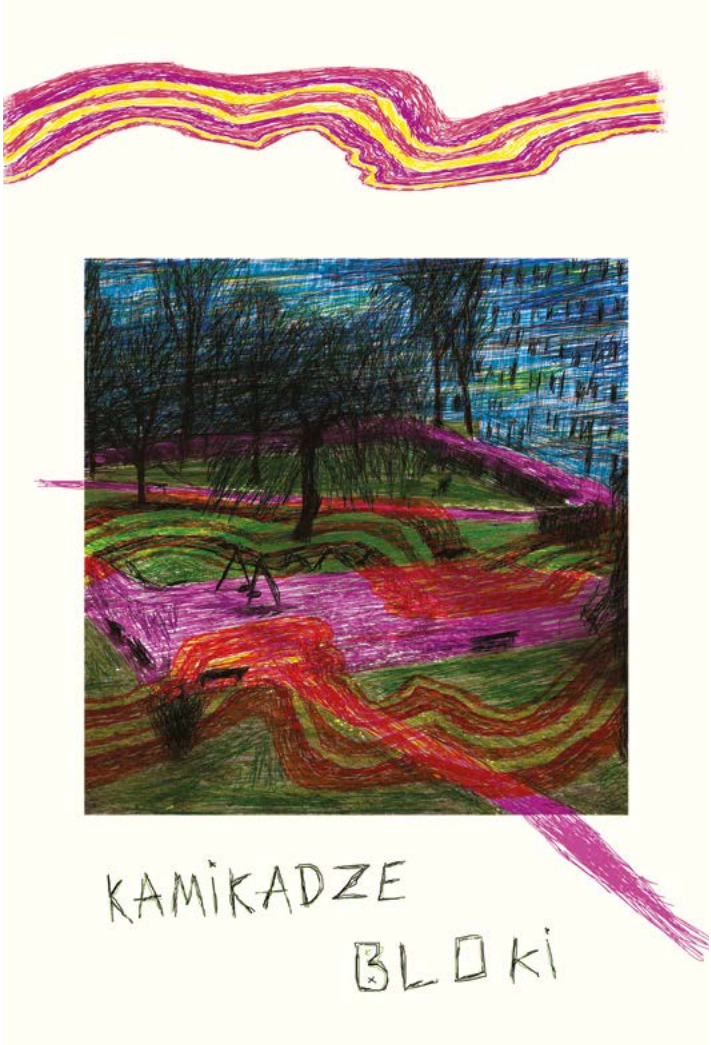

ZIEMOWIT SZCZEREK

Koniec świata chce się zbliżyć

Kaukaz to miejsce, w którym Bałkany stykają się z Azją Środkową. Tak sobie myślałem, patrząc któregoś dnia na mapę i przeglądając swoje fotki z Gruzji. Gruzja strasznie przypominała mi Bałkany. Bułgarię, Macedonię. Południową Serbię. Ech, europejską część Turcji. Pewnie zresztą właśnie dlatego mi przypominała, przez tę Turcję. Ale przypominała.

Te same kamienne domki kryte dachówką, ten sam konserwatyzm tęchnący męskimi jądrami, te same stereotypowe cechy: ach, porywczość, ach, nic, tylko vendetta i vendetta, ach, skłonność do całonocnego biesiadowania, do wina, do teatralnych gestów, do kiczu i taniego efekciarstwa, ta słynna, pierdolona tradycyjna gościnność, ale to nic nowego, bo tę przypisuje sobie cały tłum narodów. Każdy się chwali, że jest tradycyjnie gościnny. Gościnność jako cechę narodową podają przecież Polacy, Rosjanie, w ogóle wszyscy Słowianie wschodni, Kaukazczycy (chyba, że trzeba ugościć mieszkańca kaukaskiego kraju, z którym ma się kosę, to wtedy nie), Bałkańczycy (chyba, że trzeba ugościć mieszkańca bałkańskiego kraju, z którym ma się kosę), Arabowie, Berberowie, cała Azja Środkowa, kto tam jeszcze, tradycyjna gościnność, święte prawo gościnności, mój boże, pozytywna cecha narodowa podawana zazwyczaj wtedy, kiedy inne pozytywne cechy narodowe nie przychodzą do głowy. Często występuje, zauważmy, w zestawieniu z „pięknem kobiet". Mieszkańcy krajów tak zwanego pierwszego świata nie robią specjalnego szumu wokół swojej gościnności. Między innymi pewnie dlatego, że nie muszą się już chwalić, jakie to są świetne, bo trzeci i drugi świat to wiedzą i walą do nich drzwiami i oknami. A poza tym, jeśli się dużo mówi o tym, jak to bardzo jest się gościnnym, czasem trzeba kogoś jednak ugościć.

Zresztą Gruzja po prostu wygląda jak Bałkany i koniec. Zielono, górzyście; te domki, kościoły: małe, kamienne, te auta z wysypiska śmieci Europy Zachodniej, ci nażelowani

kozacy z krzyżykami błyskającymi na owłosionych klatach, w rozpięciu koszul, zamawiający w knajpach trzy razy więcej, niż mogą zjeść, bo trzeba pokazać światu, że ma się pieniędzy po grdykę i gest od morza do morza.

No.

A dalej zaczyna się już Azerbejdżan – pustynny, brązowy, suchy, islamski, ropny. Azja Środkowa zaczyna się teoretycznie dopiero kawałek dalej, za Morzem Kaspijskim, ale tak naprawdę zaczyna się już tu, za rogiem, zaraz za Gruzją. Te dwa morza – Czarne i Kaspijskie – to zmyła. Niczego nie dzielą. Zresztą Kaspijskie to jezioro, a i Morze Czarne całkiem niedawno było jeziorem, ledwie jakieś siedem tysięcy lat temu. I wiele jeszcze jeziorowatości w nim zostało.

*

Tbilisi jak zawsze wydawało mi się dziwne. Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego tu tak zachodnio. I na czym ta zachodniość w ogóle polega. I czy mi się nie przywidziała.

Tbilisi wydawało mi się miastem, które nie do końca powinno istnieć. Nie pasowało mi tutaj. Ani do Poradziecji, ani do tej Przedazji. Europejskie miasto na końcu europejskiego świata, leżące przecież za, za Ukrainą, za Rosją z jednej strony, za Turcją z drugiej. Jak tutaj mogło być europejsko, w tym kraju za lasami, za górami, za poradziecją, za islamią. No jak.

*

Gliniarze nosili mundury zachodniego kroju. Zupełnie inaczej niż w Armenii, gdzie nadal obowiązywały sowieckie czapidła o średnicy wielkiej pizzy i toporne mundury. A w Gruzji – voilà: prawie Ameryka. I jeszcze mieli wielkie, amerykańskie pickupy jako radiowozy. Nie to, co armeńskie, poradzieckie łady. Reforma policji Micheila Saakaszwilego obejmowała również reformę wizerunkową. Policjanci snuli się po Tbilisi z patrolową prędkością, w hollywoodzkich czarnych okularach, wystawiali przez okno łokcie i co

chwila strofowali lud, pokrzykując coś z zamontowanych na dachach aut megafonów. Wydawało się, że pokrzykiwali raczej pro forma, bo ruch uliczny w Gruzji był niespecjalnie ogarnialny. Gruzini jeździli tak, jak chodzi się w tłumie: niezbyt szybko, ale za to pchali się w każde możliwe wolne miejsce, wjeżdżali tam, gdzie wydawało się, że wjechać się nie da. Nawet mi się to podobało. Jazda po ulicach Tbilisi nie przypominała europejskiej jazdy, przewidywalnej i podlegającej nudnym, ustalonym regułom. Można było sobie tu pozwolić na o wiele więcej. Obowiązywało tylko kilka prostych, podstawowych reguł: na czerwonym się (raczej) nie jechało, nie jechało się (raczej) pod prąd i nie zabijało się pieszych. Raczej. Wszystko inne było mniej więcej dozwolone. Tak więc robota policji drogowej w Gruzji była robotą z góry skazaną na porażkę, bo nie dało się tutaj jeździć zgodnie z przepisami. Przy zdawaniu prawa jazdy nie ma, na przykład, jazdy po mieście, bo za nic w świecie nie udałoby się utrzymać fikcji, że obowiązuje tu jakiekolwiek prawo, a od egzaminowanego wymagać jego przestrzegania.

*

Policjanci pokrzykiwali więc z megafonu na Gruzinów i jechali dalej. Że źle parkują, że już totalnie przeginają, że bez jaj, że i tak wolno w cholerę i trochę, więc bez żartów. Tak przynajmniej sobie wyobrażałem, bo pokrzykiwali po gruzińsku, a ja z tego języka znam tylko słówko „gamardzioba”, które brzmi uroczo i którego radośnie używają wszyscy polscy plecakowcy tłumnie przybywający do jedynego na świecie kraju, w którym Polska ma jakikolwiek soft power. Kierowcy w każdym razie nie przejmowali się specjalnie tym policyjnym pohukiwaniem i też jechali dalej. Na przykład po chodniku, czemu nie. Szedłem sobie kiedyś chodnikiem i usłyszałem skrzek klaksonu. Aż podskoczyłem. Zacząłem się rozglądać, gdzie to i na kogo, ale nie wpadło mi do głowy, że na mnie. W końcu byłem, kurwa, na chodniku.

Klakson zatrąbił jeszcze raz i coś uderzyło mnie delikatnie w łydki. Za mną jechał opel kadett. Jego kierowca miał przejęta minę. Machał rękami, że chce przejechać. Zszedłem mu z drogi, co miałem robić. Zaparkował, zamknął auto i poszedł sobie, psiocząc na mnie pod nosem.

*

Ale było, było zachodnio. I to nie tylko ze względu na policję, która – po reformach Saakaszwilego – podobno nie brała łapówek, nic nie wymuszała i w ogóle była do rany przyłóż: pomagała staruszkom i weteranom, zdejmowała koty z drzew i tak dalej. Pomaganie zresztą sam kiedyś widziałem, kiedy to jadącej w marszrutce starszej pani rozsypał się worek kartofli. Policjanci w zachodnich mundurach dokonywali wtedy bardzo wschodnioeuropejsko się kojarzącej czynności, jaką jest zbieranie na kolanach ziemniaków z brudnej podłogi marszrutki, spomiędzy czarnych, rozdeptanych butów pasażerów. Ale pomagali. Sięgali w najgłębsze, czarne otchłanie pod siedzeniami, świecili latarkami. Tak się tym przejąłem, że sam rzuciłem się pomagać i też odnalazłem kilka zaginionych kartofli.

Policjanci pozbierali babuszce ziemniaki i wysiedli, ja usiadłem koło kierowcy, a kierowca nie mógł się policjantów nachwalić: że za dawnych glin nie było co wyjeżdżać w trasę bez przygotowanej w kieszeni kasy na łapówki, a teraz – proszę bardzo, kultura, czasem policjant ochrzani przez megafon, ale generalnie jest w porządku. Do rozmowy szybko włączyli się, jak to w Gruzji, inni pasażerowie z odmiennym zdaniem. Mówili, że policja to nic, tylko grób pobielany, i że tylko wrażenie robią dobre, a na komisariatach jak lali, tak leją. Dobra, może czasem pozbierają kartofle, może zdejmą kota, ale na co dzień mili są głównie dla turystów, mówili, bo turystyka to wiadomo, ważny sektor gospodarki, więc gliniarze mają przykazane być dla turystów do rany przyłóż.

*

Może coś w tym jest. Jechaliśmy kiedyś z Kutaisi na podkutaiskie lotnisko. Szofer miał długą, siwą brodę, wielkie brzuszysko, jakieś krzyże i święte Jerze dyndały mu pod lusterkiem i ogólnie mocno przypominał rosyjskiego jurodiwego. No i ledwo wyjechaliśmy z miasta, a złapała nas policja. Za tylną szybą mignął kogut i rozkrakał się megafon. Szofer zaklął i zjechał na pobocze. Podeszli, zaczęli coś gadać, coś, że jakaś żarówka się przepaliła w tylnym reflektorze, że straszne przestępstwo, zagrożenie wielkie i wszyscy Gruzini są w niebezpieczeństwie. Szofer tłumaczył się, tłumaczył, wyjaśniał coś, wściekły, w końcu wskazał na nas i powiedział, że Polacy. Policjanci ze skupionymi i poważnymi minami poświecili na nas latarkami, pokiwali głowami i powiedzieli, że aha, że jak tak, to w sumie nic się nie stało i żeby jechać. Zagrożenie dla Gruzji w postaci przepalonej lampki zniknęło. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

*

Jeśli chodzi o żarówki w samochodach, to jest to osobny temat. Najciekawiej jest nocą na głównej gruzińskiej trasie, „jedynce": Tbilisi–Kutaisi–Batumi. Ci, którym brakuje jednego ze świateł, a jednak zależy im, żeby jakoś dojechać do domu i żeby inni też dojechali, pomagają sobie jak mogą, jadąc na przykład z włączonym kierunkowskazem z tej strony, z której światła nie ma. Jakoś to hula, choć chyba ani razu nie jechałem tą trasą, by nie zobaczyć jakiegoś wypadku, albo choć pędzącej na sygnale karetki.

„Jedynka" to jest w ogóle ciekawa sprawa. To kręgosłup kraju. W Tbilisi zaczyna się obiecująco: dwupasmową autostradą i w ogóle. Samochody – wypasione suvy, ciężko doświadczone przez życie vectry, jeszcze ciężej doświadczone łady i tak dalej – pędzą sobie beztrosko przed siebie i dobrze wszystkim jest na świecie. Później droga się zwęża, jej pobocza stają się coraz bardziej interesujące. W okolicach

Gori przebiega ci mróz po plecach, bo człowiek zerka na mapę i orientuje się, że zaraz za poboczem zaczyna się kontrolowana przez Rosję Osetia Południowa, a światła, które widzi u podnóża gór, to światła rosyjskiej bazy wojskowej. Tak, tak – Rosja trzyma but na gruzińskim kręgosłupie, i widać to właśnie tam, pod Gori. Jeśli będą chcieli, mogą wjechać do Tbilisi w kilka godzin. Inna sprawa, że jeśli będą chcieli, to i do Olsztyna mogliby wjechać w kilka godzin, więc zdecydowanie lepiej by było, by po prostu nie chcieli.

*

Pojechaliśmy kiedyś pooglądać granicę z Południową Osetią. Skręciliśmy więc z szosy w prawo, zaraz za sporym warsztatem samochodowym połączonym ze złomowiskiem pod gołym niebem. Na złomowisku leżały bez ducha trupy ład, z zamkniętymi oczami i wyprutymi silnikami, a kilku facetów z palnikami i piłami do metalu wycinało z nich jako-tako działające jeszcze organy. Łady leżały na bokach jak zdechłe krowy albo konie. Jakiś niewysoki, chudy wąsacz odłożył piłę i zaczął odlewać się na zwłoki. Tu i tam walały się puste, zardzewiałe butle po gazie, wyglądające jak torpedy. A my pojechaliśmy kawałek dalej i skręciliśmy do wsi, w drogę bez asfaltu. To były roztopy, koniec zimy, więc ulice były po prostu strumieniami błota. Wzdłuż nich wlokły się ledwie zipiące płociny, niektóre rozpierdolone tak, że o mój boże, za nimi stały domy z cegieł, sterczały dramatycznie puste rusztowania na winogrona. Latem i wiosną tu musi być pięknie, myślałem, zielono, winogrona, droga zasycha w porządną, klimatyczną gruntówkę, ale zimą wylała się na Gruzję cała rozpacz Europy Wschodniej. Rury od gazu, radzieckim sposobem, nie były wkopane w ziemię, tylko ciągnęły się górą. Gdzieniegdzie pojawiali się ludzie wyglądający jak upiory z koszmaru o stereotypie wschodu: sine twarze, stare swetry, stare kurtki, wszystko wyglądało na wymięte i przeżute przez rzeczywistość, przeżarte szarym filtrem.

Przejechaliśmy przez wieś, wyjechaliśmy w sinozielone pola, później była jeszcze jedna wieś i jeszcze jedna. Później zaczęło robić się pod górkę, samochód buksował czasem w błocie, ale parł do przodu, wdzierał się w Gruzję, w prowincję, drogi stawały się coraz węższe. Zatrzymaliśmy się przy jakimś kościele. Był mały, kamienny, dwa stare dzwony wisiały na konstrukcji przypominającej szubienicę. Na jakimś postumencie, na którym nic nie stało, wyryte były z każdej strony prymitywne piktogramy. Wyglądało to coś na bardzo stare: z jednej strony – niewprawnie nakreślony koń, z drugiej – rysunek człowieka. Zdziwiłem się więc trochę, gdy zobaczyłem, że z trzeciej strony wyryto sierp i młot. Po rosyjsku zapytaliśmy jakiegoś starszego mężczyznę, którędy do osetyńskiej granicy. Długim, gruzłowatym palcem pokazał kierunek i zaciągnął się papierosem. Pojechaliśmy.

Dalej był wojskowy posterunek. Zwolniliśmy, choć nikogo przed nim nie było. Zobaczyli nas przez okno, wyszli. Dwóch gówniarzy w mundurach, nie bardzo wiedzieli, co z nami zrobić, więc się uśmiechali. Powiedzieliśmy, że jesteśmy dziennikarzami, że z Polski, uśmiechnęli się znów, popatrzyli po sobie, zastanowili się nad tym, jak podejść do faktu, że oto na tym głębokim, strzeżonym przez nich zadupiu pojawili się nagle polscy dziennikarze, po czym powiedzieli, żebyśmy po prostu sobie dalej jechali, co tam. No więc pojechaliśmy, ale po chwili w lusterku zobaczyliśmy, że machają do nas i krzyczą. Więc wsteczny i cofka. Podeszli z przepraszającymi nieco minami i zapytali, jak się nazywamy. Widać było, że generalnie mają to w dupie, ale czują, że wypadałoby zrobić coś urzędowego: w końcu zaraz obok granica nieuznawanego państwa, Rosjanie, w ogóle cała ta awantura, no – jednak wypada. Powiedzieliśmy, poprosili, żeby im powtórzyć, powtórzyliśmy, pokręcili głowami, poprosili, żeby przeliterować, przeliterowaliśmy, zapisali, znów się uśmiechnęli i pojechaliśmy.

Kawałek dalej był inny posterunek, mniejszy, i nosił wszelkie znamiona polowości. To była jakaś buda, przed nią stał, a jakże, amerykański pickup, a przy stole pod zadaszonkiem siedziało dwóch rosłych Gruzinów w bardzo amerykańsko wyglądających mundurach, z bardzo zachodnioeuropejsko wyglądającymi flagami Gruzji na ramionach. Ta flaga, czerwony krzyż św. Jerzego na białym tle, z czterema mniejszymi krzyżami w rogach, zawsze mi się kojarzyła z jakąś Akwitanią, Langwedocją czy Burgundią, a nie z zapomnianym na krańcach europejskiego świata krajem, a przez niektórych, być może nawet większość świata, lokowanym już po prostu w Azji. Ale barak wyglądał jak wyjęty prosto z jakichś filmów o ruskiej głubince, ledwie trzymał się kupy, zamek w drzwiach był wycięty, bo ktoś kiedyś pewnie zapomniał kluczy i teraz zamykały się na skobel. Chłopy siedziały przy rozkładanym stoliku, na którym stała plastikowa butelka z jakimś ciemnym płynem, jakaś puszka na kiepy. Zobaczyli nas, wstali ciężko od stołu, założyli na ramiona amerykańskie karabiny i podeszli. Polska, aha, powiedzieli, w porządku, jedźcie sobie oglądać granicę, bóg z wami, jeśli nie macie nic innego do roboty, wasza sprawa. Nic tam nie ma, ale chcecie – jedźcie. Pokazali nam jeszcze na mapie, jak jechać, i znów zasiedli przy stoliku.

*

Ostatnia wieś pod gruzińską kontrolą robiła przygnębiające wrażenie. Chłopaki siedzieli na przystanku autobusowym i gapili się na obcy w tych stronach samochód jak na UFO. Podejrzewam, że znali wszystkie lokalne samochody, bo ten ich świat wyglądał jak mikroświat i musieli znać go doskonale, od każdej strony. Każdego człowieka, każdy samochód, każdy lokalny problem. To była ślepa kiszka, nikt tamtędy nie przejeżdżał, bo nie było gdzie, granica zamknięta, nawet jeśli nieuznawana, więc obraź się, jeśli chcesz, ale przejechać – nie przejedziesz. Tak więc w tej ślepej kiszce musieli widzieć już wszystko, co było

do zobaczenia i wiedzieć wszystko, co było do wiedzenia. W sklepiku na tym końcu świata było trochę podstawowych artykułów spożywczych, w tym coca-cola, trochę papieru toaletowego, trochę zeszytów, tanie, plastykowe czajniczki do gotowania wody, skarpetki z jakiegoś absolutnie nieoddychającego materiału i wisząca na ścianie stara mapa Gruzji, niestety nie na sprzedaż. W sklepie siedziało kilka kobiet. Siedziały na przyniesionych z domu składanych stołeczkach i gadały sobie, albo po prostu zajmowały się swoimi sprawami: jedna rozwiązywała krzyżówkę, inna, o ile pamiętam, dłubała coś na drutach. Gdy weszliśmy, trochę się zdziwiły, zapytały grzecznie skąd, po co i tak dalej – po czym wróciły do swoich spraw.

*

Wyszliśmy na ulicę. Przejeżdżał policyjny pickup. Zatrzymaliśmy go i poprosiliśmy gliniarza, starszego, suchego faceta o twarzy kowboja z dzikiego zachodu, żeby pokazał nam drogę. Nie zdziwił się nawet, o nic nie pytał, tylko kazał jechać za sobą. Już widzę, myślałem sobie, jak by nam policjant w jakimkolwiek innym poradzieckim kraju pokazał drogę do obsadzonej wojskiem, wojennej – było nie było – granicy. Albo jak bardzo by nas przepuszczono przez posterunki kontrolne. Akurat. Nawet w krajach bałtyckich. W Polsce zresztą też. Byłoby wielkie przeszukiwanie, badanie, tajemnica państwowa, zakaz wstępu, do widzenia, teren objęty wielkim sekretem, obłożony państwową klątwą, może nawet zatrzymanie na wszelki wypadek i do sprawdzenia, w najlepszym razie – odprawa z powrotem. A tutaj – spokój i bezproblemowość. Proszę bardzo, Europa, transparentność i w ogóle. Pojechaliśmy więc za nim. Pruł po tych wertepach, że ledwie nadążaliśmy. W końcu wywiózł nas na zieloną, podmokłą łąkę, na której stały jeszcze dwa takie same samochody. Po łące kręciło się kilku gliniarzy z karabinami, ale nie było widać żadnych zasieków,

nic. Podeszliśmy, zapytaliśmy, gdzie jest granica. Szerokim gestem objęli górski, rozległy krajobraz.

– Tam.

– A Rosjan widać? Osetyńców? Posterunek?

Jeden z nich bez słów wręczył nam lornetkę.

– Gdzie patrzeć?

Wskazał jakiś kierunek. Przyłożyłem do oczu. Widziałem jakąś wieś, jakiś kombajn. Raczej nie wojskowy.

– Nic nie widać – powiedziałem.

– Czasem widać – odpowiedział nieco przepraszająco. Bo w końcu taki kawał drogi przejechaliśmy, a Ruskich nie zobaczyliśmy.

*

Po łące kręciło się też sporo cywili. Palili, gadali, milczeli. Kręcili się, bo zapewne naprawdę nie mieli nic innego do roboty. Mówili, że stagnacja, że zadupie, że nie ma ani pracy, ani pieniędzy, ani perspektyw, ale za to niedawno był z wizytą Iwaniszwili. Jemu też powiedzieli, że zadupie, nie ma pracy, pieniędzy i perspektyw. Pokiwał głową i powiedział, że no tak, no tak. Powiedział co powiedział, co miał powiedzieć, nikt chyba nie miał złudzeń, ze powie cokolwiek innego, ale nie mogłem sobie wyobrazić, że Iwaniszwili jedzie tu tą samą nieszczęsną gruntówką co my, a przecież musiał, bo innej nie ma, no, chyba, że przyleciał helikopterem, że tyłek mu się trzęsie na tych masakrycznych wybojach, ze limuzyna grzęźnie w błocie, że – być może – nawet sam wysiada, w lakierkach, w garniaku, żeby popchać. Ale może mam słabą wyobraźnię. W końcu Iwaniszwili, człowiek o twarzy kaukaskiego wieśniaka, pochodził z niedalekiego Kutaisi, i te wszystkie wertepy, wyboje i błota musiały być dla niego codziennością. Dopiero później wzniósł sobie nad miastem rezydencję przypominającą statek kosmiczny albo pałac evil masterminda z Jamesa

Bonda, ale przecież nie mógł się do niego schować przed samym sobą.

*

Położone przy tej samej „jedynce” Gori też jest fajne. To tutaj w 2008 roku wjechali Rosjanie, to tędy uciekali Gruzini, jechali zresztą dalej, właśnie „jedynką”, do Tbilisi, gdzie zadawali sobie to samo tradycyjne pytanie, które zadaje sobie sporo narodów sąsiadujących z Rosją: „wejdą, nie wejdą?”. Ale do Gori weszli, powiązali w pęczki trofiejne policyjne pickupy i pojechali z powrotem.

Zbombardowane w 2008 roku bloki są już dawno wyremontowane, mają – jak wszędzie w Gruzji – zamontowane na balkonach różnokolorowe plastikowe panele, co ma sprawić, że te biedne, szare, pierdolone poradzieckie blokowiska nabrać mają zachodniego sznytu. Ale nie sprawia. Sprawia wrażenie, jakby te szare, biedne, pierdolone radzieckie blokowiska chciały oszukać świat, że nie są szarymi, biednymi, pierdolonymi radzieckimi blokowiskami. Wyglądały jak armia zombie w kolorowych krawatach. Wszystko tam się sypie, wali i pęka, ale zamiast remontu i renowacji prąca na zachód Gruzja przykręciła do nich radosne panele. Może nikt się nie pokapuje. Może świat zniknie, jak się zamknie oczy. A gdy się przymknie, będzie ładniejszy.

Gori w każdym razie wyglądało radziecko. No, ogólnototalitarnie jakoś. Podobne do budowanej przez komunizm Nowej Huty albo Tirany wzniesionej przez włoski faszyzm. Ale to by jeszcze było spoko, takie rzeczy można znieść, tyle że w centrum miasta mieściło się muzeum Stalina, bo tu właśnie się Stalin, tu, w Gori, urodził. Przed muzeum stał wagon kolejowy, którym jeździł. W wagonie była toaleta. Można było wejść i siąść. Nie mogłem się powstrzymać i usiadłem na sedesie Stalina. Było to moje najintymniejsze spotkanie ze Stalinem ever, w ogóle najintymniejsze chyba

spotkanie z jakąkolwiek postacią historyczną. Przecież, myślałem, tak samo musiał się przechylić, żeby spuścić wodę, żeby sięgnąć po papier, tak samo musiał tępo gapić się na klamkę drzwi, którą tak samo jak ja musiał, siedząc, mieć przed nosem. Do tej pory Stalin był dla mnie bytem w sumie równie realnym co postać fikcyjna, a może nawet, jak większość moich rodaków (i nie tylko ich) podświadomie brałem go za rodzaj demona, wcielenia wszystkich lęków przed Tym-Co-Na-Wschodzie, a teraz stał się facetem zamkniętym w tej samej klaustrofobicznej toalecie, co ja, który siadywał na tym samym kiblu, na którym siedziałem teraz ja, i który musiał, robiąc kupę, kontemplować te same ściany, co ja, te same drzwi, tę samą podłogę. Bardzo mnie to do Stalina, przyznaję, zbliżyło. Zastanawiałem się jak to jest, czując pod tyłkiem chłód sedesu, kombinować jak tu wysiedlić wszystkich Tatarów z Krymu, jak wyrzucić z kraju Niemców, jak porozwiązywać kremlowskie intrygi, jak narysować na mapie nowe granice państw. Siedziałem na Stalinowym sedesie, i próbowałem myśleć jak on, w końcu najlepsze plany podobno wymyśla się w klopie, ale o wiele bardziej niż na przykład plan włączenia do ZSRR republik bałtyckich zajmował mnie fakt, że deska uwiera w plecy, a na kolana ledwo starcza tu miejsca.

*

W Gori mieli muzeum II wojny światowej uzupełnione o wystawę poświęconą rosyjskiej inwazji. Były tam zdjęcia ofiar, rozerwana bomba kasetowa, fotografie zniszczeń. Ordery bohaterów ZSRR i antyczne pepesze sąsiadowały z wojną, która przytrafiła się temu biednemu, paskudnemu miastu parę lat temu. Paskudnemu, bo nie było tu nic, co kojarzyłoby mi się z tą sympatyczną wersją gruzińskości. Ani wąskich ulic z kamiennymi domami, ani, że tak się wyrażę, bo tak się wyraża, ośnieżonych szczytów na horyzoncie, ani zieleni, ani w miarę sensownych knajp z chinkali i winem, ani nawet gruzińskiej brodatej hipsterki a’la

Tbilisi. Nawet osobliwej renowacji centrum a'la Saakaszwili zwanej signaghizacją od nazwy miasta, Signaghi, które nie tyle wyremontowano, co stworzono na nowo w wersji, która nigdy nie istniała i stanowiła właściwie manifestację tego, jak Gruzini chcieliby widzieć swoją przeszłość. Signaghi było pierwsze, później przyszedł czas na stare dzielnice Tbilisi, na Mcchetę, dawną stolicę, którą zbudowano właściwie od początku i która dzięki temu zbudowaniu od początku zaczęła przypominać jakieś zapyziałe szwajcarskie miasteczko na kwasie. Signaghizacja polegała na tym, że saakaszwilska Gruzja przychodziła ludziom do domów, przepraszała na parę tygodni, to znaczy wypraszała gdzieś do hotelu, robiła wielki remont i zapraszała ponownie. Lokatorzy wracali i nie poznawali własnych domów. Nowych, lepszych, ale niepodobnych do niczego, co pamiętali.

W Gori tego nie było, być może właśnie dlatego miasto wyglądało jak istota Gruzji, biednego, rozwłóczonego, dość jednak nieszczęsnego i smutnego kraju, który bardzo chciał się zachodnio uweselić, choćby było to uzachodnienie po łebkach, z wierzchu. Na wielkim jak grillowa patelnia placu sterczały wystraszone bite, zachodnie auta sprowadzane tu przez Turcję. W siedzibie lokalnej gazety mieszczącej się wielkim, betonowym soc-klocku, ciągnęło stęchlizną i potem. Ochraniający go gliniarze, mimo zachodnich mundurów, wyglądali na ciężko dotkniętych poradziecją. Ledwie kontaktowali o co chodzi, zresztą nie chciało im się kontaktować, byli mili, ale nieco jednak upierdliwi i zanim zdecydowali się nas wpuścić do budynku, musieli wykonać z pięć telefonów. Każdy telefon, notabene, trafiał w pustkę; miałem wrażenie, że nikomu po prostu nie chce się odbierać albo że zwyczajnie nikt nie ma na to siły. Był zresztą poniedziałek, Chryste Panie. Gapiąc się na wiszącego na słuchawce, apatycznego gliniarza, wsłuchując się w bijące z słuchawki pisknięcia telefonu, przypominałem sobie widziany gdzieś w necie rysunek, na którym przedstawiono

jeden ze scenariuszy apokalipsy: przechodnie leżeli na ulicy, obok nich leżały ich teczki, telefony komórkowe, torby na laptopy, na dachu leżał jakiś robotnik budowlany. Żyli, nic im nie było, po prostu leżeli. Pod spodem był napis: „apocalypse scenario: everyone just sort of gives up one day and stops trying". Też tak, swoją drogą, uważałem. Że tak to się właśnie skończy. I tak było w Gori.

*

Pojechaliśmy do Chiatury. To miało być miasto, w którym zamiast tramwajów jeżdżą kolejki linowe. Jechaliśmy przez góry, górską drogą, przez miasteczka, których centralnym punktem było gigantyczne rondo i podświetlony, przezroczysty budynek policji. Ta przezroczystość była, oczywiście, celowa, niby że brak korupcji i że nic nikt nie ma do ukrycia. Ale niewiele więcej w tych miastach było. I w ogóle niewiele tu było. Mrok, ciemność, później trochę świateł, rondo, trochę osuwających się w ruinę domów i znów ciemność. Tak musiał, myślałem, wyglądać świat sprzed asfaltu, elektryczności i aut. To takie miejsca miał na przykład na myśli Mieczysław Orłowicz, kiedy w 1910 roku pisał, że do Gruzji nie ma sensu się wybierać bez rewolweru i szwadronu kozaków. Orłowicz umarł w latach siedemdziesiątych, czyli w tej mniej więcej epoce, kiedy ja się urodziłem i nie mogłem uwierzyć, że moje życie i jego życie się ze sobą czasowo zetknęły, bo przecież ja do końca nie wierzyłem w istnienie *belle epoque*, to znaczy wierzę dopiero od kilku lat, bo w latach osiemdziesiątych, a nawet dziewięćdziesiątych trudno było uwierzyć w cokolwiek innego poza szarością, klockowatością, pięknem teoretycznym i faktem oczywistym, że w domach z betonu nie ma wolnej miłości. A już historie o wyprawie do Gruzji z rewolwerem i kozakami brzmiały jak baśnie, a nie jak informacje na temat świata, które warto traktować poważnie.

*

W każdym razie dojechaliśmy w końcu do tej Chiatury i naprawdę robiło to wrażenie. I miało sens, nawet w nocy. Gór prawie nie było widać, funkcjonowały jako ciężkie cienie otaczające miasto, czekające od wieków na sygnał, żeby się na nie rzucić. Główny plac miasta wyglądał jak jakiś kawałek Hiszpanii wyrwany z ojczyzny i z głuchym pierdolnięciem ciśnięty w ciężkie, gruzińskie miasto. Wszystko było bardziej rozkolebane i rozkraczone niż w Hiszpanii, jasne, ludzie też byli jakby trochę bardziej strzeleni i rozchełstani, pewnie, ale naprawdę trochę to tak wyglądało. Podświetlone kolorowo budynki, wino w głowach i ogólny luz, nawet jakieś palmy. Pod sklepem poznaliśmy faceta o imieniu Tamaz. Powiedzieliśmy mu, że chcieliśmy zobaczyć słynne chiaturskie kolejki linowe. Bardzo się ucieszył i od razu nam powiedział, że jest szefem tych kolejek, a my mu od razu uwierzyliśmy. A potem powiedział, że jest właścicielem knajpy niedaleko, w co też uwierzyliśmy, i co okazało się prawdą. Albo po prostu miał do niej klucze, bo knajpa była zamknięta i specjalnie dla nas ją otworzył. Knajpa to zresztą za dużo powiedziane: to była buda z kijem do piwa, z kuchenką gazową i czymś, co w ewidencji można byłoby zapisać jako blat konsumpcyjny. Stołków nie było, konsument stał. Tamaz pokazał mi garnek i lodówkę, kazał ugotować parówki, a sam skoczył do domu po wino, chleb i keczup. Nawaliliśmy się jak słowiańskie stodoły, biesiadowaliśmy przy tych parówkach, przy chlebie, winie i keczupie i fajnie było, Tamaz próbował nawet być tamadą, bo miał tę cepelię jednak we krwi, i co jakiś czas wygłaszał toasty: za ojczyznę, za tatusia, za mamusię i tak dalej, aż w końcu ja wygłosiłem toast za gruzińskich kierowców i uznał, że to piękny toast, i przekazał mnie obowiązki tamady o których natychmiast zapomniałem, i on też, i wszyscy inni też, i nikomu ich nie brakowało, i było dobrze. Gdy wyszliśmy z knajpy, zorientowaliśmy się, że przyjechaliśmy do niej samochodem, i że – jako, że cały świat wysyła do nas sygnały, że nie wypada jeździć po alkoholu – postanowiliśmy

go tu zostawić, a do hotelu udać się na piechotę. Ale Tamaz powiedział, że nie ma sprawy, że można jechać, bo zna się tu z całą policją, w co również uwierzyliśmy, bardzo ochoczo zresztą. Kluczykami drapaliśmy lakier dookoła zamka, ale się udało.

*

Tamaz zniknął z naszego życia zaraz po tym, jak się pożegnaliśmy, co było dość oczywiste, mimo że wymieniliśmy się, jasne, telefonami, uściskami, całusami, mailami i tak dalej. Oglądać kolejki linowe pojechaliśmy więc już sami, bez ich szefa. Większość nie działała. Ich obrzępolone stacje wisiały spektakularnie nad miastem, nad wąskimi uliczkami blokowisk wspinających się po górach jak jakieś zmęczone górołazy z szarej cegły. Bloki w środku wyglądały dramatycznie. Niektórzy remontowali swoje mieszkania, ale tak, jakby remontowali domy: z zewnątrz ocieplali i tynkowali tylko własne fragmenty pięter, a w środku, wewnątrz klatki schodowej, kładli na przykład marmurowe chodniczki przed swoimi drzwiami. Inni dobudowywali sobie do mieszkań całe pokoje i wspierali je na gigantycznych wspornikach, wiszące w powietrzu jak olbrzymie ambony. Mówiono na to kamikadze loggia, a ich wznoszenie było czymś w rodzaju gruzińskiego sportu narodowego. Kto zbuduje większą, kto bardziej wystającą, kto bardziej zaprzeczy grawitacji. Sami Gruzini twierdzili, że kamikadze loggie są o wiele porządniejsze od samych bloków. I że katastrofy budowlane polegają na tym, że budynek się wali, a loggia zostaje, wisząc sobie spokojnie w powietrzu.

*

Przez Kutaisi i Poti jechaliśmy później do Batumi. W Kutaisi stało lotnisko przypominające nowoczesny dworzec autobusowy i, jak z radością informował każdy Gruzin, który miał okazję, „najwyższa wieża lotniskowa w Europie”, czy nawet „na świecie”, nie pamiętam. Pamiętam w każdym razie, że

też zawsze wszystkich informowałem, że pod Radomiem stoi najwyższa konstrukcja na świecie, czyli jakaś tam wieża telewizyjna. Ta wieża, notabene, naprawdę była najwyższa na świecie, póki nie powiał jakiś mocny wiatr i się nie zawaliła. A Poti było dość szokującym miejscem, w którym Rosjanie w 2008 roku również wiązali w pęczki policyjne samochody i które wywozili, a potem pokazali na Placu Czerwonym w tryumfalnej paradzie. Naprawdę. Serio. Naprawdę. Ale Poti nie dlatego było szokujące, tylko dlatego, że rondo w tym mieście było największe chyba w całej Europie, a być może nawet na całym świecie. Poza tym rondem niewiele w Poti było poza betonową nieokreślonością, morzem, którego nie było widać, jednostką wojskową, do której niechcący wjechaliśmy i z której żołnierze nas kulturalnie wyprosili. I luksusową restauracją zbudowaną w wielkim, drewnianym czymś, co miało przypominać statek piracki, bo Poti to jednak miasto nadmorskie. Statek piracki stał pośrodku zaśmieconego, płytkiego bajora, które – z kolei – rozlewało, jak to się mówi, swe wody pośrodku szarego blokowiska.

*

Ale za to Batumi – tu było wszystko. Signaghizacja, kolorowe panele na blokach, wesoła policja w amerykańskich pickupach – tylko Gruzji jakoś nie było widać. Nie było chinkali, w porządku, w końcu Adżaria to Adżaria i ma swoją kuchnię, nie tylko ciągle to chinkali, charczo i adżapsandały. Ale Batumi naprawdę było mało gruzińskie. Jeśli chodzi o architekturę, to przypominało mi nieco miasta budowane w tropikach, czyli na przykład Hawanę czy Nowy Orlean, bądź w quasi-tropikach, do tropików ochoczo aspirujących, czyli Odessę. Po islamie zbyt wiele tu nie pozostało, przynajmniej na wierzchu – ale duch Batumi był inny, niż reszty Gruzji. Nie było tu, na przykład, tego zachodniego, trochę niewyjaśnionego instynktu Tbilisi, dzięki któremu tbiliskie knajpy przypominają knajpy w Pradze, Krakowie, Berlinie czy Wiedniu, a nie na przykład w Doniecku, jak choćby erewańskie.

Nie było hipsterki, nie było w ogóle tego południowego luzu, dzięki któremu Gruzja tak bardzo przypomina Bałkany i dzięki któremu staje się nie żadnym wschodem czy zachodem, ale po prostu południem. Batumi to była Radziecja, ale po nowogruzińsku wyczyszczona, obwieszona błyskotkami, wyremontowana po lakierze i opatrzona gigantycznymi, paskudnymi bryłami hoteliszczy i megalitycznej turystozy, na tle której tak bardzo lubił się fotografować Saakaszwili, często tu przyjeżdżający tuczyć konia. Pańskim okiem, oczywiście.

*

„Georgia is Europe" – informował wielki billboard w centrum miasta, a z fontanny na jednym z głównych placów co jakiś czas tryskała czysta wódka. Z jakiegoś wypasionego hotelu wyszedł na marmurowe schody całkiem nawalony nastolatek w garniturze i śpiewał *My Way* Sinatry. Byli nawet Japończycy z aparatami. Wszystko było na miejscu. Wszystko było okej. Przyszła Europa.

NATASZA GOERKE

J. Määttä: Zbrodnie doskonałe

Marta Cortez Espinoza wynajmowała dwupokojowe mieszkanie w jednej ze stuletnich kamienic z czerwonej cegły, których rzędy tak symetrycznie wyrastały po obu stronach jezdni, że zdawały się być swym lustrzanym odbiciem. Z ulic niemal bliźniaczych składała się zresztą cała dzielnica, a jej kraniec wyznaczał wysoki i mroczny, bluszczem porośnięty parkan.

Za parkanem zaczynał się Oktagon – osobliwy ogród w formie ośmioboku będący dziełem nie tyle ogrodników, co raczej geometrów ze skłonnością do feng shui i czarnoksięstwa. Wszystko – od klombów z bratkami i ścieżek, aż po ławki – było tam bądź ośmiokątne, bądź stanowiło wielokrotność liczby osiem. Jak bowiem głosiła kamienna tablica przy bramie wejściowej, to nie kula, ale właśnie oktagon jest najdoskonalszą z figur, ponieważ łączy kwadrat i okrąg, symbolizuje nieskończoność porządku. W samym centrum Oktagonu znajdował się staw. Każdy z jego ośmiu brzegów pokryty był rzęsą, a pośrodku, nieco na przekór geometrii, pływały łabędzie. Łabędzie te zawsze pływały czwórkami i choć były czarne, to na widok ludzi stawały się białe. Zdarzało się to jednak rzadko, bo Oktagon z reguły świecił pustką, i tylko czasami, głównie nocą, którąś ze ścieżek przemykał spłoszony swą pojedyńczością perski kot.

Na prawo od Oktagonu, za żywopłotem z wiecznozielonego bukszpanu, rozciągała się dzielnica kwiecistych alei oraz śnieżnobiałych willi. Wille te okna miały większe niż cztery stoły do pingponga, a jeśli stanąć pod nimi w nocy, dostrzec można było w dyskretnym świetle kandelabrów cienie pianin, cienie kieliszków na stołach, a czasami też cienie ludzi, którzy – uginając się pod ciężarem lekkości swego bytu – kieliszkami tymi ciskali w ściany. Białe wille zamieszkiwali potomkowie rodów nie tyle może zacnych, co majętnych oraz coraz częściej ci obcy, czyli nowoprzybyli i bogaci od wczoraj celebryci – metroseksualni projektanci mody, opaleni tenisiści, goście śniadaniowych telewizji

o twarzach upudrowanych do zatraty rysów, moderatorzy programów publicystyczno-naukowych, autorzy bestsellerów o syberyjskich szamanach, wiecznie czujni redaktorzy działów plotek oraz wielu innych im podobnych, acz mniej czynnych zawodowo. Wszyscy oni, mimo drobnych różnic w mentalności, posiadali średnio po dwa samochody (mini morrisa cabrio i range rovera), dwa psy (chihuahua i dogue de Bordeaux), dwójkę dzieci (Tiger Lily i Stasia) i dwa marzenia (zasnąć przed świtem i obudzić się bez kaca). Mimo boskiego niemal piękna nieco wiało tam jednak grozą, kwieciste aleje bowiem, podobnie jak ścieżki Oktagonu, świeciły niepokojącą pustką. Czasami o poranku śmignęła pod wielkimi oknami wysportowana postać z kijkami do nordic walking, jednak, ogólnie rzecz biorąc, dzielnica śnieżnobiałych willi wyglądała najczęściej – cytując mało eleganckie, acz lapidarne słowa Marty – zupełnie tak, jakby jebła w nią neutronowa bomba.

Marta mieszkała po lewej stronie Oktagonu, na Hafenstrasse. Hafenstrasse ciągnęła się kilometrami wzdłuż portu i choć nie do końca była spokojna, to jednak nie z tych najgłośniejszych. Cisza nocna jednak, pomijając weekendy i święta, zapadała tam punktualnie o dwudziestej drugiej, a jeśli nawet zapaść nie zdołała, to i tak zawsze w okolicach trzeciej nad ranem wrzaski i muzyka nagle milkły. Śmieci zaś, i to bez ingerencji policji, segregowano uczciwie, a wybitych szyb nie łatano kartonem, lecz wzywano szklarza. Zakład szklarski, podobnie zresztą jak i punkt dorabiania kluczy, czynny był całą dobę i stanowił przykład infrastruktury skrojonej na miarę potrzeb.

Poza tym na infrastrukturę składało się kilka narożnych knajp o finezyjnych nazwach Na rogu, Taze kebap lub U Wuja, pralnia, krawiec, wielofunkcyjne warzywniaki, w których o czwartej rano zjeść można parówkę i zagrać w bilard, sezonowe stragany – latem z truskawkami, a zimą z grzanym

winem, niewielkie kasyno. Kościół był też, i też niewielki, zawsze jednak zamknięty, a przy tym najpewniej fantomiczny, bo gdy Marta wbiła kiedyś jego nazwę w googla, dowiedziała się, że w całej okolicy nie tylko nie ma kościoła, ale nawet żadnego punktu w kategorii kapliczka i figura świętych. Niedaleko fantomicznego kościoła wyrastały z ziemi dwa skromne meczety, a pomiędzy nimi, oświetlony niczym choinka, budynek teatru. Teatr nazywał się „I angeli tedesci", wystawiał niemieckie musicale, a jego właścicielem był chudziutki Turek z wąsem przysłaniającym pół twarzy. Prócz teatru kulturę reprezentowało jeszcze kilka przybytków nie tyle może kulturalnych, co kultowych –dwa kluby go go zatrudniające wyłącznie primabaleriny z moskiewskiego teatru Bolszoj, piwniczna spelunka La Benita, w której pół wieku temu John Lennon obsikał nazwaną potem jego imieniem ścianę, hotel Albrecht – niemiecka odpowiedź na Chelsea Hotel – w którym na śmierć zapijali się artyści, ale w którym niestety nie umarł Dylan Thomas. Kultowe było też do niedawna jeszcze kino G-Movie, ale przestało istnieć, bo w jego miejscu powstał salon sukien ślubnych Harem, nadal jednak istniała, lub raczej marniała w oczach, kultowa wideoteka specjalizująca się w filmach akcji i horrorach. I choć w promieniu trzech kilometrów nie było ani jednej księgarni, to Marta nie narzekała.

Wręcz przeciwnie. Marta napawała się ową portową, multikulturową aurą, w której dominowały akcenty otomańskie, a która ożywczo wpływała na jej nastrój. Jak to nieco może rewolucyjnie, acz czujnie sama kiedyś ujęła: korpodziunie całego miasta, walcie się! Podobne uczucia żywić musiało zresztą wielu młodych ludzi, którzy rozpoczęli właśnie wyprzedaż swych marzeń, nadal jednak nie uwolnili się z tęsknot, i stanowiąc narybek dużych korporacji, czasowo wprowadzali się do mieszkań na Hafenstrasse.

Do mieszkań, oczywiście, na wyższych piętrach, gdzie nie docierał gwar ulicy, ale docierało za to słońce. Mieszkania te zajmowały głównie niższe półki klasy średniej oraz bardziej lub mniej dobrowolnie lewicująca inteligencja. Czyli przede wszystkim wszelkiej maści freelancerzy i związkowcy, ale też i nigdzie niezrzeszeni pracownicy bibliotek, korepetytorzy, redaktorzy antologii młodej fińskiej prozy, wykładowcy szkół wyższych o wiecznym statusie gościa, mistrzowie łucznictwa i flamenco, felietoniści niskonakładowych periodyków i operowe śpiewaczki, które o północy, zupełnie jak w Wenecji, głosem Cecilii Bartoli obdarowywały śpiącą Hafenstrasse ariami z Mozarta i Rossiniego.

Przekrój społeczny lokatorów zmieniał się wraz z kondygnacją i nieco inaczej sytuacja wyglądała na piętrach niższych; niższe piętra zamieszkiwali głównie ci, którzy latami dobrze się zapowiadali, ale w końcu przestali. Na wycieraczkach pod drzwiami nierzadko stały tam nowiutkie, acz zakurzone buty do gry w golfa, zdeptane oficerki lub mokasyny z cielęcej skóry, których lata świetności minęły dawno temu. Światło w oknach gasło z reguły w okolicach północy, ale aż do rana zza ścian dobiegali na przemian Coltrane i Cohen, Davies i Dylan, Maria Callas, Pink Floyd i Mahler, a w porywach Wagner.

Piętra niższe zamieszkiwali też, oczywiście, ludzie z gatunku przezroczystych, cała ta wymykająca się wszelkim kategoriom i pozbawiona właściwości większość, na którą składali się farmaceuci bez aptek, sternicy bez jachtów, wielbiciele rewii na lodzie i teleturniejów, emeryci, renciści czy też wielodzietne rodziny, które co sobotę, odlepiwszy się na chwilę od płaskich telewizorów, wbijały się w piętnastoletnie passaty i na podmiejskich działkach upust dawały swej nieokiełznanej skłonności do grillowania.

Jeszcze inaczej było na parterach. Partery bowiem nie dość, że wystawione na hałas śmieciarek, były nieludzko zagrzybione i, pomimo czynszów graniczących z jałmużną,

nikt przy zdrowych zmysłach nie mieszkał tam dłużej niż musiał. Na parterach dominowała zatem głównie odporna na hałas i pasożyty, pozytywnie do życia nastawiona młodzież – przyjazne nanowspólnoty alterglobalistów, stypendyści z Europy Wschodniej i Ameryki Łacińskiej, bojownicy walczący o amazońską puszczę, nieugięci wyznawcy Chomskiego i Snowdena, zwolennicy ruchu *occupy everything*, posiadacze imponujących dredów, zasłaniający okna flagami Tybetu i Mao i tak dalej. Zdarzali się też wirtuozi gry na organkach lub artyści totalni, bez konkretnego środka wyrazu, oraz, *last but not least*, sprowadzeni na ścieżkę prawa absolwenci zakładów karnych, którzy w zatęchłych klitkach zaczynali oto nowe życie w społeczeństwie.

Czasami w którymś z parterowych okien, zza dzierganych firanek wyłaniała się jeszcze krucha postać w nieśmiertelnych beżach; zdarzało się to jednak coraz rzadziej i zakład na rogu, w którym do niedawna fryzjer ondulował srebrne włosy, zupełnie niepostrzeżenie stał się salonem tatuażu.

Na Hafenstrasse nieustannie coś się zmieniało, większość zmian zachodziła jednak niepostrzeżenie. W przyportowych siedliskach bowiem żyje i umiera się z reguły na tej samej nucie, a jedynym, co na chwilę wybija mieszkańców z rytmu egzystencji, bywa przegrany mecz, pożar lub burza, która – o dziwo – nie przeszła obok.

Marta na Hafenstrasse zamieszkała przed dziesięciu laty, zajmując lokal po studencie ornitologii z Helsinek; student ów, jak się dowiedziała, pisywał też kryminały, w których nie popełniano zbrodni, i pewnej niedzieli grudnia, w samą akurat Wigilię, wypadł z okna. Nigdy nie wyjaśniono, czy w tragedię tę zamieszane były osoby trzecie – padał deszcz ze śniegiem, większość sąsiadów oglądała akurat *Sissi* z Romy Schneider, a laptop studenta zniknął. Wiadomo więc o nim było tylko tyle, że –podobnie jak większość fińskich studentów – cierpiał na depresję, nie znosił rosyjskich

wódek i filmów Aki Kaurismäki, a w szufladzie trzymał kilka książek Väinö Linny; na imię miał Joona, co znaczyło gołąb.

Do mieszkania po fińskim studencie Marta wprowadziła się wczesną wiosną, a konkretnie 13 marca. Pamiętała tę datę dokładnie, bo pamiętanie cyfr zawsze przychodziło jej łatwo, a ponadto w tym właśnie dniu Ricardo Cortez Espinoza, obywatel Boliwii, przewiózł ze śnieżnobiałej willi do pachnącego mokrą jeszcze farbą i jak śmierć obcego mieszkania na pierwszym piętrze cały majątek Marty, czyli dwie walizki, wysyczał *puta madre* i trzasnąwszy drzwiami, dramatycznym truchtem zbiegł po schodach, by nigdy już nie powrócić. Ricardo był aktorem i występował w historyczno-obyczajowym serialu *Rodzina znad Jeziora Titicaca*, w którym grał ulubioną przez widzów rolę potomka Simona Bolivara. Ricardo był także, przez sześć długich jak tysiąc odcinków serialu lat, mężem Marty. Marcie pozostała po nim miłość do Boliwii, która splatała się z nienawiścią do wszystkiego co boliwijskie, oraz nazwisko. Nazwisko Marta zachowała, bo brzmiało o niebo lepiej niż jej nazwisko panieńskie.

Mieszkała sama i – jak powtarzała – chyba tylko dwa cuda mogłyby odmienić ten stan rzeczy: robot, który spełnia funkcje mężczyzny, a przy tym po sobie sprząta, lub Leonard Cohen. Jako że wariant pierwszy był socjotechniczną utopią, a dla Leonarda Cohena od lat była za stara, Marta z ulgą właściwą kobietom wyzwolonym ze złudzeń wiodła radosne życie singielki.

Jej życie wpisywało się w rytm życia pozostałych mieszkańców pięter niższych, z tą może różnicą, że zamiast Marii Callas i Dylana, Marta słuchała Cohena i Diamandy Galas, a na wycieraczce pod jej drzwiami stała para kaloszy.

Oficjalnie Marta zatrudniona była na ćwierć etatu jako redaktorka w literackim periodyku, a mniej oficjalnie sprzedawała kanapki z mortadelą w foyer teatru Albrecht i pisała książki. Przyjaciół nie miała wielu. Lub, mówiąc

inaczej, liczba przyjaciół, jakakolwiek by nie była, i tak pozostawała abstrakcyjna, bowiem nic z niej nie wynikało. Podobnie układały jej się stosunki sąsiedzkie, bo choć sąsiadów swych znała od dekady, wszelka znajomość ich sekretów nie przekładała się na międzyludzką bliskość. Marta czas spędzała więc z reguły w towarzystwie samej siebie, przez okno za to obserwować mogła bogate życie towarzyskie ćwierkających w koronie lipy ptaków.

Każdego poranka, lub konkretniej: każdego południa, Marta wstawała z łóżka i witała się ze swą imponującą biblioteką; setki, a może i tysiące grzbietów mówiły Marcie dzień dobry. Zaraz potem, w piżamie w pandy i z kawą w dłoni przenosiła się za biurko i przystępowała do korekty podesłanych tekstów; teksty owe były bardzo różne, większość ich autorów jednak łączyła cecha wspólna: ocierali się oni o geniusz analfabetyzmu. Zrozumiałą ulgę stanowiła więc (kilkanaście razy w miesiącu) praca w teatralnym bufecie i pisanie książek.

Wszystko to oczywiście wydawać się mogło równie pasjonujące jak mortadela w bułce, czyż jednak największy nawet banał nie kryje w sobie mrocznej tajemnicy? Problem w tym, że ciemną stronę banału dostrzec potrafią jedynie ujadające pod zwykłym murem psy, wydzierające się w słoneczny poranek dzieci oraz czujni autorzy kryminałów.

Marta Cortez Espinoza była autorką kilku powieści kryminalnych. Prócz wydawcy nie wiedział o tym jednak nikt, bo Marta od dziesięciu lat podpisywała się pseudonimem; był to pseudonim mroczniejszy od wszystkich ośmiu boków Oktagonu, upiorniejszy od miałkiej egzystencji na wszystkich piętrach Hafenstrasse, i – dla spotęgowania grozy – fiński: J. Määttä.

W opowieściach J. Määttä nie było jednak ani wampirów z Whitechapel czy Transylwanii, ani ścigającego ich van

Helsinga czy Polańskiego. Nie było tam też detektywów – ani tych tak przebiegłych jak Miss Marple i Hercules Poirot, ani tak kompulsywnych jak Adrian Monk, ani choćby tak ładnych, jak wcielony w Sherlocka Holmesa Benedict Cumberbatch. Nie było tam też genialnych na socjopatyczną modłę kobiet à la Lisbeth Salander, bo choć postać tej ostatniej budziła podziw Marty-człowieka, to jednak Marta-autorka nie chciała umrzeć jak Stieg Larsson w wieku lat pięćdziesięciu z powodu rozległego zawału mięśnia sercowego.

W opowieściach J. Määttä nikt nikogo i nigdy nie zabijał w sensie dosłownym: za pomocą tłuczków do mięsa, sekatorów czy nieśmiałych dawek arszeniku w porannej kawie. Postaci w opowieściach J. Määttä, będąc jedynie marionetkami w losowo dobranych rękach, od początku bowiem albo już były martwe, albo też ginęły w sposób tak pospolity, że sprawcy nawet nie próbowano szukać: usychały z rozpaczy lub z nudy, nadziewały się na kijek do nordic walking lub wypadały z okien. Większość z nich jednak skazana była na powolną – dzień za dniem, rozdział za rozdziałem, tom za tomem – na równie nieuniknioną, jak i bezkarną śmierć.

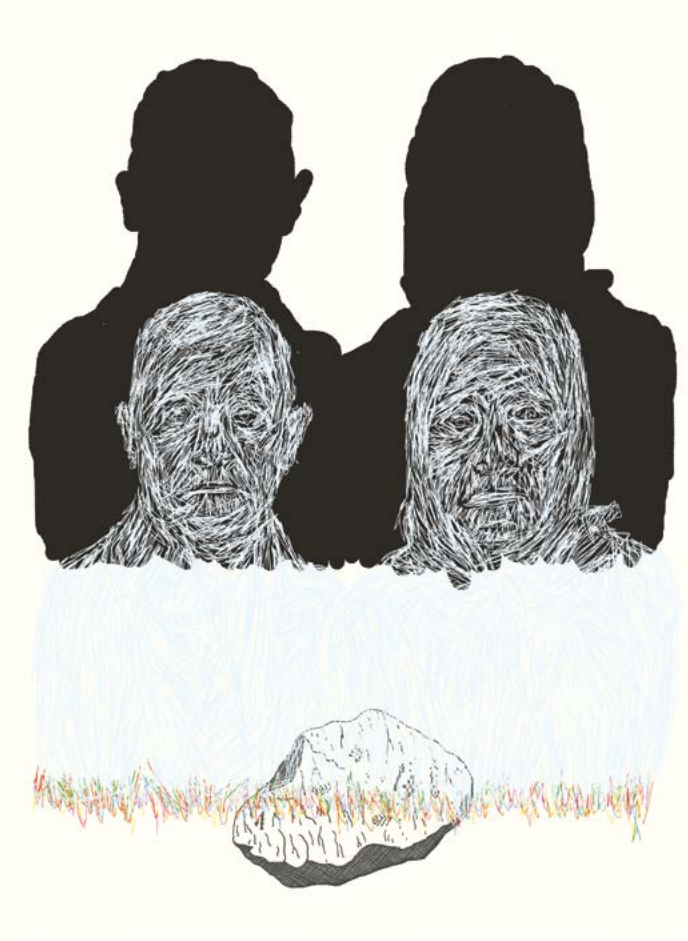

LAILA STIEN

W drodze

Ręce oparł na kierownicy. Silne – jak na mężczyznę pracującego głównie piórem. O szerokich, choć szczupłych nadgarstkach. Stawy w palcach trochę napuchły. Artretyzm, stwierdził lekarz. Czasami bolą, ale się tym nie przejmuje. Zwykle lekko je masuje, bezwiednie, na przykład podczas oglądania telewizji. Musiał zrezygnować z noszenia obrączki. Nie przechodziła przez staw w połowie serdecznego palca. Więc ją zdjął, kiedy jeszcze mógł. Leży w małej szkatułce, a po wewnętrznej stronie ma wygrawerowane jej imię. *Twoja*, napisano. To znaczy, nieprawda, napisano *ty*, bo tak jest w jego języku. Ona też nim mówi, ale u niej to wyuczone, siedzi gdzieś w korze mózgowej, po prawej albo lewej stronie, sama tego nie wie. Dla niego te dwie litery, *t+y*, wymawiane odmiennie, zapewne funkcjonują jak odruch. Po prostu są. Dla niej słowo jest zaimkiem dzierżawczym w drugiej osobie liczby pojedynczej.

Jej obrączka zresztą również znajduje się w tej szkatułce. Bała się, że ją zgubi. Tak bardzo schudła.

Zwały śniegu na poboczu są wysokie. Sięgają ponad dach i żeby tylko. Droga jest świeżo odśnieżona, równa, pełnej szerokości, na szczęście nie ma jazdy w kolumnie za pługiem. I pogoda dopisała, tfu, tfu. Gorzej przy zawiei i zamieci, gdyby trzeba było gnać. Teraz im nigdzie nie spieszno. Obliczyli czas z zapasem, sprawdzili pogodę na yr.no i mogą być spokojni. Ona musi po prostu zdążyć na wizytę u lekarza, wizytę wyznaczoną ponad tydzień temu. W szpitalu. Wyjaśnią to. Tym razem to stwierdzą.

Po poboczach przesuwają się śnieżne tyczki. Rozbłyskują trafione reflektorami paski odblaskowe. Jeszcze nie ma pełnego światła dnia. Zresztą i tak nie będzie przecież pełne. Polarna noc potrwa jeszcze kilka tygodni. Dopiero koło dwudziestego znowu zobaczą słońce.

– Kawy?

– Chętnie.

Odwraca się i wyławia termos z siatki na tylnym siedzeniu.

– Zjesz coś?

– Chyba jeszcze nie.

Sama musi być na czczo, ale dla niego przygotowała na drogę prowiant. Kanapki, kawę i kawałek suszonego mięsa. W końcu to ładnych parę kilometrów. Choć droga jest dobra i wszystko gra, zejdzie im cały dzień.

Nalewa kawy i podaje mu parujący kubek. On wkłada go do uchwytu na desce rozdzielczej, żeby napój przestygł.

Siedzi wygodnie. Lubi jechać samochodem. Czy raczej być wieziona. Całkiem jej dobrze.

Przy tak wysokich hałdach śniegu po bokach niewiele widać. Może to się zmieni, jak wjadą na samą górę. I kiedy skręcą na wybrzeże. Tu i teraz widać tylko tyczki i niebo pobłyskujące czerwienią, odcieniami głębokiej czerwieni, które w ciągu dnia staną się ostrzejsze. No i on. A raczej jego dłonie – na kierownicy. Właśnie te dłonie widzi. O ile nie obróci głowy lekko w bok, co czasem czyni. On to zauważa, również spogląda w bok, uśmiecha się, lecz nie do końca mu się to udaje. Włoski na grzbiecie dłoni – ciemne, na nadgarstkach też. Ramion nie widzi, są osłonięte swetrem. W starych dziełach antropologicznych pisali, że owłosienie na ciele Samów jest skromne. Antropologia fizyczna, tak to się nazywało. Dziwne rzeczy pisali w tych książkach. Jedną taką, jak się jej zdaje, mają w domu, kupioną w antykwariacie.

Obiekt badań musiał na żądanie oddać swoje ciało do dyspozycji w celu dokonania najróżniejszego rodzaju opisów i pomiarów. Materiał publikowano w książkach. Bogato ilustrowanych. Ci rozebrani do naga i obfotografowani nie wyglądają na specjalnie z siebie dumnych. Natomiast dla tych odpowiedzialnych za pomiary sytuacja jest całkiem naturalna. Niektórzy są podmiotami, inni – przedmiotami.

Kawa mu najwyraźniej smakuje. Wzdycha z zadowoleniem.

Najgorszy podjazd już za nimi. Teren się spłaszcza. Zsunięty na pobocza śnieg jest niższy. Wiatr go porwał i zwiał. Mijają rozproszone chaty hodujących renifery Samów, którzy przepędzają tutaj zwierzęta na letni wypas. Skromne chatki, większość z szopą, zadaszoną stertą drewna na opał i trójnogiem do suszenia mięsa i sprzętu. Teraz pustym. Tylko cienki brzozowy kikut sterczy na tle coraz bardziej czerwonego nieba. Śnieg ciasno otulił ściany. Dojazd do chatek zasypany. Nigdzie ani śladu życia. Są teraz w głębi kraju, ludzie i reny. Jeszcze długo nie ruszą w te strony.

Wtedy, strasznie dawno, prawie całe pokolenie temu, kiedy jechali tędy na przyjęcie, zdążyli akurat zobaczyć, jak przez szosę przechodzi stado renów. Były w drodze z zimowego wypasu na letnie tereny na wybrzeżu. Pośrodku jezdni dwóch facetów z rozpostartymi ramionami zatrzymywało samochody. Nie było żadnych zapór, nawet plastikowych taśm – tylko ci dwaj w pełnym zimowo-górskim umundurowaniu, w peskach[1] i skallach[2] – po obu stronach falującej rzeki lśniącej sierści i delikatnego poroża, która płynęła w poprzek drogi i dalej po łagodnym zboczu w kierunku jeziora, przecinała je i płynnym tempem przesuwała się przez płaski teren pod niskim, prawie pozbawionym drzew wzgórzem.

Siedzieli w samochodzie, póki nie przeszło całe stado. Dopiero wtedy wyszli. Tymczasem dołączyło kilka innych aut. Wszyscy ich pasażerowie wysiedli. Obaj dotychczas blokujący drogę mężczyźni wskoczyli na skutery śnieżne i jechali teraz powoli z tyłu stada, utrzymując stałą odległość. Nauszniki ich futrzanych czap zwisały luźno. W każdej chwili

1 Pesk – wciągane przez głowę wierzchnie okrycie ze zszytych skór reniferów (najczęściej cieląt renów), noszone sierścią na wierzch. (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza)

2 Skaller – zimowe buty nad kostkę o specjalnym kształcie, szyte ze skóry renifera (sierścią na wierzch) z wkładkami ze sfilcowanej wełny

potrafi przywołać ten widok, całą sekwencję obrazów jak na filmie oglądanym w zwolnionym tempie, wciąż ma go na siatkówce oka. Jedną z piękniejszych rzeczy, jakie dane jej było oglądać.

To było po Wielkanocy, wtedy odbywa się wiosenne przepędzanie stad. Jasny dzień. W promieniach popołudniowego słońca śnieg błyszczał, futra zwierząt lśniły, lecz to ruch, owo falowanie gęsto zbitego stada urzekało najbardziej – ten strumień życia wijący się przez lekko pofałdowany, ośnieżony teren. Słychać było stukotanie raciczek, taki specyficzny klekot, prawie jak kastanietów, tyle że dźwięk był niższy. I szum – intensywny szelest setek ocierających się o siebie w ruchu zwierząt. Psy biegły tuż przy stadzie, po jednym z każdej strony. Możliwe, że szczekały, ale tego nie słyszała. Albo nie pamięta. Może odzywali się też ludzie, wszyscy ci krewni, którzy towarzyszyli pasterzom i wykrzykując komendy, pomagali zaganiać reny. Całkiem prawdopodobne. Jednak w pamięci ma tylko odgłos stada. I wielką ciszę.

Wysiedli z samochodu również jadący z nimi wtedy jego koledzy, towarzysze z dzieciństwa spędzonego w rodzinnej wiosce. Stanęli obok i patrzyli. I oni się nie odzywali. Po prostu stali i osłaniając oczy przed słońcem, obserwowali.

Właściwie miała z nimi nie jechać. Powinna siedzieć w samolocie w przeciwnym kierunku, do Tromsø. Podwoził ją na lotnisko, potem miał ruszyć z kumplami dalej, najpierw przez góry, a po ich drugiej stronie w głąb lądu. Dobrze się bawili w samochodzie. Był joik[3] i żarty. Trzech wesołych facetów na tylnym siedzeniu. I ona z przodu, obok kierowcy. Chłopaki wybierały się na imprezę, ona do wydziałowej czytelni. Wszyscy mieli dobry humor, ona też. Widać się zaraziła, chyba tak to się stało. Sama dokładnie nie pamięta, kiedy lub gdzie na trasie powiedziała nagle: Jadę z wami.

3 Joik – dawniej rytualny śpiew ludu Samów identyfikujący religijnie i kulturowo (częściowo będący tabu), obecnie jako element folkloru, przetwarzany również w formie folku, muzyki świata.

Ucieszył się. W każdym razie nie zauważyła ani śladu innej reakcji. Na pewno bez niej byłoby łatwiej. Gdyby byli sami – tylko oni. Jednak nie zauważyła, by nastrój na tylnym siedzeniu się pogorszył, wprost przeciwnie.

Błysnęła na żółto strzałka wskazująca lotnisko. Minęli ją z szumem silnika.

– Gdzieśmy wtedy widzieli to stado renów?

– Niedaleko stąd. Chyba jeszcze z dziesięć kilometrów, jakoś tak.

Nie odzywa się więcej. Mogłaby wspomnieć, jaki to był fantastyczny widok, boski, uczta dla oczu, najpiękniejszy... Albo że się cieszy, że to widziała, przeżyła. Coś w tym guście. Jednak się opanowuje, gryzie w język. Bo to, co on miał przed oczami, kiedy tam stali w milczeniu, najprawdopodobniej było całkowicie odmienne. Widział porządnie odkarmione reny, które nieźle zniosły przepędzanie, bo tereny wypasu były dobre, niezalodzone, nieogołocone przez wichury i burze, z dostępem do mchu. Pogoda w drodze sprzyjała, to znaczy w nocy było zimno, ścinał mróz. Żeby przepędzić stado wzdłuż przez płaskowyż aż na wybrzeże, potrzeba właśnie tego, zmrożonego nocą podłoża, żeby niosło – reny, ludzi, sanie. To, co on widział, albo mógł stwierdzić, kiedy stali razem w ciszy, świadczyło, krótko mówiąc, o tym, że się powiodło. Właściciele renów przepędzili stado prawie na miejsce i wszystko wydawało się w porządku.

– Jak tam dojedziemy, możemy rozprostować nogi. Chcesz?

– Tak, chętnie.

– W pobliżu jest mijanka. Możemy tam stanąć.

W Skaidi zjadą z autostrady i skręcą prosto na północ. Do Hammerfestu. *Na najdalszą nagą wyspę*[4]. Była tam kiedyś na seminarium z historii lokalnej. Interesujące sprawy.

4 Cytat z poematu epickiego Henrika Ibsena „Terje Vigen", 1861.

Jakaś pani z muzeum w Tromsø miała wykład o osadnictwie Samów nadmorskich. Nie wygwizdano jej wprost, niemniej opór był wyraźny. Nie chodzi o to, że mruczących z dezaprobatą było wielu, raczej o to, że zachowywali się głośno. Ich zarzuty nie okazały się dobrze uzasadnione, sprowadzały się głównie do komentarzy typu „co za głupoty" i im podobnych. Kobieta wytrzymała. Miała folie, pokazywała wykresy dotyczące składu ludności zamieszkującej tereny wokół fiordów w kolejnych epokach. Przez długi czas dominowali Samowie.

Skaidi. Góra między spotykającymi się rzekami, tyle to znaczy. Masyw górski tronuje w północnym końcu olbrzymiego płaskowyżu, na samej górze mapy, otoczony wodami dwóch łączących się rzecznych koryt, dwóch życiodajnych żył.

Samochód zwalnia, skręca w zatoczkę do parkowania, zatrzymuje się. Silnik gaśnie.

Rozpoznaje okolicę. To musiało się dziać mniej więcej tutaj. Łagodnie nachylone ku północy zbocze, jezioro, wzgórze. Tylko wtedy było więcej widać. Wysokie hałdy śniegu zniknęły, słońce je stopiło, zbliżała się wiosna. No i szosa była dużo węższa, stanęli tak blisko pobocza, jak się dało. Stali tam w ciszy, a potem wsiedli do samochodu i pojechali dalej.

Przydzielony im domek kempingowy był całkiem w porządku. Choć zimny, o ile pamięta. Zimny i wilgotny. Włączyli ogrzewanie na maksa. Na pewno zrobili kawę, chociaż nie może powiedzieć, by to akurat utkwiło jej w głowie.

Miejsca wystarczyło dla wszystkich. Cztery łóżka. Oni we dwójkę bardziej niż chętnie ścisnęli się w jednym. Zresztą noc była krótka. Zimna i gwiaździsta.

Wielkanocne świętowanie to było doroczne zjawisko. Wielkanoc sama w sobie właściwie już minęła, ale zazwyczaj ją przeciągali, bo przy okazji musiało się znaleźć

miejsce dla wielu innych wydarzeń. Od prawieków tak się działo. Odbywały się chrzty, śluby, konfirmacje – zanim połowa mieszkańców ruszyła za renami i rozproszyła się wzdłuż wąskiego pasa wybrzeża oraz po wybranych wyspach. Pracowity czas – Wielkanoc. Od zawsze. Impreza, na którą wtedy jechali, stanowiła swego rodzaju ostatni etap. Wprawdzie nie była największa – te najludniejsze już się odbyły, w wielkiej hali z plastiku. Ludzie szli tam wówczas jak jeden mąż – hodowcy renów i Samowie osiadli, studenci na feriach w domu i mieszkańcy napływowi, a nawet turyści. Oni oboje też tam bywali i dobrze się bawili. W ogóle była to piękna Wielkanoc. Prawie codziennie na nartach. Byli też na weselu, trzydniowym, na tysiąc pięćset osób. Miała wrażenie, że poznała wszystkich gości. „*Bures*", mówili i ściskali jej rękę, wyjaśniając, że są spokrewnieni z jej narzeczonym, kuzyni w trzecim albo czwartym pokoleniu, niektórzy jeszcze dalej, niemniej krewni. Ród. Kiwali głową jej narzeczonemu, chwalili dziewczynę, którą sobie wybrał, elegancką i dopasowaną wzrostem.

Teraz się też wystroiła. Na kolejną uroczystość. Tym razem nie w hali z plastiku. I zupełnie innego rodzaju fetę. Inne miejsce, inni ludzie, przyjezdni z wielu miejscowości. Odświętny strój przywiozła w walizce, wszystko, co dostała nowego – kofte[5], srebrne ozdoby, jedwabną chustę. Przyszli teściowie o to zadbali. Wprowadzili ją do domowego ogniska. I ubrali na nowo od stóp do głów.

Napili się wódki z papierowych kubków i w dobrym humorze ruszyli do lokalu, w którym odbywała się impreza. Wszyscy w odświętnych ubraniach – kiedy szli drogą, brzęczały głośno srebrne przywieszki.

Cieszyła się? A może trochę obawiała? Nie pamięta, tyle już lat minęło, co najmniej czterdzieści. Zapamiętała jedynie otaczającą ją atmosferę, towarzyszy podróży. To byli

5 Kofte (samekofte, gakti/ gapta) – tradycyjny strój samski, przypomina średniowieczną tunikę sięgającą bioder lub kolan (u mężczyzn) albo dłuższą (u kobiet), nakładana przez głowę; pierwotnie szyta ze skór reniferów, potem z wełnianego sukna lub bawełny (przeważnie niebieska lub czarna z czerwonymi haftami), zebrana bogato zdobionym pasem.

sympatyczni chłopcy, dobrzy kompani. Z nimi nic nie wydawało się problemem. No i o n. Trzymał ją za rękę. Z całą pewnością – po drodze, na schodach i w środku.

Dobrze zrobić postój, kiedy przez kilkadziesiąt kilometrów siedziało się w pasach. Trochę się rozruszają. Pooddychają świeżym górskim powietrzem. Jest jednak zimno, więc ona lekko drży i szybko chce wracać do samochodu. On wypija jeszcze trochę kawy i zabarwia śnieg na żółto, po czym ponownie zapinają pasy i płynnie wyjeżdżają z dobrze odśnieżonej mijanki.

Przez chwilę słuchają radia. Lokalnych wiadomości. Podawane jednostajnym tonem nie wpadają jej za bardzo w ucho. Za godzinę będą na miejscu. Zaparkują, wejdą. Pójdzie z nią – aż do środka.

Wiadomości kończą się prognozą pogody, ale i tej nie usłyszała. Wkłada płytę do odtwarzacza. Pink Floydów.

Zza niskich i gęstych zarośli wierzby wzlatują trzy pardwy. W zimowym upierzeniu lśnią śnieżną bielą na tle płonącego teraz nieba. Zbliżają się do Skaidi. Skręcą pod kątem prostym i pojadą na północ prawie do końca drogi.

A może było inaczej? Może nie powiedziała nagle, jak gdyby nigdy nic: „Jadę z wami”. Może to raczej oni powiedzieli: „Jedź z nami teraz, no jedź”, a ona dała się namówić? Chyba tak właśnie było. Wydaje się najbardziej prawdopodobne. Nie pamięta przecież w szczegółach słów, które padły tak dawno temu. Natomiast atmosferę w samochodzie pamięta doskonale. To ona ją porwała. Oczywiście. Sama tego nie zaproponowała. Nie była aż tak naiwna.

Czy żałowała tego po drodze? A po przyjeździe – czy nie miała ochoty raczej zostać w domku kempingowym? Napić się jeszcze wódki? A brzęczące srebrne ozdoby na strojach, czy sobie ich nie wymyśliła?

Co się działo na schodach, zanim weszli do środka, zanim przestąpili próg i wmieszali się w zgromadzony kolorowy tłum w koftach? Czy szła tam z odważnym optymizmem? Czuła się dobrze, czy nie na miejscu?

Ileż trudu kosztuje zapamiętanie tylu rzeczy, sama próba zapamiętania.

– Przysnęłaś?

– Chyba się trochę zdrzemnęłam. Gdzie jesteśmy? Przejechaliśmy tunel?

– Tak.

– Przez most? A skała? Ją też minęliśmy?

– Tak, oczywiście.

– Głupia sprawa.

– Dlaczego? Nie warto było uciąć sobie drzemkę?

– No tak, ale... Chciałam zobaczyć.

– Tunel?

– Nie, skałę.

– Zobaczysz w drodze powrotnej.

– Nie, wtedy będzie ciemno. Myślałam, że... zrobię zdjęcie... telefonem.

– Nic pewnego. Nie ma pewności, że będzie ciemno. Przecież szybko się uwiniesz u lekarza, prawda?

– Nie wiem. Nie umiem powiedzieć.

Więcej się nie odzywa. Nie mówi, że to dziwny pomysł. Po co jej to? Z d j ę c i e . Są ich setki. Skała w Kvalsundzie jest chyba najczęściej fotografowanym kamieniem ofiarnym na świecie.

Nie wie, dlaczego czuje się oszukana. Nie zajmuje się akurat fotografią artystyczną. No i odległość jest za duża teraz, kiedy przesunęli szosę. Zdjęcie wyszłoby marne. Mimo to została oszukana. Chce jej się płakać.

Co za idiotyzm.

Nazywają go Stallo[6]. W informatorach turystycznych i wszędzie. Dziwna nazwa dla świętego kamienia. Trolle i podziomki nie mają nic wspólnego z religią. To czyste świętokradztwo nadać mu takie imię. Chyba go przechrzczono. To pewnie Norwegowie, którzy przyszli tu później, tak go nazwali. Może określenie jest całkiem nowe, właściwie: „Samski troll". Potężny okaz. Widziała go przecież przedtem, nawet z bliska – olbrzym, który wyrasta nad morzem z kamiennego podłoża. Wysoki i wąski jak pomnik – „ołtarz" dla tych, którzy żyli tutaj wśród fiordów i gór.

Czy coś takiego – święte miejsca innego ludu – można sobie po prostu przywłaszczyć? Czy tak wolno?

A może oni sami to zrobili? Samowie. Nazwali kamień na nowo, kiedy zostali chrześcijanami. Zdystansowali się przez tę nazwę od własnej starej wiary. Nadali kamieniowi przezwisko. To przecież także prawdopodobne. Na pewno da się sprawdzić. U Qvigstada[7]. Tam jest opisane prawie wszystko. Całkiem możliwe, że nawet mają tę książkę w domu. Nazbierali ich trochę. Nieco za dużo. „Lappische Opfersteine und heilige Berge", tak to się chyba nazywało.

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

– Chcesz pić?

– Nie, wszystko w porządku.

Zdejmuje rękę z kierownicy i kładzie jej na kolanie. Na szpiczastym kolanie. Przez chwilę ją tam trzyma. Jej ciepło i ciężar pozostają długo po tym, gdy cofa rękę z powrotem na kierownicę.

Po jednej stronie mają fiord, po drugiej rozciąga się płaski teren. Też nagi. Drzew na nim tak mało jak w górach. Tu

6 Stallo występuje w wierzeniach samskich w wielu rolach, szczególnie często w bajkach i baśniach pojawia się jako pożerający ludzi troll albo jako zjawa czy nasłany przez szamana demon. Jest zły i silniejszy od ludzi, ale głupszy i można go przechytrzyć. Jest to też nazwa formacji skalnej nad cieśniną Kvalsund przy drodze krajowej nr 94 z Hammerfestu do Kvalsundu, pełniącej aż do początków XIX wieku funkcję kamienia ofiarnego.

7 Just Knud Qvigstad (1853-1957) – filolog, folklorysta i badacz języka samskiego. Książka, o której mowa w tekście, to „Lappische Opfersteine und heilige Berge in Norwegen", Kristiania 1926.

i tam mignął jedynie płożące się jałowce i czasami karłowata brzózka o białym pniu z cienką jak koronka korą. Rozsiane rzadko, odbudowane po wojnie domy są do siebie dość podobne, stawiano je w tym samym czasie – po spaleniu tej ziemi przez Niemców. Mijają szopy na łodzie i statywy do suszenia ryb na brzegu. Pozbawione śnieżnej pokrywy płaskie skały przeplatają się z niewielkimi nawisami naniesionego wiatrem śniegu i pokrytymi cienką warstwą bieli łąkami.

Jakby wjeżdżali do innego kraju, gdzie panuje inna pora roku.

– Możemy się na chwilę zatrzymać?

– Teraz? Zaraz dojedziemy. Niedobrze ci? Będziesz... Dzieje się coś?

– Nnie, po prostu miałam ochotę... stanąć.

Odwraca się i jej przygląda. Ona to widzi, choć patrzy przed siebie.

– Ah-ha.

Słyszy to westchnienie. Na pewno bezwiedne.

– Może trochę dalej. Zobaczymy, czy się znajdzie odcinek prostej drogi – ciągnie pogodnie. Z udawaną beztroską.

Te jej humory działają na nerwy. Sama to rozumie. Zatrzymać się – i po co?

Przed nimi tylko zakręt za zakrętem. No i dobrze.

W środku był gęsty tłum. Wiele osób znała albo się z nimi kontaktowała. Niektóre rozpoznawała – z gazet i innych mediów. Były widoczne, wyróżniały się. Lekko wystraszeni Norwegowie określali je w listach do redakcji w różny sposób. Prasa lokalna dużo tego zamieszczała. Cóż, chyba jeszcze nie całkiem to zanikło.

Przedarli się przez tłok, znaleźli partnerów do rozmowy, odszukali też bar i parkiet do tańca, wolny stolik dla siebie

i inne stoliki, przy których mogli się zatrzymać. Ludzie byli mili, choć nie wylewni, bo też zwykle się tak nie zachowują. Nie gustują w owacjach czy innych gwałtownych gestach. Są milkliwi i spokojni, a jej się to podoba. Możliwe, że ci dwaj, na których wpadli w drzwiach i którzy przemknęli obok w swoich fałdzistych koftach, wymienili porozumiewawcze spojrzenia. A może to sobie tylko wyobraziła, a oni po prostu byli zajęci czym innym, akurat wtedy o czymś rozmawiali.

Krążyli po lokalu, siedzieli przy stoliku, tańczyli, on kupił piwo, minglowali, jak to się dzisiaj mówi. Poznawała nowych ludzi, witała się z nimi, przedstawiała, bardzo na to uważała, zawsze. Od tamtego razu, rok wcześniej albo coś koło tego, kiedy popełniła fatalny błąd. Znała ich język, zdała egzamin, mówiła nim. Przyzwyczaiła się, że ich to bawi, że to akceptują, ba, niektórzy wprost się zachwycali, traktowali niemal jak deklarację. Jednak tego wieczoru okazało się to błędem. Wybrała się do pubu w Tromsø z dwiema koleżankami ze studiów. Zamówiły po piwie, to było po jakimś kolokwium. Potem pojawili się ci dwaj faceci, nie znała ich, a przede wszystkim o n i jej nie znali. „Bures", powiedzieli, witając się uściskiem dłoni z jej koleżankami, jak to jest w zwyczaju, kiedy ludzie nie spotykają się codziennie. Do niej także wyciągnęli rękę, mówiąc „bures", a ona odpowiedziała w ten sam sposób. Lekko się przesunęła, robiąc miejsce. „Dáppe lea sadji", powiedziała. Wiec usiedli i rozmowa się potoczyła. Brała w niej udział i wszystko szło gładko. Tak jej się wydawało. Jednak całkiem gładko nie poszło. Koleżanka w głębi ławki, z którą siedziała ramię w ramię, zamilkła. W rozmowie uczestniczyli pozostali, pili piwo – chłopaki też, kupili je, zanim się przysiedli. Przy stole było wesoło, a ona miała w tym swój udział. Długo. Niemniej w kącie zapadła kompletna cisza. Czuła ten chłód, zauważyła go, zanim padły pierwsze słowa, przeskoczył po ramieniu w głąb duszy. A potem

usłyszała syczący szept – po norwesku: „Tego się po tobie nie spodziewałam”.

Przekroczyła granicę. Nadużycie, oto, czym to było. Kłamstwo. Człowiek nie podaje się za kogoś, kim nie jest. To po prostu kradzież. Język nie jest tylko językiem, to coś więcej. Idiom, tożsamość. Dla niektórych tym właśnie jest. A idiomy należy szanować, przecież to wie.

Została uwiedziona. Uwiodły ją własne zdolności. To tylko gra. Zabawa. Tak syczała jej w ucho koleżanka.

Bardzo ją to zawstydziło. I na długo pozostało, zaległo ołowiem. Zalega chyba do dzisiaj, skoro to pamięta.

Tak więc po tamtym zdarzeniu pilnowała się i z miejsca mówiła, kim jest, skąd pochodzi, podawała pełne nazwisko.

Tańczyli, gawędzili z ludźmi, śmiali się. Czuła się wspaniale. Była w odświętnym stroju, legalnie, przecież się zaręczyła, na palcu miała pierścionek.

To się musiało zdarzyć późnym wieczorem, skoro zdążyli zatańczyć ciasno przytuleni i pospacerować po sali, trzymając się za ręce. Jej dłoń w jego miękkim, ciepłym uścisku.

Muzyka przestała grać, siedli więc przy jakimś stoliku, gdzie już siedzieli inni z filiżankami i kieliszkami. Wtedy na scenę wyszedł przewodniczący komitetu organizacyjnego, znała go przelotnie z uniwersytetu. Podszedł do mikrofonu – był włączony albo mężczyzna go włączył – i zaczął przemawiać. Witał, serdecznie witał na tym s a m s k i m święcie wielkanocnym. Podkreślił to, dwukrotnie, zanim przeszedł dalej. Mówił różności o tym, jakie to ważne, żeby się spotykać, że się zjeżdżają z wielu stron, ba, nawet z wielu krajów, niektórzy z Finlandii, mówił o jedności, o trzymaniu się razem... Nie pamięta tego, nawet nie wie. Nie wie, jak długo przemawiał, czy ciągnął ten wątek. Podniosła się i wyszła szybko, tak jak prosił, jak polecił. Zrozumiała to, przecież znała język. Wyszła ona i jeszcze jedna dziewczyna, może było ich więcej, ale pamięta tylko tamtą jedną,

w dodatku zamężną, a nie zaledwie zaręczoną. Była mężatką, weszła do rodziny, osiedliła się tutaj. Ale tu nie należała, a właśnie ci, którzy tu nie należeli, zostali poproszeni o opuszczenie sali – od razu.

Nie musiał jej szukać, stała na środku otwartego placyku – skamieniała. Przyszedł za nią, objął ramionami. Noc była ciemna, ale gwiaździsta. Mogła widzieć. Widziała, jak idzie, schodzi po schodach, ale się nie ruszyła, nie zdołała się ruszyć, wyjść mu naprzeciw. Ziąb był siarczysty. Przytulił ją mocno, najmocniej jak potrafił, i ogrzewał swoim ciałem. Nad jego ramieniem dostrzegła tamtą, tę drugą, która także płakała. I też była obejmowana.

– Nie możesz zostać tu na dworze – powiedział. – Proszę.

Nie chciała wejść. Zaparła się. Rękawice zostały w szatni, osuszyła więc twarz rękawem kofty. A łzy płynęły dalej. Głaskał ją po policzkach. Długo. On też nie miał rękawic. Głaskał i prosił: „Chodź!”. Trzęsła się z zimna, ale nie miała zamiaru dokądkolwiek iść.

Ze środka wyszło więcej osób. Mówili, żeby się nie przejmowała, że nie ma się czym przejmować, że to bzdury, głupie gadanie. No chodź, wejdź do środka. Ktoś z nich wyciągnął piersiówkę: Weź, łyknij sobie, żebyś nie zamarzła na amen. Zacisnęła usta.

Następne, co pamięta, to że byli w środku. Musiała jednak wejść, i to z własnej woli, po schodach, przez drzwi, ale to się zatarło. Siedli przy stoliku całą grupą. Obejmował ją ramieniem. Pamięta, że dalej marzła i się trzęsła.

Nagle pojawił się ten z komitetu. Przechodził obok do innego stolika, albo może do toalety. Wtedy on rozluźnił uścisk, zerwał się z krzesła, stanął przed tamtym i chwycił go za wycięcie kofty. Facet próbował się uwolnić, ale mu się nie udało. Wymachiwał rękami, lecz utknął. A on – jej narzeczony – nie puszczał, trzymał go w silnym uścisku obiema rękami za obszerną koftę. I kofta wyślizgnęła się

spod pasa, zamieniając się w worek, z którego ledwie wystawała głowa.

Gdyby miała w sobie więcej ikry, myślała potem wielokrotnie, gdyby była bardziej podobna do n i c h, przepchnęłaby się do przodu, złapałaby narzeczonego za pas z tymi wszystkimi srebrnymi sprzączkami i odciągnęła go, wyciągnęła, zabrała stamtąd. Umiały to robić o n e, tutejsze kobiety, kiedy ktoś na przykład za dużo wypił i szykowała się bójka. To było ich zadanie, jedno z wielu. Ona jednak się nie ruszyła. Obejmowała dłońmi kubek z kawą, tylko tego mogła się trzymać. Siedziała jak sparaliżowana i patrzyła na to, co się dzieje, jak na film puszczany w zwolnionym tempie. Widziała, jak od kofty odrywa się pięść, jak wywija w tę i z powrotem w powietrzu w stronę mężczyzny uwięzionego w pułapce dłoni. Teraz trzymała go tylko jedna ręka, druga trafiała i się cofała. Pracowało całe ramię od barku po zaciśniętą pięść. Szybko. Potem opadło, ale tylko na sekundę, a nawet na krócej, zaraz też pojawiło się znowu, by złapać z całej siły za koftę. Głowa skryta w wysokim kołnierzu się chwiała, podskakiwała blond czupryna. Pchnięty w tył mężczyzna potknął się, lecz nie upadł, wymachiwał rękami, zataczał się, wywrócił stolik. Ludzie usuwali się z drogi wciąż popychanemu do tyłu, aż wreszcie z głuchym stukiem uderzył w ścianę. Przestał się już zataczać, przestał opierać. Po prostu stał, wciśnięty w ścianę, póki chwyt nie zelżał na tyle, by mógł się wymknąć.

Zmienia bieg. Ręka spada szybko na dźwignię. Stawy w palcach trochę pogrubiały od tamtego czasu, ale ręka jest ta sama.

Przygląda mu się z boku, ukradkiem, lecz on to zauważa, odwzajemnia spojrzenie.

– Już niedaleko.

– Aha

– Zostało coś jeszcze w tym termosie?

– Jasne, całkiem sporo.

Wyjmuje metalowy kubek z uchwytu i jej podaje.

Odkręca korek, smakowity zapach kawy łaskocze nozdrza, kiedy nalewa ją do kubka. Ich dłonie muskają się opuszkami palców, gdy mu podaje gorące naczynie.

Od czasu do czasu przypomina sobie tamto zdarzenie. Różne rzeczy sprawiają, że przychodzi jej ono do głowy. Kiedy on na przykład zbija coś w warsztacie stolarskim albo rąbie drewno, kiedy przywiera do dachówek, czy coś naprawia. Ten chwyt wokół wędki do spinningu albo delikatność, z jaką ubierał dzieci, kiedy były małe, karmił i bawił się z nimi. Wraca też na myśl, kiedy jej dotyka. Albo jak teraz, w samochodzie – gdy jego dłonie kierują, regulują ogrzewanie, zmieniają biegi.

I jego pięść wówczas w powietrzu.

Bardzo dziwne. I całkiem miłe. Tak sobie myśli. Tak chce o tym myśleć. Woli zapomnieć, jaka była przewrażliwiona, napięta i sentymentalna. Zapomnieć o wszystkim innym, co przynosi wstyd. Przecież wiedziała. Znała historię. Potrafiła rozpoznać stadium. A mimo wszystko...

Było, minęło.

W starzeniu się dobre jest to, że człowiek łagodnieje w stosunku do tego, kim był dawniej.

I zapominanie. Też jest dobre.

Przejeżdżają przez jeszcze jeden tunel. Ten jest krótszy. Zaraz wyjadą na światło. Widać teraz miasto. Także Melkøya z wielką rafinerią gazu lśni przed oczami jak jakiś Wersal.

Samo miasto jest niewielkie, położone na małym skrawku płaskiego lądu u stóp wysokiego i szerokiego grzbietu wzgórz, który rozciąga się ku północnemu krańcowi Kvaløya. Domy wspinają się także na zbocze, czepiają wąskich półek. Wokół całego miasta wiedzie zgodnie z ukształtowaniem terenu długa zapora dla renów. Ogradza samo

miasto. To dawne tereny letniego wypasu. Wciąż nimi są. Nie wszystkim się to podoba.

Przecinają miasto wąską główną ulicą, która przechodzi na strome zbocze, prowadząc na płaszczyznę wysoko na szczycie wzgórza. Tam stoi szpital.

Zatrzymał samochód. Silnik zgaszony. Ma w ręku kluczyki i patrzy na nią.

– No? Może już czas... wejść?

– Poczekajmy.

– Czekać? Tutaj?

– Tak.

Bawi się kluczykami. Pobrzękują. Na tym samym kółku ma też klucz do domu, do garażu i jeszcze inne. Gdy je obraca w palcach, metal wydaje przykry dźwięk. Gładzi go lekko po grzbiecie dłoni. Brzęk ustaje. Milknie. Tylko że on wygląda teraz, jakby mu czegoś brakowało. Jest niespokojny, bezradny. Nie odzywa się. Ona też nie. Gąszcz samochodów. Rząd za rzędem. Zaparkowali na samym końcu, tam znaleźli wolne miejsce.

Zapina kurtkę, wkłada czapkę, szalik, rękawiczki. Potem naciska klamkę i otwiera drzwi. Dopiero kiedy stawia obie nogi na ziemi, on z ociąganiem otwiera drzwi po swojej stronie.

Jest ślisko. Pochyla się ostrożnie i wyławia swoją torebkę. Zatrzaskuje drzwi. On zwleka trochę z zamkiem. Jakby czekał na polecenie. Usuwa śnieg z bocznego lusterka i z jednego reflektora. Potem okrąża samochód i podchodzi do niej. Kiedy ruszają, bierze ją za rękę i trzyma przez całą drogę z parkingu w dół do budynku z długimi korytarzami i bardzo ostrym światłem.

Przełożyła Maria Gołębiewska-Bijak

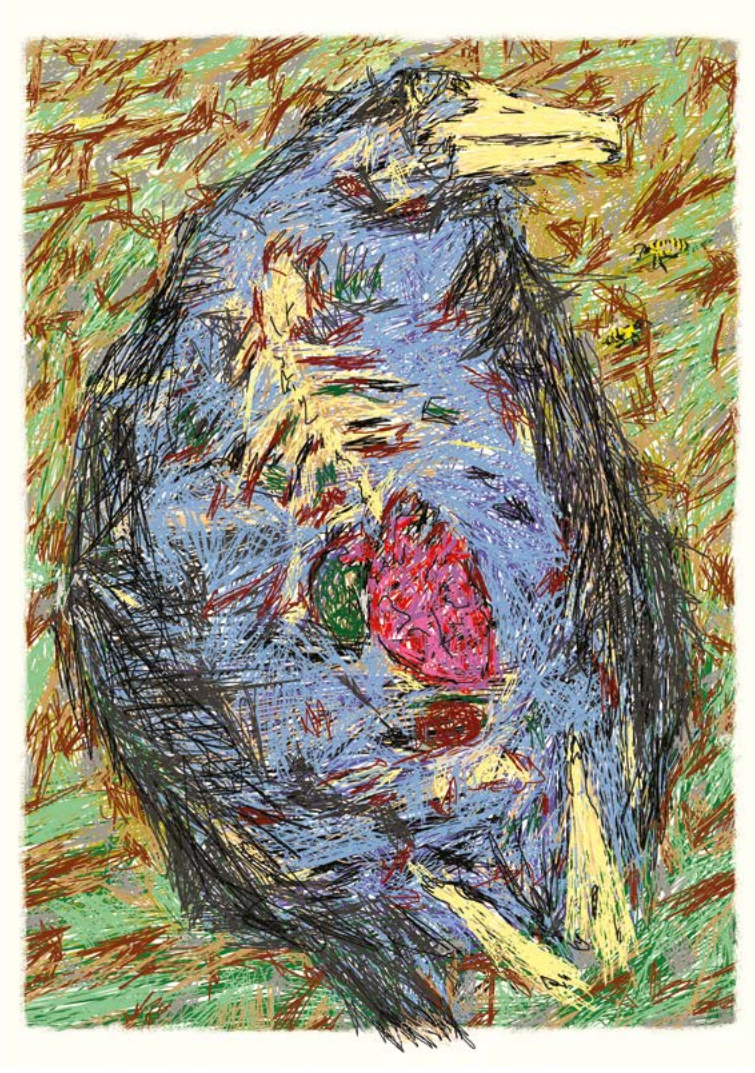

MAREK BIEŃCZYK

Albatros

Ktoś z nas powiedział wreszcie o nim: *poeta minor*. Czy doszło to do jego uszu i go zraniło, czort wie, nasza zona była mała, parę ulic na krzyż, słowa odbijały się od murów i wracały jak piłka wciąż do tej samej gry. No, z pewnością go nie zniszczyło, ale coś mogło w nim zadrżeć, niemiło się zatelepać.

Pierwszy raz zobaczyliśmy go w domu kultury na dzielnicy, tam czytywał swoje wiersze. Na miasto spadł huragan, psy miały szklane oczy, gołębie nie zlatywały już z dachów, człapaliśmy pochyleni, takie to wydarzenie, czytanie poezji w środku tygodnia, w słotny wieczór na zadupiu świata. Wiatr ośmieszał nasze rzadkie brody, rozwiewał długie włosy, szarpał je przysłany przez starszą złą siostrę; fale turlały się po kałuży jak nieme dźwięki po strunach, mogliśmy, cholera, iść gdziekolwiek.

W klubie było ciepło i aż nazbyt swojsko, coś z obory w środku zimy, zbełtane od wspólnych wydechów powietrze; deklamował dla tych parunastu osób, rzadko spoglądając w kartkę i dziwnym tonem, niemal dyszkantem, w każdym razie wyższym głosem niż później, gdy opowiadał przy herbacie o tym, co dobrego grali w Woodstock albo jak włóczył się autostopem po kraju. Bohdan. Bohdan miał na imię. Podobno na jakiś dawny jego wieczór wpadł sam Stachura, a nasz belfer od polskiego, Piotrowski, jego kumpel z kamienicy, a wcześniej z piaskownicy, walnął pochlebną recenzję dla miesięcznika, porównywał go do najlepszych, nie było źle. Podobało nam się, do herbaty wlewaliśmy po kryjomu, z kresu małolactwa, wódkę, najpierw znanym gestem ślepca gmerającego obiema dłońmi pod stolikiem, a później już całkiem otwarcie, podobało nam się, w końcu też pisaliśmy wiersze, a on był odpowiednio starszy i znał wydawców. Mieliśmy nadzieję, że dostał w mordę od władzy w sześćdziesiątym ósmym, jak wszyscy fajni ludzie na świecie, niektóre jego wiersze dopuszczały taką możliwość, my także byliśmy za realizmem.

Ale nie o nas to przecież historia. Chyba o Joannie, jeśli się głębiej zastanowić, licho zresztą wie. Joannie szalonej, niby jak każdy, lecz jeszcze lepiej, jeszcze dokładniej, miała na to papiery, krótko, bo krótko, ale raz siedziała w psychiatryku, a później, po wielu latach, sama leczyła ludzi na serce, na jedno wychodzi. Była młodsza, orbitowała gdzieś w pobliżu naszych miejsc, wokół naszego stolika; kiedy mówiła, mechanicznie zakręcała palcem loki we włosach i wyglądała trochę jak lalka zakłopotana swym wskrzeszeniem. Poznaliśmy ją bliżej któregoś lata, później przynosiła swoje wiersze, jeden, najdłuższy, cały poemat epicki właściwie czy może niejasna proza, nazywał się „Pszczoły i osy"; była z nim jakaś większa sprawa, wybuchły między nami spory, się go zapamiętało.

Bo w lipcu i w sierpniu z działek i pobliskich sadów oraz lasów dolatywały do naszej dzielnicy pszczoły i osy. Na balkony docierały rzadko, miały za wysoko, dzielnica, choć niskopiętrowy bękart w mieście, wiejski idiota schowany po gorszej stronie rzeki, pięła się jednak mozolnie w górę, w ślad za innymi. Za kwaterę główną obierały bazar, skąd ciągnęły na tarasy kawiarni i śmietniki przy skwerach. Rzeki nie przekraczały, nie opłacało się. Sprzedawcy leniwym gestem przepędzali je z gruszek i brzoskwiń, później słońce grzało mocniej, życie się luzowało, skraplało na czołach i plecach, i dawali spokój, a one wsuwały się pod pękniętą skórkę jak do płytkich jaskiń. Ruszały szybko odwłokami; odlatywały. Niekiedy pławiły się w miąższu parami; jeśli trwała akurat letnia olimpiada, dawało się pomyśleć o pływaniu synchronicznym. Niektóre wciskały się zbyt głęboko i oblepione słodkim śluzem zamierały w dostatku; wreszcie z trudem się otrząsały, gramoliły na lśniącą powierzchnię i przez chwilę schły przed wykonaniem kolejnego nurka czy końcowym odlotem do swoich.

Tak było zawsze, lecz z czasem zaczęto o nich gorzej mówić i się irytować. Pojawiły się packi elektryczne, narzekano. Że tych alergii po ukąszeniu nie wolno lekceważać, że ktoś zmarł, niby nic, a są niebezpieczne, nie jak kiedyś, bo kto o nich wtedy myślał. Albo o kleszczach. Facet z największego straganu z owocami pobił rekord, sto czterdzieści sześć sztuk jednego dnia, wszystko packą i kilka gazetą. A tę ostatnią obcasem.

No więc jedliśmy naleśniki z malinami i lodami w kawiarni przy bazarze. Oczywiście przyleciały, pierwsza, druga, wpół do trzeciej. To taki dowcip ze szkoły, kumpel czasem opowiadał, ale zmarł na trzustkę, były całe trzy. Dwie jeszcze wysoko, wahając się, który stolik wybrać, trzecia już na talerzu między Joanną a tą jej babką, z którą wtedy przyszła, czy ciotką, czy kim stara była. Pszczoła pływała w roztopionej śmietanie, żółta łódź podwodna zanurzona w Morzu Białym. Wymierzała dokładnie ruchy, wypełzała na wierzch, dotykała czułkami ciasta, pobierała, co trzeba, na chwilę wzlatywała na wysokość naszych nosów, by znów przycupnąć w polodowej mazi.

Nie zwracaliśmy na nią większej uwagi, tak jak ledwo nadstawia się uszu na odległe jeszcze echo burzy; rozmawialiśmy od niechcenia, zamknięci w świecie własnych dźwięków. Tylko ona, matula, jak nazywała ją Joanna, milcząca, niema, z wyraźną uwagą, z wrogim skupieniem obserwowała pszczołę. Przez chwilę przypominała dziecko nieuczestniczące w zajęciach dorosłych i pochłonięte jakimś detalem pozbawionym w ich życiu wszelkiego znaczenia. Widelec, którym dopiero co, meandrując w pustce, dociągnęła do ust przepocony malinami kęs, powrócił nad talerz i zawisł w powietrzu. Nagle, ruchem równie niezdarnym, lecz bezwzględnym i zdecydowanym, opuściła go na pszczołę taplającą się w rozpuszczonych lodach i zaczęła ją rozgniatać. Tak jak rozgniata się na purée miękki kartofel, tylko gorzej. Wyraźnie nie miała wprawy w rozgniataniu

pszczoły widelcem. Ten nie całkiem rozdrobniony odwłok, resztka głowy jak skwarka.

Druga pszczoła siadła tymczasem na kałuży bliżej krawędzi talerza, musiała mieć równie ważną misję, czułki śmigały raźnie, drobne pałeczki pieszczące powierzchnię bębenka. Widelec zsunął się po jej korpusie i wgniótł w śmietankę sam jego skraj. Pszczoła wyczołgała się z cieczy, znieruchomiała na chwilę i przemknęła nam myśl, że jest w niej nagle coś ludzkiego i tym czymś było zdziwienie. Próbowała dostać się w suche rejony, przez chwilę zafurczały jej skrzydełka i zdawało się, że odleci. Przesuwała się na skraj talerza nieczystym ruchem, wyginając korpus w elipsę, teraz z kolei przypominała zestarzałe ziarnko fasolki przesuwane wiatrem. A potem skurczyła się i była po prostu półmartwą pszczołą, mniej niż najmniejszym okruchem dnia.

Przerwaliśmy rozmowę w pół słowa. Joanna zasłoniła twarz dłońmi i wykrzyknęła na pozór teatralnie: – Nie, nie! Wyglądała jak aktor naturszczyk, który wierzy we własną rolę, przerażony, lecz jeszcze nie wściekły na autora. Brała to do siebie, a w środku, przecież ją się już trochę znało, krzyk bez końca.

– Nie trzeba – wystękał Krzywy do matuli, chciał być solidarny. – Po co?

Czekaliśmy, aż ktoś powie „to może tylko osy”, lecz szczęśliwie dało się tego uniknąć, dzień był z tych ostrych, niemglisty i raźny. Wieczór zapowiadał się dość chłodny mimo upału, było przejrzyście, komin elektrociepłowni za torami wyrastał bliżej niż zwykle, wielki, bezradny palec z brudnym paznokciem skrobiącym przestworze.

Tymczasem kolejna pszczoła próbowała zanurkować, bo śmierć ma dobre statystyki; teraz już wszyscy obserwowali bez słowa talerz, magiczny krąg misterium. Widelec zastygł w oczekiwaniu, był z kolei czterozębną kobrą ze zwężoną szyją. Pszczoła wykonała jeszcze jedno zwiadowcze kółko, przeleciała nad naszymi głowami, i przysiadła na

upatrzonym talerzyku. Kobra ruszyła do ataku, lecz Krzywy przytrzymał ją w powietrzu, uważnie, tak by nie dotknąć ręki matuli. – Nie trzeba zabijać. One nie mają nic z nami wspólnego. Toczą swoje własne życie. One są gdzie indziej. One są spoza.

Matula palcem lewej dłoni wskazała wyżej, tak od niechcenia, w niebo czy na swoją twarz, i prawą skręciła potulnie ku naleśnikom, jakby nigdy nic, jakby cały epizod został wycięty czy niezauważony; jakby ramię Krzywego przeleciało nad nią niczym nagły podmuch, z którym się nie dyskutuje, więc teraz ważne są te mokre maliny.

Siedzieliśmy w milczeniu, słońce powoli opuszczało talerze. Matula kończyła swoje lody; dwie malinowe plamy lśniły na jej bluzce już od pierwszego kęsa, trzecią, równie krwawą, usunęła spod ust chusteczką, którą podała jej Joanna. Nie patrzyliśmy na zwłoki pszczoły, teraz już samotne w białej topieli, pośród ostatnich drobin ciasta. Ze zlewu trafią do rur i popchnięte brudną wodą przelecą pod dzielnicą do rzeki, by wpaść w powszechny obieg.

Słowa powoli wyłaziły z ukrycia, powiedziało się coś o lodach, że na mieście pojawiły się dziwne, nowe smaki, i dokładniej niż zwykle obejrzeliśmy rachunek. Joanna wzięła matulę pod rękę, wstaliśmy się pożegnać, ale od lat nie całowaliśmy już w dłoń, więc tylko zamarkowaliśmy żołnierskie baczność, a później jednak wzięliśmy jeszcze po dużej kawie, czekając na Joannę. To tylko dwie klatki schodowe obok, poczłapały krok za krokiem i Joanna wróciła szybko, może płakała, bo jej oczy świeciły ponad miarę. No, ładne były. Milczała, lecz widać było, że musi powiedzieć.

– Pszczoła w paski – odezwała się wreszcie. – Te pszczoły były w paski.

– I co? – spytał ktoś.

– Miały na sobie paski.

– I co?

– Paski pasiaki. One miały na sobie pasiaki i zginęły. Zostały usunięte. Zostały zabite. Zlikwidowane. Zabito dwie pszczoły w pasiakach.

– Daj spokój – powiedział Krzywy i spojrzał w dno filiżanki z uwagą jak w oko lunety.

– Przecież ją też chcieli zabić, zlikwidować, też miała to na sobie. Też to nosiła.

– Daj spokój – powtórzył Krzywy.

– Była zabijana i teraz zabija innych w paskach. Dlaczego tak jest, dlaczego nic z tego nie wynika, dlaczego to się tak musi mieszać? Jestem... – Joanna miała łzy w oczach – jestem... rozczarowana.

– Daj spokój – powiedzieliśmy, ale Joanna płakała i nierytmicznie uderzała łyżeczką o talerzyk, mała dodekafonia rozpaczy.

Poszliśmy uliczką wzdłuż bazaru, zmierzchało. Przy płocie walało się trochę pustych kartonów i połamanych skrzynek. Dziwnie się na to patrzyło, bazar wyglądał jak wylęgarnia, z której wylatują na wszystkie strony świata nietoperze, jabłka i śliwki. Czegoś tu było za dużo.

Dochodziliśmy do mieszkania Olgi, siostry Joanny, Joanna bez przekonania wyciągnęła palec w stronę domofonu i Krzywy powiedział: – To nie jest tak. To się nie łączy. Poza tym chciała cię uratować. Zna się na tym. Więc trzeba było zabić.

Dotknął ręką gardła. Jakby coś w nim siedziało. Odchrząknęliśmy z zakłopotaniem, ślina smakowała jeszcze kawą, bagienkiem fusów, wypluliśmy czarne w jeszcze głębszą noc.

Taka więc była Joanna, cała Joanna wypisz wymaluj i jeszcze więcej, lecz chyba nie tylko o niej jest to historia, gdyby się jeszcze głębiej zastanowić, cholera wie.

Joanna poznała Bohdana na zimowych feriach, gdy była jeszcze zupełnym dzieckiem. No, ośmioletnią dziewczynką; grywał z ojcem w brydża we wczasowej stołówce, ją uczył jeździć na nartach, podnosił, jeśli rąbnęła w śnieg, otrzepywał królewnę śnieżkę, śmiał się, gdy się śmiała, milczał, gdy płakała. Jakoś sobie ją upatrzył, donosił czekoladę w sreberku tak cienkim, że wyglądało na rozbrojoną, sympatyczną żyletkę. Gówniarze w ogóle lgnęli do niego, choć był kaowcem dla wszystkich, tu karty ze zgredami, tam lepimy bałwana, obskakiwali go, dorosły w nim nie zdążył jeszcze zetrzeć smarkacza, także z samej twarzy, wciąż urwisowatej, jasnej, z piegami. Coś dla nich organizował, gonitwy po śniegu, turlanie się z górki na pazurki. Raz całą grupą zbudowali igloo; mogła wczołgać się pierwsza. Patrzyli na siebie podczas obiadu, rozdzieleni długim rzędem stolików. Unosił szklankę z kompotem, którego nigdy nie tknęła, bo latały w nim jakieś paprochy, pokazywał, że powinna dopić do końca, smaczny przecież, głaskał się po brzuchu, wypinał go jak fajny balonik. Dał jej na pożegnanie swój tom wierszy, pięknie spowity w rozłożyste sreberko, musiał mieć tajemny dostęp do sreberek, a na stronie tytułowej wykaligrafował starannie jej imię. Joannie – Bohdan. Może miał nadzieję, że chociaż ojciec przeczyta.

Jeszcze tego samego roku był ratownikiem na jej letnich koloniach organizowanych przez urząd dzielnicowy, w którym ojciec Joanny dorabiał jako lekarz medycyny pracy. Jak zawsze nie chciała jechać, później nie chciała wracać, morze nie było zbyt ciepłe, ale za to dzień w dzień i nieskończone; żółte kutry na horyzoncie wyglądały na wyspy, a tam na pewno rosły palmy i wspinały się małpki, może nawet mówiły po szwedzku. Leżała na plaży, gdzieś z boku grupy, na skrajnym ręczniku, i widziała jego białą koszulkę w niebieskie paski przesuwającą się tam i z powrotem wzdłuż brzegu. Gołymi stopami rozgniatał resztki zamków i fortec postawionych dzień czy dwa wcześniej,

koszulka trzepotała na wietrze, rozszerzała się na obie strony. Kiedyś powiedział o sobie „matros” i nie tylko ona nie zrozumiała; pani musiała im wyjaśnić, co to znaczy.

W czasie leżakowania pani często znikała, szła się ruchać, mówiły dziewczynki i Joanna powtarzała, nie będąc pewna, o co chodzi. No i pękła jej ta gumka w majtkach. Pani poszła się ruchać i Joanna stanęła w pokoju Bohdana, bezradna, z różowym żagielkiem w łapce. Niewykluczone, że brała go za innego ojca, podręczną jego kopię, gwarancję wszelkich napraw, niewykluczone również, że chciała tą różowością spytać go o coś, czego jeszcze nie umiała nazwać. Patrzył na nią bez większego zdziwienia, tyle że piegi przestały mu ganiać na ruchliwych policzkach, twarz stanęła w miejscu, zastygła na kamień; utkwił w niej wzrok, jakby mierzył odległość, sprawdzał dystans w swoim obiektywie. Sięgnął po scyzoryk, rozpruł w jednym miejscu szew, związał gumkę. Gdy wychodziła z ulgą, że ma już te majtki, powiedział: Joanna. I wyciągnął coś spod obrusa na stole. Fotos, jakieś zdjęcie.

Podał je bez uśmiechu, z niezwyczajną powagą, niczym tajny list w jakiejś bardzo ważnej sprawie. Bała się spojrzeć tak od razu i w sypialni szybko schowała prezent pod poduszkę, by inne nie zauważyły. A później się zeszły, siedziały na łóżku, ona uklękła na poduszce, paplały, i gdy wreszcie wyciągnęła papier, już pognieciony, zauważyła odcisk swego kolana. Zawstydziła się, wygładzała papier ze wszech sił, jak umiała, potem już tylko głaskała jak martwe niewskrzeszone kocię. Żaglowiec w całej okazałości, z białymi pięknymi żaglami, płynący w siną dal, lecz teraz wciśnięty nadto w wysokie fale, z małą od zgięcia szramą na burcie. Joanna pomyślała, że też by chciała coś dać. Mordowała się z tą myślą parę dni; gdy rysowały, przykleiła ukradkiem kwiatek do karteczki z kotem, który nosi kapelusz i siedzi pod palmą; małpki, kurczę, nie dała już rady

na niej posadzić. Podpisała: *dla pana Albatrosa*. Miało być Matrosa, lecz pomyliły się jej te wszystkie morskie słówka.

Widywaliśmy go wciąż na dzielnicy, przez parę dobrych lat, gdzieś musiał pracować, miał rifle przetarte jak trzeba na kolanach, umiał postawić piwo, pożyczyć książkę, wiedząc, że bezzwrotnie, ale nie gadaliśmy raczej o sobie. Coś jeszcze drukował po czasopismach, coraz rzadziej, później już wcale, niczego już nie wydawał, nie bardzo się w to wgryzaliśmy; czytaliśmy teraz innych, albo przekłady z co lepszych języków, wiedzieliśmy aż nadto dobrze, że literatura da sobie radę bez niego. Po jakimś czasie przeniósł się gdzieś na peryferie dzielnicy i dowiedzieliśmy się od Piotrowskiego, że dostał pół etatu w dobrej gazecie. Udało mu się, nie musiał się podpisywać nazwiskiem, lecz tylko jedną literką, (b), jak to bywa na marginesie życia.

„Na marginesie życia", tak nazywała się jego rubryka, skromna kolumienka na odległej stronie, daleko od głównych wiadomości, od frontów walki i wizyt oficjalnych. Wyimki nie wiadomo skąd, z prasy jakiejś lokalnej, albo wszystko wymyślone, duperele że strach, trzeba było dopisywać tytuł-komentarz, żeby śmieszne było, takie miał zadanie. Znaleźć jakąś absurdalną czy idiotyczną informację, najlepiej niezręcznie zapisaną, i się z nią poprzedrzeźniać. Albo byle jaki fakcik czy szwankujący styl, żeby dorysować mu wąsy. Dokleić ogon. Miało być zabawnie, jaja i z wdziękiem, do chichrania, za to mu płacili; nawet jeśli dostał tylko pół etatu, to przelewali mu na emeryturę, no i miał pewnie ogólny spokój.

„Koszalin. W korespondencji zagranicznej Głosu Koszalińskiego: Dawno, dawno temu tuf zalegał dolinę Araratu i ludzie wydali mu walkę. Wynosili tuf na plecach aż za horyzont". No więc (b) dostawiał tytuł: „Idą dalej", tyle całej roboty. Dobra, ha ha, czytaliśmy dalej: „Białystok. Fragment publikacji Gazety Białostockiej: Od czasu, kiedy

w 1963 roku dokonano pierwszej poważnej po wojnie socjologicznej wiwisekcji na reprezentacyjnej grupie stu prostytutek – zawód przeszedł długą drogę”. (b) na to w tytule: „Dane sadystyczne”, ujdzie. Czy znowu: „Poznań. Pisze czytelnik Gazety Poznańskiej: „W sklepie rybnym przy ul. Róży Luksemburg zobaczyłem kartkę z napisem świeży węgorz – 21 zł kilogram. W domu po bliższy oględzinach stwierdziłem, że to była minoga”. Więc (b) komentował w tytule: „A może rosówka?”. No, wybuchaliśmy śmiechem, całkiem cienkie.

„Horoskop w Dzienniku Łódzkim. Baran (21 III – 18 IV) Wiele spraw osobistych będzie zależało od sposobu ich załatwiania. A twój humor będzie bardzo zmienny. Słabe masz nerwy. Pożądana wizyta u lekarza”. „Weterynarza”, dostawił (b). Z tego ostatniego rechotaliśmy się chyba najgłośniej, aż cały stolik się trząsł jak na seansie spirytystycznym.

A później B. w ogóle wyprowadził się z dzielnicy, nie wiadomo dokąd, do domu kultury już nie zaglądał, nie przesiadywał w Małej Czarnej, tej kawiarni przy naszej budzie, nie było go też przy rondzie, gdzie w pawilonie przy przystanku, czymś na kształt baru, brandy a la koniak było za dwa złote i podawane w przydymionych koniakowych kieliszkach; lśniły zalotnie i przebarwiały nasze matury w dorosły brąz. Czasami braliśmy do ręki gazetę, walała się na barze, albo ktoś zostawiał plik na stoliku, zabrawszy ogłoszenia. Samemu się nie chciało, ale kiedy siedzieliśmy w paru i już się człowiek wygadał, naopowiadał ile wlezie, szukaliśmy strony z jego robótką. Skoro wiedzieliśmy, że to jego. Zdarzało się nam zaśmiać parę razy, docenić dowcip, niektóre tytuły wymagały, by tak rzec, przygotowania, paru odbytych lektur, *my* wiedzieliśmy, o co chodzi, niekiedy czuliśmy solidarność tego samego podwórka, tych samych słówek. Przez pewien nawet czas sami się w to bawiliśmy, w dostawianie tytułu do jakiś zdań, sami wymyślaliśmy teksty,

mieliśmy na pewien czas grę towarzyską na koniec spotkania, lepszą niż warcaby, w które grali emeryci przy stoliku sąsiednim. „Szczecin. Anons z Dziennika Zachodniego: „Szczeniaki ratlerki oraz drób do sprzedania”. A my na to „Uwaga, okazja: pokurczęta”.

Już tylko Joanna miała z nim kontakt. W swoim życiu, bo jej jeszcze nie znaliśmy. Ale nie mogliśmy nie poznać, przypadki są bardziej logiczne, niż można by sądzić. Kontakt to zresztą za dużo powiedziane. A z drugiej strony za mało. Bo cóż rzec o kartkach pocztowych, które dostawała od czasów tamtej letniej kolonii nie rzadziej niż raz na miesiąc, dwa co najwyżej, a niekiedy wręcz raz na tydzień. Regularnie w każdym razie, zapewniała, rok w rok; wiedziała, że kolejna niechybnie przyjdzie, prędzej czy później wbije się jednym rogiem w którąś z dziurek jej skrzynki na listy, pokaże nieśmiało, że jest w środku. Kiedyś to wydamy, może coś nam wreszcie wydrukują, kpiliśmy później bez przekonania, ostrożnie ze względu na Joannę. A zresztą, jasny gwint, wysyłało się wówczas kartki i pocztówki, zwyczaj był w końcu, wyjechać na włóczęgę i przysłać, nam też to się zdarzało, „Trzymaj się, Krzywy, ściskam z Legnicy, gdzie kurna same ruskie dookoła, wracam za tydzień”, i tak dalej, tak to się wtedy mniej więcej formułowało. „Krzywy, pozdrowienia ze Świnoujścia, gadam z mewami, bursztynu nie znalazłem. Jest tu taka jedna, opowiem po powrocie”.

Pisał na tych kartkach niewiele, minimalista skubany, zawsze wolał mniej niż więcej, wysuwał słowa jak ręce i zaraz je chował, jakby natykał się na przeszkodę, cofał wypowiedziane do klatki ust; Piotrowskiemu to się kiedyś podobało, wersy sprowadzone do pojedynczych stęknięć czy błysków, nam to nie całkiem leżało. „Joannie – serdeczne pozdrowienia z gór”. „Dla Joanny najlepsze życzenia z Poznania”. „Joannie – ciepłe myśli z Wybrzeża”. Nic więcej. Przez tyle lat. Przez dwa ustroje. Przez stary i nowy świat. Przez komunę i przez demokrację, przez jej dzieciństwo

i w jej dorosłość. Równe dostawy pozdrowień i życzeń, formuły i adres odbiorcy. Formuły czasami nieznacznie różniły się, miały swoje warianty, i tyle tej komplikacji. Jakby przeszedł kurs pisania pocztówek albo kopiował poradnik. Żadnego zdania, którego by wcześniej w historii poczty nie było.

Jedno na kartkach, na wszystkich kartkach i pocztówkach nie zmieniało się wcale. Jej imię. Zawsze starannie wypisane, wręcz wykaligrafowane. Ale zawsze ominięty zwrot bezpośredni: Droga Joanno, czy coś takiego. Żadnego wołacza. Żadnego okrzyku. Tylko: Dla Joanny, Joannie. I jego podpis, całe imię lub imię skrócone do literki, do tego jego B. Be, bee, beee, potulny i cichy. Łagodny i przychylny, tylko nieobecny. Nigdy nie spróbował czegoś więcej, coś opisać, o coś zapytać, zostawić choćby swój adres, poprosić o znak życia, o odpowiedź. W końcu czas mijał, Joanna dorastała, piękniała, jej cera wypogodniała, lecz on nigdy nie starał się zbliżyć, pokazać, nie mówiąc o czymś więcej. Dla Joanny, Joannie – że pamięta. Albo że coś jeszcze, że jeszcze coś bardzo, tylko co, skoro pod spodem leniła się czysta biel?

Joanna go nawet przez dłuższą chwilę szukała, kogoś się o niego dopytywała, lecz niemrawo, gdzieś po bokach, no właśnie, na marginesach. Jak cała ta jego historia, nieznaczna, odprysk innych, ważniejszych, choć licho wie jakich. Powracająca niczym kelnerka, gdy ktoś przy naszym stoliku sobie o czymś przypomniał, i zaraz odsyłana na zaplecze, niepotrzebna, usypiająca w ostatecznym niedomówieniu. W niezamówieniu.

W każdym razie Joanna niczego się nie dowiedziała, nawet jeśli chciała raz czy drugi odpisać, to nie wiedziała gdzie. W gazecie już nie pracował, musiał sporo jeździć, skoro z tylu różnych miejsc do niej skrobał. Ktoś powiedział Piotrowskiemu, że robił na bazie jako kierowca, ale to było coś za dokładne, za bardzo literackie. Ktoś inny twierdził, że prawie na sto procent przy Estradzie pracuje, organizuje na

prowincji jakieś występy artystów, piosenki i skecze, czy podobnie, ta wersja wydała się nam bardziej realna. Wymyśliliśmy kiedyś, że może jest jurorem w lokalnych konkursach poetyckich, to się nam najbardziej podobało, juror łazęga, wędrowny sędzia on the road; siedzieliśmy w barze, snuliśmy przypuszczenia, kiepska brandy nabierała w nas jakieś celowości, jak dobrze wypuszczona strzała. Gadane szło za gadanym, ze zdania wyskakiwało zdanie, z opowieści opowieść, stolik był naszym rajem, tak trwaliśmy, nielegalna sekta szeherezada w odgórnym reżimie ciszy.

Kartki dla Joanny, Joannie, wciąż przychodziły, lecz przerwy między nimi zaczęły się wydłużać, do paru miesięcy, do pół roku, zapomnieliśmy, zapomniała i ona, mieliśmy tysiące ciekawszych rzeczy do obgadania. Wyjmowała pocztówki ze skrzynki, rzucała okiem i tyle, nie mieliśmy pewności, czy nie zaczęła ich wyrzucać, ale to nie byłoby do niej podobne. Co zresztą byłoby w takim układzie podobne?

Miliony innych pyłków zakurzyły nasze życie, rozjeżdżaliśmy się, wracaliśmy, znowu rozstawaliśmy, znowu spotykaliśmy i ciałami obsadzaliśmy stolik jak gondolę przed wzlotem, może przez dłuższy czas byśmy słowem do tego nie wrócili, gdyby nie pierwsze wolne gazety, kiedy już skichała się komuna. Któryś z nas spotkał Piotrowskiego, rok dziewięćdziesiąty pierwszy mógł być, a ten zamiast „co słychać, kupa lat, ożeniłeś się, piszesz?” czy czegoś w tym stylu informuje prosto z mostu, jakby nie było ważniejszej rzeczy we wszechświecie: – Bohdan znowu w gazecie siedzi, na pół etatu, tytuły układa na pierwszą stronę i leady, bo teraz ma to inaczej wyglądać niż kiedyś. No dobra, musiał Piotrowski od czegoś rozmowę zacząć, od czegoś wspólnego, ile w końcu mieliśmy rzeczy, które nas łączyły? Więc przez jakiś czas, kiedy zdarzało się nam spotkać jeszcze przy brandy na dzielnicy, również i ten fakt obgadywaliśmy, obstawialiśmy jak konie na wyścigach, które tytuły są

jego i sprawdzaliśmy, do jakiego stopnia byliśmy zgodni, czy wybór padał na tego samego rumaka. „Sierpień to ja", a obok lead: „Wałęsa podziwia, dziękuje, zwalnia i grozi", tak, to mogło być jego od biedy, znał się trochę na królach Francji. „Na kogo krzyżyk, na tego bęc" („przeczytaj, nawet jeśli wiesz, jak zagłosować"), nie, z pewnością nie. „Rad bym radnym być", w artykule przed wyborami samorządowymi – tu akurat nie byliśmy pewni, trochę słabe, raczej nie.

Po dwóch czy trzech latach wyrzucili go z gazety, doniósł nam później Piotrowski, jej profil się nieco zmienił, dowcipy w tytułach cokolwiek się opatrzyły, a może też i jemu nie chciało się już bawić w gry słów mimo solidnej zapewne kasy. Zastanawialiśmy się, czy to go nie rajcowało: mieć wreszcie tylu czytelników, nawet jeśli anonimowo. Być masowo czytanym, pakować się im w głowy tymi miniwersami, krótkimi tytułami, tak jak robak włazi do mózgu, bo przecież tytuł decyduje o wszystkim. W haiku autor nie jest w końcu tak ważny, ważne jest, żeby słońce świeciło, albo deszcz siąpił. B. odżył przez chwilę w naszej pamięci, nabrał wyrazu jak duch z górnej fermentacji, więc podpytywaliśmy niekiedy Piotrowskiego, gdzie go losy poniosły. Znów nie wiedział, lecz któregoś dnia mruknął na odchodnym, a całą butelkę brandy żeśmy akurat wydulili, bo dobrze się siedziało, że w reklamie robi na pół etatu jako *copywriter*. To znaczy, że hasła układa, do radia albo na bannery. Wreszcie *writer*, zaśmiewaliśmy się, *writer* pełną gębą, a może nawet *copy poet*. „Życie jest dnem. Wstąp do gdańskiej szkoły płetwonurków", to mogło być jego. „Sztuka fugi. Niezawodne materiały łazienkowe firmy Atlas", to również. *Copy poet*, jasny gwint, w końcu umiał to robić, to głównie umiał robić, kopiować innych poetów, żadna nowina.

Tak brzmiała nasza ostatnia względem niego złośliwość. Ostatni głupi żart. Bo któregoś dnia wpadła do baru Joanna,

cała rozstrzęsiona, jak wówczas, po tych pszczołach, i opowiedziała resztę.

Od dłuższego czasu znowu dostawała od niego kartki, czy raczej: znowu dostawała je częściej. Dla Joanny najserdeczniejsze pozdrowienia z Mazur. Joannie moc serdeczności z Olsztyna. Joannie – najlepsze życzenia z Drewnicy. Z Drewnicy, a więc tak, wreszcie wiedziała, skąd dokładnie przyszły słowa, wreszcie umiała to konkretnie umiejscowić, Drewnica, czyli szpital, który dobrze znała, w którym przepędziła w młodości własny splin.

W kolejną niedzielę w końcu się zdecydowała, pokaże się i odda matrosowi priwiet', niech coś się wreszcie okaże. Więc kupiła ciasto i pojechała, dobrze znała drogę, za klonem w prawo szło się na skróty. Powiedzieli, że już go nie ma, miał czas temu jakoby silny atak, sam się zgłosił do przychodni, lecz przeszło, raczej zwykła depresja, siedział parę tygodni, wypuścili go ilość dni temu; po prawdzie mieli podejrzenie, że chciał tu się przyczaić, schronić na zimę. Leniwy bocian, pomyśleliśmy, tak mogło być. Zdziwiła się, że wypuścili, bo przecież natręctwo samozagłady, bo przecież miewał chyba myśli samobójcze. *Czarne kruki dziobiące z rana puste ziarna kawy; brudne linie wersów jak obsrane lasso na szyję*, tak było w każdym razie w jego wierszach. Pokazała, że jest lekarką, co prawda od serca, ale w końcu. Byli mili, spisali jej dane, przyrzekli, że jeśli tylko coś się zdarzy, powiadomią ją niezwłocznie.

Minął kolejny czas i tempo znowu opadło, pocztówki i kartki już niemal nie przychodziły, jeszcze jedna, druga, później nic, wcześniej by tego nie zauważyła, teraz zaczęła o tym myśleć, choć i dawniej zdarzały się dłuższe przerwy w korespondencji, takiego dzielnego słowa użyła, aż ślinę przełknęliśmy, korespondencji, więc właściwie o niczym to nie świadczyło. Ale któregoś dnia, kilkanaście miesięcy później, wracając do domu, zauważyła na sąsiednim bloku, na jednej ze ścian napis: Joanna. Mniej się przeraziła niż

zdziwiła, kaligrafia była staranna, lecz nowoczesna, litery podwojone, z własnym cieniem, w 3D niejako i pochylone, wedle modnych zasad graffiti. Wokół były jakieś krzyże, swastyki, powieszone na szubienicy gwiazdy Dawida, te widziała zawsze, wyglądały niczym liszaje, pleśnie na zawsze wżarte w beton, jednak napis musiał być świeży, wpasował się w puste miejsce, jakby od dłuższego czatował na wolny kawałek muru. Nie wiedziała, co sądzić, pierwszy raz widziała swoje imię wymalowane kolorowym sprayem, to ją zbiło z tropu.

Dwa dni później imię pojawiło się na ścianie jej własnego budynku. Obok, od ostatniego remontu, czyli od dobrych dwudziestu lat z hakiem, namazano tradycyjnym jeszcze liternictwem, „lepiej mieć stosunek z jeżem, niż dwa lata być żołnierzem"; zdążyła się przyzwyczaić, napis powstał w czasach heroicznych, jeszcze przed wejściem do NATO. I teraz nad „żołnierzem" pięło się jej imię. Namalowane znowu techniką muralu, lecz mniej stylowo, bardziej naturalnie i poznała jego charakter pisma, czy chociaż znajomy kształt paru liter. To „J", to „a" z mocno przedłużoną kreską na górze, jakby z czupryną Rimbauda. W pierwszej chwili pomyślała, że powinna się bać, że dopiero się zaczyna, że będą kłopoty, stalking czy inne prześladowania, że trzeba będzie iść na policję, zamykać się na wszystkie zamki, nie odpowiadać na telefony, nie czytać SMS-ów, nie sprawdzać podejrzanych mejli, zamknąć konto na Facebooku, gdzieś się wyprowadzić, lecz strach nie przyszedł.

Przeciwnie, ogromny żal ścisnął jej serce, niby echo niepojętej tęsknoty, która nagle uderzyła z jakiegoś ukrytego w niej podziemia. Nieomal nie podeszła do tych liter i nie zaczęła ich głaskać, tak jak głaskała niegdyś biel żagli na podarowanym jej zdjęciu. Zobaczyła siebie dziewczynką i ogromny, nieznany jeszcze świat wokół i jego, Matrosa Albatrosa, powolne, dokładne gesty, którymi wtedy ten świat dla niej przytrzymywał jak łódkę przy pomoście, żeby

mogła weń wejść. Nigdy później, a przynajmniej później niż w owych dziecięcych latach, go nie spotkała i, stojąc tak przed domem, słyszała teraz swe imię wypowiedziane w tamtym kolonijnym pokoju spokojnym, dokładnym głosem, i myślała, że przez jego granicę nigdy nie przeszedł, że ono, jej imię, stało się transzeją nie do przebycia, stało się jego linią graniczną, wysokim murem, którego żadne graffiti nie mogło przeniknąć, przebić na wskroś, i że B. na zawsze pozostał na marginesie, który ta linia wyznaczała.

Przez kolejne dni wypatrywała nowych napisów na okolicznych budynkach, albo na budynku, w którym mieszkała, było tam jeszcze trochę wolnej, dość łatwo dostępnej ściany, lecz nic się już nie pojawiło. Minął miesiąc, drugi, parę miesięcy, żadnych też kartek w skrzynce, cisza, pulsująca cisza, taka, jaką czuje się w uszach po gwałtownym solo perkusji. Zmieniły się pory roku, nadeszła jesień, niekiedy w koronach drzew błyskała czerwień i ten błysk, to nagłe zobaczenie, uzmysławiały jej, że żyjemy wszyscy jak w szczelnych szkatułkach, ale zdarza się niekiedy, że w jednym miejscu otwiera się coś drugiego, głęboki schowek, purpurowe wcięcie; szła alejką i jej imię, wyobraziła sobie teraz, było dla B. tą zapadnią, tym czerwonym piknięciem w innobarwnym listowiu, i czuła, że imię unosi ją i obciąża zarazem. A potem pomyślała, że to imię również ją odgrodziło, wzniosło wokół niej samej ścianę: zdawało jej się, że żyje tak otwarcie, wkracza w tyle miejsc, łapie tyle wiatrów w polu, zagarnia tyle przestrzeni, ściska tyle dłoni, tymczasem siedziała w sobie jak w celi, i może wszyscy, patrzyła na nas tępo, jedna przystoliczna masa, siedzimy zawsze w sobie jak w celi.

– Że co? – spytaliśmy.

– Że nic – mruknęła.

Była dzień wcześniej na jakimś większym przyjęciu, powiedziała, bufecie raczej, kończącym zjazd. Jakaś światowa firma farmaceutyczna chciała wcisnąć na rynek nową

pastylkę na serce, na cholesterol, catering był zatem wyższej klasy, małe cudeńka serwowane przez ustawionych za rozległym stołem kucharzy zwieńczonych białymi wysokimi czepkami, dwa razy dłuższymi od ich głów. Stała cierpliwie w kolejce, znużona rozweselonym tłumem, zgiełkiem, emocją wieczoru po całym dniu wykładów i prezentacji, całym fałszywym blaskiem sytuacji wstawionej w życie jak złoty ząb w zużytą szczękę.

Po wielu minutach dotarła do pierwszego kucharza, rozdawał malutkie kawałki gęsiego pipka czy czegoś podobnego. Już parę metrów wcześniej, zanim przed nim stanęła, zwróciło jej uwagę, że kroi kiszkę z niezwykłą starannością, z ogromnym namaszczeniem, nie bacząc na czas, który mija i na wąż gości niemal zastygłych w miejscu, już lekko zniecierpliwionych. Celebrował każde drgnięcie palca, każde wygięcie dłoni, jakby odkrajał plasterek za plasterkiem relikwię do rozdania, albo płatki hostii, którą za chwilę będzie wkładał w usta wiernych. Dzielił odkrojony płatek na cztery, ostrożnie, precyzyjnie wbijał wykałaczki, zanurzał kolejne kawałki w miodowym sosie i wreszcie unosił głowę. Twarz była wschodnia, może japońska, widziała ją tyle razy na grafikach i estampach malowanych cieniutką kreską; same owale bez wyraźniejszych rysów, tylko mocniejsze brwi nad półotwartymi oczami. Tak było i tutaj, jego twarz wydawała się doskonale płaska, niby ledwo ożywiony obraz, jeden z tamtych albumowych, płaska i delikatna, wciągającą w siebie, na ile tylko się dało, swoje wypukłości. Można ją było, pomyślała, osadzić na patyku i machać nią w wędrownym teatrzyku dla dzieci, jak macha się słońcem albo księżycem z tektury. Albo ogromnym lizakiem. I wówczas dostrzegła ten gest.

Kucharz chwytał wykałaczkę z kawałkiem pasztetu i niezmiernie wolnym ruchem unosił ją przed siebie, wpatrywał się w drobniutki nugat, który przeszywała, po czym, zwalniając tempo jeszcze bardziej i wykonując rodzaj

usłużnego, rozciągniętego w czasie ukłonu, niby mim inscenizujący wieczne trwanie, podawał kąsek czekającemu gościowi. W tej samej chwili przybliżał od dołu twarz, lekko przechyloną w bok i z półuśmiechem, lub może jeszcze mniej, ze wstążeczką uśmiechu przepasującą policzki spoglądał w oczy, zachęcająco i nieśmiało zarazem.

Przyszła jej kolej, stanęła przed nim, kończył odkrajać kolejny płatek. Podał jej kawałek świeżo nabity na wykałaczkę i mogła śledzić z bliska cały przebieg ceremonii, od chwili pierwszej do chwili ostatniej. Zobaczyła przed sobą, pół metra niżej, płaską twarz, kiwającą się leciuteńko, wiotki słonecznik na wietrze, i nagle poczuła falę gorąca, cios w buzię złożony z gęstego powietrza. Poczuła, że w tejże chwili coś w sali pękło, rozdarła się zasłona i ona, Joanna, stanęła przed błogosławionym, ciepłym światłem. Było dobre i piękne, i wobec niego wszystko wokół gasło, odchodziło w cień i przestawało mieć znaczenie; gasły tombakowe guziki w pseudoliberiach kelnerów, gasł blichtr spotkania, nędzny płomyk koktajlowych rozmów, wystrzałowa świetność strojów, gasły lampiony porozwieszane w ogrodzie i lampy imitujące kandelabry nad głowami, gasły reflektory przy ogrodzeniach i zostawał tylko blask tej twarzy naprzeciw, okrągły pulsar w wyłączonej nagle galaktyce.

Stanęła drugi raz w kolejce, przesuwała się powoli, otrzymała drugi kawałek pipka i drugi raz ją olśniło. Poczuła zdumienie, a po chwili coś jak szczęście, miękkie powolne szczęście, oto otwierał się przed nią po odłupaniu wierzchniej warstwy, po wygaszeniu sztucznych ogni, inny świat, cichy, błogi, pokorny, całkowicie niespodziewany i oddany, trwający w delikatnej, minorowej tonacji, nieżądający niczego i, ponownie tego doznała w gorącym uderzeniu potu, dobry, piękny i możliwy.

Usiadła gdzieś z boku, wydało jej się, że ma halucynacje i że nie ustoi na podłodze, miała wrażenie, że nic nie słyszy, nic do niej nie dociera i sylwetki w sali ciemnieją, oddalają

się i tleją; i wtedy ze zdwojoną mocą powrócił... Joanna miała łzy w oczach i Krzywy powiedział: – Daj spokój – ...lecz nie przerwała, powrócił zatem obraz Bohdana, jego chłopięcej twarzy, która pokryła teraz twarz kucharza, dokładnie się w nią wlała, wtuliła swe rysy... – Daj spokój – powtórzył Krzywy... lecz Joanna jakby nie słyszała, i to ta twarz, mówiła, była teraz blaskiem w ciemności, jedynym dla niej od zawsze, odkąd cokolwiek pamięta, punktem czy raczej plamką odniesienia.

I Joanna pomyślała w tej sali, obracając wykałaczkę w palcach niczym różaniec, że spotkało ją w życiu niezwykłe dobrodziejstwo i że nic lepszego już się nie zdarzy i zdarzyć się nie może, ale też zdarzyć wcale już nie musi. Myśl była krucha, lecz uchwytna, snuła się w niej jak nitka babiego lata, srebrna nitka tuż za oczyma. Otworzono kiedyś przed nią możliwość spojrzenia tam, gdzie nigdy tak naprawdę później nie dotarła, gdzie spoczywa łaskawość bytu, milcząca jasność dobra. Siedziała teraz na skraju tego świata, smakowała jego widok, widok miał słodkawy, przyjemny smak gęsiego pasztetu i miodu, i wiedziała, że została pobłogosławiona i że spełniło się w niej wszystko to, po co się jest. I pojęła, że to nie do niej, do drzwi jej imienia pukano, to nie do niej tęskniono i usiłowano się zbliżyć przez tyle lat, żeby czegoś się od niej doczekać, coś od niej dostać; przeciwnie, to ona była przywoływana, to ona była wzywana, by mogła przejść tutaj i zdążyć tu, w to poza, w to dobro, w ten skryty łagodny cud życia wejrzeć.

No więc w ostatnią środę do niej zatelefonowali. Że do Drewnicy przyszedł sam, przedwczoraj, i że nie jest dobrze, ale dziś już widzą, że to właściwie nie głowa, ale serce i w ogóle mało co działa. Pojechała natychmiast, już go nie było, przewieźli go na sygnale do najbliższego szpitala ogólnego; żałowała, że przez telefon nie wspomniała o swoim, gdzie od pewnego czasu pracowała. Lecz i tak było za późno, już nie żył. Ogólny rozpad, nerki przede

wszystkim, nic nie pracowało; no, miał swoje lata. Zdążyła jeszcze zobaczyć jego twarz przed zasunięciem suwaka, poznała tylko piegi. I może wargi w półuśmiechu. W sali leżały jeszcze jego rzeczy, obdarty sweter, obdarty plecaczek, na łóżku leżała piżama w paski, jakaś gazeta, dwie wyrwane z zeszytu karteczki, puste i przeraźliwie białe. Teraz szukali krewnych, dała namiar na Piotrowskiego, tyle mogła.

Siedzieliśmy, słuchaliśmy, wszystko wracało, wygwizdów sprzed lat, strzępki rozmów i wierszy, zapach linoleum w domu kultury, góralskie swetry rzucone niedbale na poręcz, ciepła herbata parząca ręce niczym niezdrowa, ale przyjemna gorączka. Znowu zerwał się wiatr, chmury leciały po niebie jak pomylone, odgrywały swój wieczny powrót w przyśpieszonym tempie, pieprzone zwariowane białe obłoki na naszym głuchym bracie niebie, a my się obracaliśmy wraz z ziemią jak dawna zabawka z bazaru staroci, figurynki na nakręcanym porcelanowym piedestale za parę groszy. Szukaliśmy słów, żeby tylko nie zamilknąć, żeby nadal gadać, żeby nie dać się ciszy, bo niczego więcej niż to, czuliśmy, niczego więcej niż gadanie, od zawsze niczego więcej niż to nasze gadanie twarzami do siebie nie mieliśmy.

Bo może nie tylko o tamtych dwojgu jest to historia, jeśli się dobrze zastanowić, cholera wie. Krewnych B. nikt nie znał albo ich nie było, jego starzy od dawna nie żyli, Piotrowski wspominał o siostrze przyrodniej i jakiejś dziewczynie; siostra zniknęła i dziewczyny ani śladu, dowiedział się tylko, że wiele lat temu wyjechała ponoć do Anglii czy Norwegii pracować najpierw na zmywaku. Więc zrzuciliśmy się na pogrzeb, w końcu kilku z nas miało własne firmy, możliwości odliczeń od kosztów, potrąceń na cele reprezentacyjne. Nigdzie nie było miejsca, dzielnica nie dorobiła się nawet własnego porządnego cmentarza, a na ten wielki komunalny za rzeką nie chcieliśmy. Ktoś powiedział, żeby

lepiej został z nami, na naszym brzegu. Joanna znalazła wreszcie mały cmentarzyk na peryferiach, w jego pobliżu kiedyś pomieszkiwała, znała ludzi, kogoś tam leczyła.

Sami wnieśliśmy trumnę na ramionach, dzień był chłodny, ale słoneczny, liście spadały w gębę jesieni, po nocnym deszczu pozostały głębokie kałuże, w których hardo moczyliśmy buty. Joanna chciała, żeby coś na tablicy obok nazwiska się wyryło, kawałek jego wiersza, albo choć gdzieś pod spodem „Panu Albatrosowi – z pamięcią Joanna", czy coś takiego, czy też po prostu, „Bohdanowi – Joanna", tak jakby własnym imieniem mogła go przytrzymać w grobie, złapać go jeszcze za guzik jakoś po tej stronie, żebyśmy go jeszcze tutaj mieli. Ale pojęła, że i to jest bez sensu.

STEFAN SPRENGER

Kaldakinn

1.

Z białymi staramy się – podobnie jak inni mieszkańcy prerii – raczej nie zadawać. Jeśli stają się nachalni, to albo ucieczka, albo kamień. Od czasu do czasu do nas strzelają. Boleć nie boli, ale to trochę dziwaczne uczucie wyskubywać pociski z własnych trzewi. Kaldakinn tego nie robi – jeśli chce poleżeć kilka dni na ziemi, potrzebuje śrutu jako balastu. Remingtona musiałam mu połamać – strzelał do myśliwych; ich pomarańczowe czapki i kamizelki nawet dla niego, choć ma jaskrę na obu oczach, stanowiły nazbyt wyraźny cel.

Kaldakinn pilnuje, żebym o siebie dbała, przynosi mi lustro i grzebień wzięte z domu Gary'ego. Albo skamielinę, którą znalazł nad Missouri wiosną, kiedy podglądamy wydry; jak starsza uczy młode polować. Palcem pokazuje na moje skołtunione włosy. Perłowym piaskiem robię się na bóstwo, kroplą żywicy wklejam skamielinę we włosy, on się śmieje. Wyglądem zupełnie przestałam się przejmować, przede wszystkim tam, na łąkach. Czasami tygodniami siedzimy w tym samym miejscu i nie ruszamy się, on z głową na moich kolanach, mętne oczy ma na wpół otwarte.

Lubi, jak opowiadam, nawet jeśli nie jestem pewna, co i czy w ogóle coś rozumie. Próbowałam nauczyć go mówić, ale lata w północnym Atlantyku albo pozbawiły go strun głosowych i słuchu, albo urodził się już głuchoniemy – może Lynn o tym wspominała. Wyczuwa drgania mojego głosu, ale opowiadam tylko wtedy, gdy igłą, którą razem z całym kramem do balsamowania zwinęliśmy z domu pogrzebowego Bains w Granite Falls, pozwoli mi nakłuwać sobie płuca. W przeciwnym razie rzęzi. Jemu to nie przeszkadza, rzęzi tak już od trzystu lat, ale mnie to zawsze działa na nerwy. Siedzimy więc i milczymy; czekamy na tę odpowiednią godzinę, a kiedy ona nadchodzi, opowiadam mu o tym, jak go po raz pierwszy zobaczyłam.

2.

Popołudnie spędziłam u Mariette, na łąkach południowej Dakoty, potem wracałam drogą numer 40 przez granicę stanu. Na horyzoncie świeciły czerwone światła masztów radiowych, przede mną z czeluści ziemi wyłaniał się most nad Blue Earth Creek, sięgając jasnego jeszcze nieba. W gąszczu na skarpie obudził się jakiś zwierz, zahamowałam z nadzieją, że bestia nie wpadnie mi pod koła. Ale ona zamiast tego wyprostowała się i w świetle lamp okazała się nie być zwierzyną: skóra i ubranie czarne od brudu, włosy splątane, pysk otwarty, wykrzywiony. Pewnie jakiś chłopak z Dakoty, uciekinier z rezerwatu, który włóczy się po prerii. Schylił się po kamień niezgrabnie jak starzec. Dodałam gazu, ale z nerwów trafiłam stopą na hamulec, pikap wpadł w poślizg. Kamień z hukiem uderzył w drzwi kierowcy, jakby bawół staranował karoserię. Dodałam gazu. W tylnym lusterku została tylko sylwetka chłopaka na moście, na tle zachodzącego słońca. Jutro zgłoszę to do Indian Agency – ten gówniarz wyrośnie jeszcze na prawdziwego bandytę i spowoduje jakiś wypadek.

– A tu co było? – spytał Jiffy na stacji przy Maplestreet w Sacred Heart. – Tomahawk?

Wysiadłam, obejrzałam szkody – tam, gdzie kamień trafił blachę, lakier odprysł i drzwi wygięły się tak mocno, że szybę dało się zakręcić już tylko do połowy. Ten zwyrodnialec musiał strzelać z procy albo rzucić bumerangiem – mógł mnie zabić.

Dwie noce później spod podłogi zaczęły dochodzić drapanie i stukot. To typowe, szczególnie w październiku, po pierwszych przymrozkach, kiedy jakaś bestia próbuje sobie umościć kryjówkę na zimę. Gary ma na to swój stały sposób: uchyla drewnianą przesłonę zakrywającą przestrzeń między podłogą a ziemią, czyści ją za pomocą węża ogrodowego, a potem tak długo dmuchawą roznieca ogień wśród suchych liści, aż wykurzy bydlę, które albo wbiegnie

prosto pod muszkę, albo ucieknie z powrotem na ściernisk.

Tym razem, kiedy zaczął się cały ten spektakl, siedziałam akurat w toalecie, przeglądając gazetki reklamowe z Renville. Norki, skunksy, szopy pracze potrafią narobić niezłego rabanu, ale to bydlę pod podłogą musiało być od nich o wiele większe, bo tłukło się tak, że aż drżała woda w klozecie.

– Hej, Gary, chyba mamy pod podłogą baribala! Gary!

Ale twardy Olsen znowu przyszedł do domu zawiany. Szarpałam go, bez skutku. Pod podłogą dudniła bestia.

Wskoczyłam w dżinsy, zbiegając po schodach, narzuciłam sweter, zapaliłam światło w kuchni. Okruszki tostów i miseczki pełne orzeszków tańczyły w rytm uderzeń w deski. Dwukrotnie tupnęłam w podłogę – natychmiast zapadła pod nią cisza. Tupnęłam po raz trzeci i usłyszałam, że niedźwiedź się przesuwa. W glanach Gary'ego tupałam i skakałam po kuchni, aż z półki spadł kufel do piwa, a na podłogę runęły jednocentówki i odłamki szkła. Na dole najpierw zrobiło się cicho, potem słychać było pisk i rumor od strony północnej. To coś chyba wyważyło oszalowanie. Zazwyczaj Mossberg podpierał ścianę w spiżarce, której Gary używa jako warsztatu; śmierdzi tam dwuskładnikowymi klejami, lutownicą, acetonem i cholera jeszcze wie czym, ale tym razem strzelby nigdzie nie było. Ruszać na niedźwiedzia ze śrubokrętem krzyżakowym i opalarką w ręce to raczej mało poważne. Obleciał mnie strach. Wtedy dostrzegłam przenośny reflektor – może przynajmniej uda się przegonić bydlę halogenowym strumieniem. Na trawniku pod olchami leżały drzazgi oszalowania, strzępy waty szklanej i kawałki styropianu ocieplającego główną rurę kanalizacyjną. Poświeciłam po drzewach, niedźwiedzia ani śladu. I wtedy usłyszałam rzężenie. Powolne, niemal przyjemne, jak bulgot pomp do wydobywania wody gruntowej, które latem nawadniają pola buraków cukrowych. Niedźwiedzie

warczą, mruczą, ryczą, ale nigdy nie rzężą. Skierowałam reflektor na przesmyk między zaroślami i zobaczyłam, że coś czarnego czmychnęło stamtąd na czworakach. Trzy domy dalej odezwał się pies Tyffelsa. Jego szczekanie dudniło po całej Harrison Avenue, budząc inne psy. Cokolwiek grasowało po okolicy, nie był to niedźwiedź.

Sacred Heart przewyższa o dwie kategorie standardy Minnesoty pod względem średniej wieku i procentu bezrobotnych. W pozostałych (wartość nieruchomości, poziom wykształcenia, różnorodność rasowa) tkwi głęboko w statystycznym podziemiu. Nie dziwota, że co roku coraz więcej ludzi pakuje swój dobytek w dostawcze auta U–Haul i skręca w dwieście jedenastkę; oprócz niesprzedanych ruder zostaje po nich jedynie kurz na drodze. Trasa listonosza w Sacred Heart stała się tak krótka, że chociaż rano pomagam Maddy przy sortowaniu listów na poczcie, to już o wpół do jedenastej kończę ich rozwożenie.

Zaraz po pracy zadzwoniłam do szeryfa Nollena w miejscowości Olivia, bo oprócz wczorajszej nocnej historii zdarzyło się u nas coś jeszcze – włamanie z rozbojem, dzisiaj, kiedy rozwoziłam pocztę. Kuchnia i spiżarka były tak zdewastowane, jakby dom trzykrotnie dachował. Na piętrze łóżka, regały i szafy poprzewracane; bydlę musiało kulę do kręgli Gary'ego, radio lampowe i moje segregatory ze studiów wyrzucać przez okno sypialni z prawdziwą furią, bo rama okna dyndała teraz na zewnątrz. Bielizna leżała porozrzucana po trawie i za płotem, na polach. Ten numer w stylu wikinga furiata musiał narobić piekielnego rabanu, ale jedyną osobą, która mogła to usłyszeć, był Tyffel, a on ma osiemdziesiąt trzy lata i jest głuchy jak pień; pozostałe domy przy Harrison Avenue stoją puste.

– Macie jakichś złośliwych znajomych albo innych wrogów? – dociekał sierżant, próbując odpowiednio ustawić zoom w aparacie, by uchwycić spustoszenie w każdym pokoju po kolei. – Jakiś pomysł, kto to mógł być?

– Nie – odparłam. – Może czarny niedźwiedź?

– Czuć tu niedźwiedzia? – spytał sierżant.

– Nie – zaprzeczyłam. – Tylko szampon brzoskwiniowy rozlany na podłodze.

– Szampon brzoskwiniowy? – policjant pokiwał głową. – Na waszym miejscu załatwiłbym sobie konkretną spluwę, bo te skurwysyny, które tu harcowały, nie życzą wam dobrze.

Gary po południu zorganizował nowe okna i remingtona osiemset siedemdziesiąt, kaliber dwadzieścia z trójkomorową ładownicą. Maddy i Triz przyszli około trzeciej i pomogli mi uporządkować cały ten burdel. Jedenaście worków na ciężkie odpady wypchaliśmy skorupami, przemokniętymi dywanami i książkami wysmarowanymi sosem barbecue. Maddy prawie puściła z dymem nasz dom, kiedy sprzątając warsztat, zgasiła papierosa na podłodze i nagle po kolana stanęła w błękitnych płomieniach. Triz, który opryskiwał kuchenne ściany wodą z węża ogrodowego, zaserwował jej taką fontannę, że musiała iść do domu się przebrać. Po piątej przyszli kumple Gary'ego z Elevator Corp; wstawili okna i tylne drzwi, a ja, krzątając się po nadzwyczaj pustej kuchni, przygotowałam garnek chili i blachę ciasteczek brownie.

– Mówiłaś komuś o tych dwóch milionach? – spytał Gary, myjąc naczynia.

– Nikomu – odpowiedziałam, zdrapując nożem resztki chili z dna sagana.

– Nie możesz zalać wodą, żeby odmokło przez noc, *damn it*, nie znoszę tego dźwięku!

Odłożyłam nóż na bok, wycisnęłam płyn do naczyń na zaschniętą skorupę i zalałam gorącą wodą.

– Jesteś pewna? – dopytywał Gary.

– A komu miałabym o tym mówić? – Wzięłam ścierkę i zaczęłam wycierać miski po chili.

– A bo ja wiem? Gadasz z ludźmi, kiedy im przywozisz pocztę.

– Nikomu nie powiedziałam ani słowa.

Spojrzał na ścianę obok bojlera, gdzie zostały tylko w paru miejscach kawałki farby i garść gwoździ po fanowskich pocztówkach z Minnesota Vikings.

– Ten cały szajs będzie nas kosztował parę tysięcy dolarów.

– Zapłacę – oznajmiłam.

– Ciągle jeszcze nie skumałaś, prawda? – spytał Gary.

– Czego?

– Dwa miliony dolarów i Sacred Heart do siebie nie pasują.

Tej nocy nie zmrużyłam oka. Gary podejrzewał, że się komuś wygadałam i to pieniądze zwabiły do naszego domu jakichś idiotów. A ja wciąż myślałam o rzężeniu, które słyszałam na dworze tamtej nocy. I że teraz najlepiej wstać, wsiąść w pikapa, zaryglować drzwi i zatrzymać się dopiero po dwóch tysiącach mil jazdy międzystanową dziewięćdziesiąt West w kierunku Seattle, stamtąd polecieć na Hawaje, później statkiem frachtowym dostać się na Polinezję i ukryć na jakimś maleńkim atolu. Gary Olsen czuł, że się od niego oddalam, winił za to te dwie bańki, ale nie zdawał sobie sprawy, w jakim naprawdę był niebezpieczeństwie. Stanąłby na drodze mojemu zabójcy, nie zastanawiając się nad tym, że pociskom obojętne, czy rozszarpią przy okazji Gary'ego. Nie chciałam, żeby zginął. A przede wszystkim nie chciałam uciekać, żeby później trwać długie lata w oczekiwaniu, w nieustannym strachu. Lynn Johnson była mądrzejsza, bogatsza i bardziej zdecydowana niż ja, a jedyne, co zyskała, to odrobina czasu.

– Trzymaj się dzisiaj od nas z daleka, Kaldakinn – prosiłam, mamrocząc. – Jutro wyjdę ci naprzeciw.

– Co? – spytał Gary przez sen. – Co jutro?

– Ciii – uspokoiłam go i pocałowałam. – Śpij, mój książę.

3.

Kiedy byłam mała, własny umysł napędzał mi sporo strachu. Przekonywał mnie na przykład, że dokładnie w danym momencie – akurat kiedy przed lustrem myłam zęby szczoteczką z Goofym i przyglądałam się własnym dyndającym na boki kitkom – gdzieś na krańcu świata jakiś robot wyrusza w podróż, żeby mnie znaleźć i zabić. A ponieważ jest maszyną, nigdy się nie męczy i w końcu nadejdzie. Nawet gdybym całymi dniami przed nim uciekała, to i tak każdej nocy będzie bliżej i bliżej, maszerując po dnie oceanu w stronę Marshall w Minnesocie.

Podejrzenie, że moje pokrętne myśli mogłyby się ziścić, pojawiło się po raz pierwszy, gdy miałam pięć lat i nocowałam u Jeannie Askell, bo moi rodzice pojechali do Pipestone na spotkanie sprzedawców Forda. Mój tata był drugim najlepszym przedstawicielem handlowym Forda w całej Minnesocie i dlatego miał odebrać nagrodę. W nocy nagle zaczęłam płakać z powodu dziecka w brzuchu mamy – że nie wiedziałabym, jak je karmić, gdyby mama umarła. A następnego dnia po południu ciotka Beth płakała przy kuchennym blacie, wujek Sonny oparł głowę o jej kark i objął od tyłu; też płakał. Nie musiałam się już martwić – dziecko zmarło razem z mamą i tatą, gdy w drodze powrotnej z Pipestone zderzyli się z naczepą pełną buraków cukrowych, i w trójkę odeszli do dzieciątka Jezus. Tego wieczoru w kuchni Askell wstrzymałam powietrze i za wszelką cenę, ostatkiem sił osieroconej pięciolatki walczyłam z własnym umysłem, żeby go już nigdy nie dopuścić ani do siebie, ani do innych ludzi. Udawało mi się to do czasu, kiedy osiemnaście lat później obwieszczenie o rodzinnej schedzie powaliło mnie nieprzytomną na sofę Lynn Johnson.

Nie wiem, czy wybrałabym się w pięciogodzinną drogę do Lynn, do Wisconsin, gdybym wiedziała, jak brzemienna

będzie w skutki. Lynn przedstawiła się przez telefon jako przyrodnia siostra mojego ojca, zaprosiła mnie do siebie w okolice Eau Claire głosem, w którym pobrzmiewały bogactwo, wykształcenie i niespodziewany smutek. Gary stawiał na spadek, sugerując, że nasz dom potrzebuje nie tylko nowego ogrzewania, lecz także nowej kanalizacji, nie wspominając o porządnej łazience i izolacji ścian. Gapiłam się w zacieki na suficie w sypialni i próbowałam przypomnieć sobie twarz mojego ojca, jego prawdziwą twarz, a nie tę z wyblakłych polaroidów i wycinków w kartonie po butach z Red Wing. Musiałam chyba dość wyczekująco wpatrywać się w Lynn, gdy zaparkowałam auto i zostałam w środku, nie wyłączywszy silnika.

– Nie znałam twojego ojca, Berit – powiedziała przez otwarte okno. Jej spojrzenie mówiło wszystko. Zadziorne, wojownicze spojrzenie, którym ojciec mógłby wygiąć drzwi auta. Lynn miała spojrzenie taty. Przez chwilę czułam tę samą furię, z jaką czasem patrzył na mnie i tę samą obawę, że mógłby jej nie opanować.

– Ja też nie – powiedziałam.

– Wejdź – zaprosiła mnie Lynn. – Mam dla ciebie coś w piekarniku.

Z piwem korzennym w dłoni przyglądałam się oprawionym w ramy dyplomom, od których aż roiło się na ścianach, a ona, krzątając się po kuchni, opowiadała, jak zleciła znalezienie mnie prywatnemu detektywowi z Milwaukee, który specjalizuje się w poszukiwaniach nieznanych krewnych.

– Dlaczego? – spytałam.

– Z dwóch powodów: mojej białaczki i naszego rodzinnego dziedzictwa – odparła, wyciągając lasagne z pieca.

Stwierdziła, że jej rak krwi jest mało spektakularny i w ogóle nudny jak flaki z olejem. Wkurzały ją tylko coraz częstsze momenty osłabienia, podwyższona podatność na infekcje i ogólnie obniżenie wydajności, bo Lynn – singielka

bez rodziny – była prawdziwą pracoholiczką. Hematolożka zalecała jej koniecznie chemioterapię, ona sama liczyła natomiast na rok, może dwa lata życia. Lynn wypunktowała swoje dolegliwości szybko, beznamiętnie i w idealnym porządku, jak karciarze z kasyna White-Earth na górze – talia białaczki została przetasowana i odłożona na bok, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

Rodzina mojego ojca wyemigrowała z Islandii, a matki ze Szwecji. Nigdy nie zajmowałam się jakoś specjalnie swoimi przodkami. Moi rodzice byli trzecim pokoleniem, a folkowy islandzki festiwal w Yellow Medicine z czaszkami owiec i rybami, które śmierdziały moczem, sprawił, że moja potrzeba poszukiwania etnicznych korzeni była bardziej niż na wyczerpaniu. Dlatego jedynie wzruszyłam ramionami, kiedy Lynn spytała, czy wiem, co to jest *morí*.

– Chętnie poopowiadałabym ci o wzgórzu z bazaltowymi słupami – rzekła. – I że elfy, które w nim żyją, czasem błogosławią ludzi. Co gwarantować ma im długie, szczęśliwe życie. Z przyjemnością powiedziałabym ci, że jesteśmy taką namaszczoną rodziną. Niestety zmuszona jestem opowiedzieć ci o rodzinnym dziedzictwie tak ponurym i bezkresnym jak zima na islandzkich fiordach.

Spuściła wzrok na swoje dłonie.

– *Morí* oznacza bagienny odcień brązu – kontynuowała. – *Morí* to zmarły, który został zaklęty i zmuszony do wypełniania czyjejś woli. Po islandzku mówi się na to *að sitja úti og vekja tröll* – siedzieć na dworze i budzić do życia potwory. Wysyła się *morí*, żeby tak długo szkodził danej rodzinie, aż cała wymrze. Może się to ciągnąć nawet setki lat. W tym czasie *morí* staje się brązowoczarny jak bagno, stąd nazwa. Jeśli *morí* raz zostanie powołany do swojego zadania, będzie je wypełniał aż do końca, nawet zmuszony na kikutach przejść po dnie Atlantyku. Próbowałam wszystkiego, uwierz mi. Zaklęłam go, otrułam, zadźgałam, zastrzeliłam i spaliłam. Przepuściłam jego resztki przez maszynkę

do mięsa, a to, co zostało, rozrzuciłam ze śmigłowca na całej długości Dakoty Północnej. Dwa lata temu wykuśtykał z lasu, w jednym kawałku. Moje zwierzęta, koty i labrador, zerwały się i uciekły na zawsze. Ci islandzcy szamani z północy musieli być cholernie dobrzy. Berit? Berit?!

Morí miał utopić się jako dwunastolatek podczas łowienia ryb w zatoce na północnym wschodzie Islandii, razem z pięcioma innymi mężczyznami. Lynn powróciła do opowieści, kiedy zimna ścierka przywróciła mnie do rzeczywistości. Tego dzieciaka, w przeciwieństwie do pozostałych, jeszcze tego samego dnia wyrzuciło na brzeg. Szamana, który go zaklął i pokonał na plaży, opłacono, żeby go posłał na dwór w Langanes, bo podejrzewano tamtejszych chłopów – naszych szacownych przodków – o szlachtowanie owiec z sąsiednich stad. Strome zbocze pod Gunnarsfell, gdzie *morí* najchętniej przebywał, zostało z powodu niskiej żyzności określony mianem Kaldakinn. Imię to przeszło na jego mieszkańca, nazwano go *morí* Kaldakinn.

Chlupot wody w jego płucach było słychać z daleka; odgłos, którego obawiano się najbardziej zimą, gdy ludzie uwięzieni z powodu śniegu na swoich farmach słyszeli, jak Kaldakinn skrada się po dachach. Jego dzieło zniszczenia – zdewastowane dobra, zmarnowana żywność, wymordowani ludzie i zwierzęta – nie skończyło się, gdy opuszczono gospodarstwo, wręcz przeciwnie. Wtedy podążył za rodziną przez całą Islandię, wzdłuż i wszerz; sprowadzał na nią choroby i śmierć, aż na początku lat dwudziestych wyemigrowali do Ameryki. Na darmo – krótko po wojnie Kaldakinn pojawił się w Wisconsin i jak twierdziła Lynn, był odpowiedzialny za śmierć jej ojca i jego braci. Matkę zostawił w spokoju, dziedzictwo obejmowało potomków ze strony ojca. Z Lynn Kaldakinn obchodził się zadziwiająco niemrawo, jakby nie chciał jej uśmiercić przemocą, raczej ostrożnie, niemal delikatnie przeprowadzić ją na drugi brzeg. Dlatego udało jej się dwukrotnie uciec, ale potem większą

część życia i tak poświęciła zwalczaniu *morí*. Wierzyła, że jest ostatnią nosicielką rodzinnej klątwy, która w siedemnastym wieku sprowadziła na ich rodzinę Kaldakinna. Że wraz z jej śmiercią zakończy się również pozagrobowe życie *morí*. Półtora roku temu rozpoczęła poszukiwania pozamałżeńskich członków rodziny, by jednocześnie z niesmakiem i żalem znaleźć mnie – Berit Magnusson.

Lynn pokazała mi zdjęcie pewnej postaci, pokrzywionej jak strach na wróble, niewiele większej od dziecka, która stała na brzegu rzeki i zdawała się patrzeć na wodę. Na niemal łysej czaszce ostało się kilka kępek włosów. Pokazała mi wyrwane zawiasy w drzwiach i rysy na ścianie obok futryny. Jest silny jak niedźwiedź polarny, ale na szczęście powolny, dlatego po raz trzeci udało jej się ujść z życiem.

W drodze powrotnej do Minnesoty zjechałam z międzystanowej dziesiątki w kierunku Ellsworth, żeby objechać Twin Cities, przecięłam Missisipi w Red Wing i tam, w sklepie z odzieżą robotniczą kupiłam parę przecenionych butów dla Gary'ego.

Lynn od czasu ponownego pojawienia się *morí* nie straciła głowy ani siły do dalszej walki, przeciwnie – kupiła sobie trochę czasu w postaci kopalni rudy żelaza na północno-zachodnim krańcu Minnesoty i tam w wypełnionych wodą szybach Cook County uwięziła *morí* za pomocą ładunków trotylu. Ziemia niezaoranych pól kukurydzy po obu stronach szosy nabrała czarnej barwy bagna, a nawierzchnia drogi stała się lekko fioletowawa. Wyobrażam sobie, że *morí* przekopywał się przez ciemności podziemnych kanałów w poszukiwaniu wyjścia.

Wszystko to było bardzo nieprawdopodobne i przypominało pożywkę dla mojego szalonego umysłu małej dziewczynki ze zbyt dużą fantazją. Tak nieprawdopodobne jak oświadczenie Lynn, że po jej śmierci odziedziczę sumę miliona dziewięciuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów po odciągnięciu podatków. Zarys latarni morskiej nad prerią

rozmył się jeszcze bardziej w słabym świetle słońca z zachodu, kiedy dojeżdżałam do Sacred Heart. Na wschodzie noc była już solidna jak mur.

– I? – Gary ściszył radio. Mąką umazał pokrętło; spojrzał na swoje palce i wytarł dłoń o fartuch.

– Jej lasagne była całkiem niezła – powiedziałam.

– No mów. – Wyczyścił pokrętło kawałkiem papierowego ręcznika. – Czego chciała?

– Wcisnąć mi na głowę rodzinnego ducha zwanego Kaldakinn.

– Od kiedy masz ruskich w rodzinie? – zdziwił się Gary.

– To nie rusek, to Islandczyk.

– A ty go zakorkowałaś w kości owcy i wrzuciłaś do Missisipi, prawda? – Obtoczył filet suma w panierce.

– Pokazała mi jego zdjęcie.

Gary aż gwizdnął.

– Mogę zobaczyć?

– Nie sądzę – powiedziałam, przyglądając się kawałkom ryby, która zaczynała na patelni przybierać złotawy kolor. – Powiedziała, że jest odpowiedzialny za śmierć jej ojca i jego dwóch braci. Też się czułam winna, kiedy moi rodzice umarli. Poza tym ma białaczkę. Jest jeszcze piwo?

– Taa – potwierdził Gary, obracając ryby. – W lodówce. Czyli po spadku?

Otworzyłam Millera light i siorbiąc, spiłam pianę z brzegu puszki.

– Zapomnij, ona ma coś z głową.

4.

– Ten jest do ciebie – powiedziała Maddy niecały rok po mojej wizycie u Lynn, rzucając żółtą kopertę na stertę katalogów nasion, które dzisiaj trzeba było roznieść po wszystkich gospodarstwach. – Jakiś prawniczy kram z Eau Claire w Wisconsin.

Gruba koperta pachniała Lynn, chociaż jako nadawca widniała kancelaria Waterman i Partnerzy. Lynn próbowała w zeszłym roku się ze mną skontaktować, ale kazałam przekazać, że mnie nie ma. Gdyby była w stanie podróżować, z całą pewnością zjawiłaby się w Sacred Heart osobiście, ale na to prawdopodobnie była już za słaba.

Najświeższe wieści od niej były zbyt grube, by je wrzucić do niszczarki bez czytania, a Maddy, która – jako pracowniczka poczty pod dwudziestu dziewięciu latach służby – nadal przekraczała wszelkie standardy, jeśli chodzi o minimalną dyskrecję, z całą pewnością wyłowiłaby kopertę z normalnego kosza, zadowolona przeczytałaby jej treść i z jeszcze większą radością obwieściła ją całemu Sacred Heart; to taka jej osobista definicja dbania o interesy wspólnoty. Wcisnęłam więc kopertę do plecaka, między termos z kawą a kanapkę z kukurydzą.

– Kłopoty? – spytała Maddy, nawet się nie obracając i nie przerywając zakładania gumek recepturek na paczki listów.

– Nie – powiedziałam. – Tylko daleka krewna, która się boi swojej rodziny.

W kopercie znajdowało się pismo, cała sterta formularzy i druga koperta z moim nazwiskiem wykaligrafowanym ręką Lynn. W liście dr Jonatan Ewitt z największą przykrością musiał poinformować Berit Magnusson, zamieszkałą przy Czterdziestej Trzeciej Harrison Avenue w Sacred Heart, MN pięć-sześć-dwa-osiem-trzy, że jego klientka dr Lynn Johnson zmarła dnia dwudziestego trzeciego września bieżącego roku. Przyczyną śmierci był atak serca spowodowany wieloletnią białaczką. Jednocześnie z przyjemnością zawiadamia… „Rany! – pomyślałam – milion i dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, dokładnie tak, jak zapowiedziała Lynn; w przeliczeniu dziesięć tysięcy biletów linii Willmar – San Francisco, dla jednej osoby w jedną stronę”. „Co to za pomysł?” – sama się wygwizdałam w myśli. Kto

miałby jechać z Willmar dziesięć tysięcy razy na zachodnie wybrzeże? „Ty” – odpowiedział mój mózg, zanim zdążyłam przejąć nad nim kontrolę.

Reszta to był tylko prawniczy bełkot z zaznaczonymi miejscami do podpisu. Zwlekałam z otwarciem listu od Lynn, ale w końcu się odważyłam – jakby nie patrzeć, zapisała mi w spadku prawie dwa miliony. Donosiła, że kopalnia nie była warta swojej ceny. Z ogromną przykrością przekazywała mi tę smutną wieść, życzyła dużo szczęścia na ziemi i – jeśli istnieje – w życiu po śmierci; będzie starała się robić wszystko, co w jej mocy, żeby mnie wspierać z tamtej strony. „Lekarstwa – pomyślałam sobie – te to potrafią zrobić w głowie niezłą sieczkę”.

– Pogadajmy – powiedział Gary wieczorem i zsunął mnie ze swoich kolan, na których księżniczka milionerka rozsiadła się, by sączyć mu do ucha tę słodką wiadomość, kropla po kropli.

– O co ci chodzi? – spytałam zdezorientowana i nieco urażona. – Nie cieszysz się?

Ale na jego twarzy pojawiła się już granitowa fasada, jak zawsze, gdy Olsen próbował być twardy.

– To twoja kasa, nie moja – rzekł. – Możesz teraz iść na studia i zrobić dyplom z cerowania zwłok. Albo zwiedzić całą Europę. A ja zostanę tutaj. Nie chcę ani do Minneapolis, ani do Paryża. Nie mieszkam tu dlatego, że mam za mało pieniędzy albo siły, żeby stąd spadać. Mieszkam tutaj, bo mi się tu naprawdę podoba. Ale ty mieszkasz tutaj, bo ci się w Willmar skończyła kapusta i bo się w tobie zakochałem. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów byłoby spoko, Berit. Ale dwa miliony zrobią z ciebie takiego samego *space junka*, jakiego już raz ściągnąłem z orbity w Willmar. Znowu znalazłaś się na orbicie, Berit, ale ja nie jestem twoim Houston. Pakuj manatki i zmywaj się stąd tak szybko, jak tylko możesz.

– Ale dlaczego?

Następne zdanie Gary wypowiedział powoli, cedząc każde słowo tak wyraźnie, jakby je obrysowywał czarnym markerem.

– Bo dwa miliony dolarów i Sacred Heart nie pasują do siebie. Uciekaj. Teraz.

– Wyjedź ze mną – poprosiłam.

Pokręcił głową.

– Jestem ci obojętna? – spytałam.

– Nie gadaj głupot.

– To dlaczego?

Gary wstał, strzepnął z koszuli okruszek krakersa i założył flauszową kurtkę.

– Muszę jeszcze coś pospawać. Robi się późno. Pa.

5.

– Nie mogę tego przyjąć! – Maddy pokręciła głową, wlepiając wzrok w broszkę z bursztynem, która leżała obok nalepek na priorytety. Moja szwedzka prababka przywiozła tę biżuterię dwa wieki temu do Minnesoty: jasnobrązowy bursztyn w kształcie łuski, a w nim prehistoryczna igła sosnowa symbolizująca zalesione wysepki z jej dzieciństwa, na których zimą prawie umierała z głodu. Nigdy nie nosiłam tej ozdoby.

– Takich rzeczy się nie oddaje – oznajmiła Maddy i kichnęła. – To rodzinna pamiątka. Powinno się ją zachować dla potomnych.

– Weź ją, naprawdę – powiedziałam, układając warstwami pocztę w plastikowym pojemniku, który podczas rozwożenia będzie spoczywał na siedzeniu pasażera. – Za to, że mi pomogłaś w sprzątaniu i najadłaś się przy tym strachu.

Tego ranka rozwiezienie poczty zajęło mi dokładnie pięćdziesiąt siedem minut więcej niż zwykle – wszyscy słyszeli, że ktoś się do nas włamał, wszyscy wiedzieli też, kto to był. Pijani Indianie z rezerwatu Upper Sioux, gangsta raper

przejazdem z L.A., nieogolony David Oddson z dziewiątej przecznicy wraz ze swoją watahą pitbuli, które trzyma na podwórzu. Dwa dni później Elroy Gunsmiths & Co, firma handlująca bronią z Willmar, roześle swój katalog do wielu gospodarstw w Sacred Hearts; bracia Elroy specjalizowali się w zdobywaniu klientów tam, gdzie właśnie wydarzył się jakiś napad czy rozbój. Może Maddy pojedzie jutro z pocztą, może jakiś praktykant z Renville, ale raczej chyba Maddy, bo nie daruje sobie okazji, by objąć stanowisko informatorki roku.

Dziś rozwoziłam listy bez pośpiechu, wdawałam się w pogawędki z tymi, którzy akurat przypadkowo wyłaniali się zza rogu własnego domu, gdy chwytałam chorągiewkę przy ich skrzynce. Wypiłam sześć i pół filiżanki kawy – pan Sheggeby z Trzeciej Alei nadal parzy najlepszą – dostałam podręcznik samoobrony, dwa traktaty *Jezus Cię kocha* i jedną broszurkę ruchu Eckankar, dwukrotnie też musiałam skorzystać z toalety – u Larry'ego Erklunda i w Sweetie Brown. Kiedy wróciłam na pocztę, Maddy już nie było, broszka z bursztynem została. Opróżniłam metalową szafkę pracowniczą, wyrzuciłam do kosza materiały promocyjne dotyczące kariery w US Postal, sprawdziłam sejf, zgasiłam światło. Elroy Gunsmiths & Co z pewnością zrobią jutro w Sacred Heart niezły biznes.

Gary'emu powiedziałam, że po południu pojadę na pola poćwiczyć strzały z remingtona. Nie miałam pojęcia, co mogłabym napisać, żeby choć spróbował mnie zrozumieć – dlatego darowałam sobie ewentualny list i położyłam tylko pełnomocnictwo do konta w American Bank w Renville. W beczce za domem spaliłam rzeczy osobiste, które nikogo nie powinny obchodzić; nie było tego dużo, większość już wczoraj powędrowała do śmieci. Przy pudełku po butach zawahałam się na chwilę – jakby moi rodzice ostatecznie i nieodwracalnie mieli umrzeć w momencie, w którym ich fotografie obrócą się w popiół. Ale potem pomyślałam, że

rodzina w pudełku po butach to jednak bardziej pudełko po butach niż rodzina – i rzuciłam je w ogień. Krótko przed trzecią było po wszystkim.

Wzięłam prysznic, włożyłam świeże ubranie, umyłam zęby, schowałam dowód osobisty i prawo jazdy do kieszeni, otworzyłam dwie paczki nabojów i poupychałam śrut, gdzie popadło. W aucie włączyłam radio, próbowałam znaleźć stację KKRC, dostałam napadu płaczu, zostawiłam auto przed domem i piechotą wzdłuż Drugiej Alei, mijając szkołę podstawową Renville City West i cmentarz Zbawiciela, dotarłam na pola z remingtonem przerzuconym przez ramię jak z siekierą, lufa w lewej dłoni.

Tutejsza okolica nie jest tak płaska, jak wydaje się z dwieście dwunastki – kilometr polną drogą, w którą na wysokości pompy przechodzi Druga Aleja i już ani śladu Sacred Heart. Tylko bezkresne niebo, wiatr, rozwiewający blade liście kukurydzy po ścierniskach i skibach już zaoranych pól, błyszczących niczym wilgotny węgiel. Szosa prowadziła prosto na południe, po kilku kilometrach widać będzie rzekę Minnesota. Dzień zrobił się słoneczny i gorący, klucz kanadyjskich gęsi przelatywał nad głową, w oddali słychać było gwizdy pociągów z napędem Diesla. Szłam i szłam, i obracałam w palcach śrut. Czerwone obudowy w mojej dłoni nabierały cech szczególnie materialnych – żłobienia w plastiku, wgłębienie w podstawie, waga ładunku. Czasem upuszczałam pojedynczy nabój w piach i brałam do ręki następny; były jak gorące epizody życia, którym – jednemu po drugim – pozwalałam bezpowrotnie przemijać.

Momentami przelatywały, łopocząc skrzydłami kruki albo jakieś wodne ptactwo; mogłabym przeładować broń i do nich strzelać, ale wtedy mojego remingtona czuć by było świeżym strzałem i prochem. Niewinna jeszcze mieszanka smaru i oleju drzewnego na policzku była mi o wiele milsza, taki zapach, do którego można by się przytulić i zasnąć.

Rzeczywiście czułam, jak uchodzi ze mnie kofeina i odzywają się dwie już bezsenne noce, usiadłam więc na łące przy skraju drogi, z bronią na brzuchu i resztką pozostałych jeszcze nabojów w formie wściekle czerwonego kopczyka obok mnie.

Usłyszałam czyjś szept. W chwilach omdlenia duchy mojej nieżyjącej rodziny, uformowane w chmurkę zebraną nad jedyną żyjącą jeszcze latoroślą, organizowały naradę prowadzoną w wielu językach, czy raczej bezradną modlitwę; nawet ci najstarsi, ci z tyłu, ci mali, zduszeni i siwi jak kawałki koksu. Ten dziwacznie przepełniony spokojem obraz utrzymywał się przez jakąś chwilę, zanim pojęłam, że to nocny wiatr miota liśćmi wierzby, pod którą zasnęłam. Zesztywniałymi palcami pomacałam w ciemności, szukając broni, trafiłam na coś grzybiastego, co pachniało jak zwierzę, było przerażone i jak w transie pokuśtykało, drżąc z zimna, z powrotem w stronę Sacred Heart. Na niebie migały samoloty.

Gary wyjechał ze mną, żeby odnaleźć broń, ale światła auta wskazywały tylko pojedyncze naboje na polnej ścieżce, a w trawie pod wierzbą znajdował się martwy, choć jeszcze ciepły opos i dwa legowiska.

Odcisk obok miejsca, w którym zasnęłam, był niewielkich rozmiarów, jakby pozostawiło go ciało dziesięciolatka. Gary, sądząc, że chciałam popełnić samobójstwo, nalegał na wizytę u psychologa, aby wreszcie przepracować śmierć moich rodziców i nigdy nienarodzonego rodzeństwa.

Następnego dnia na sto sześćdziesiątej przecznicy ktoś strzelał do przyczepy spółdzielni Golden Oval. Niedługo później dwaj kierowcy ciężarówek mówili o strzałach wzdłuż 212. Pomiędzy Sacred Heart a Renville. Szeryf Nollen trzema radiowozami kawałek po kawałku patrolował okolicę. Następnego ranka autobus, który wiejskie dzieci z północno-zachodniego zakątka hrabstwa Renville przywoził do szkoły w Sacred Heart, zgarnął trzy strzały

w bok, z bliska, w krótkim czasie. Strzelec najwyraźniej pojął zasadę działania mechanizmu powtarzalnego broni pneumatycznej – celował w koła i światła boczne. Na szczęście autobus wracał do zajezdni, a kierowca, pani Lastrup, złamała tylko nos, kiedy z przerażenia wpakowała pojazd do rowu. Godzinę później w Sacred Heart pojawili się dziennikarze z telewizji KRWF Redwood Falls i cała masa policji.

Opowiedziałam oficerowi Giese'owi o włamaniu i o broni. W radiu szeryf Nollen apelował o pozostanie w domach i noszenie wyłącznie nieodbezpieczonej broni. Poczty nikt dziś nie rozwoził. W oddali nad polami słychać było terkot śmigłowca.

Opłacało się pakować? Przedwczoraj miałam jeszcze broń i amunicję, dzisiaj tylko pół butelki ajerkoniaku i parę dolarów na benzynę. Że musiałam wyjechać, było jasne – do mnie należało odciągnięcie *morí* od ulic i pojazdów. Jechałam drogą numer dziewięć do hrabstwa Chippewa aż do Clara City, potem drogą numer dwa, później trzynastką na zachód, do Lac Qui Parle, razem trochę ponad trzydzieści mil. Ktoś, kto nie potrzebuje snu, może pokonać tę drogę w ciągu doby.

Lubiłam jezioro Lac Qui Parle, szczególnie po wielogodzinnych podróżach po Dakocie Południowej, gdzie na łąkach prerii słychać jedynie wiatr i czasem ospałe bzyczenie owadów. Bo to jezioro rzeczywiście mówi, gada głosami tysięcy, może milionów ptaków, które wysiadują jaja w sitowiu. Wiele razy szwendałam się wzdłuż jego brzegów, co było nielegalne, przynajmniej po stronie południowej, tam, gdzie ustanowiono rezerwat przyrody, i gdzie czasem skauci trzymali wartę w domku na palach.

Dochodziła piąta, kiedy zostawiłam auto na zarośniętej ścieżce. W dole nad jeziorem słońca już nie było, ale nad zachodnim brzegiem drzewa mieniły się jeszcze wszystkimi odcieniami żółci, pomarańczy i czerwieni. Przewiesiłam torbę przez ramię i ruszyłam brodzić w sitowiu. Woda była

tu całkiem czarna, na powierzchni, między trzcinami falował gęsi puch, po mojej prawej wynurzyła się ropucha wielkości dłoni.

Domek na wodzie i przystań dzieliło od brzegu może ze sto stóp. Bernikle kanadyjskie, które tu rezydowały, syczały i parskały, a odleciały dopiero gdy weszłam na kładkę. Poczułam ulgę, kiedy we wnętrzu chatki znalazłam łóżko polowe – noc będzie zimna, jak miło, że nie muszę jej przeczekiwać na wilgotnej podłodze. W kącie stało wiadro i gąbka. Spłukałam ptasie odchody z pomostu, wyszorowałam deski, spłukałam jeszcze raz – jeśli umierać, to przynajmniej nie po szyję w gęsim gównie. Jezioro było szare, krzyki ptaków rozlegały się w ciemnościach. Im głębszy zapadał zmrok, tym robiło się ciszej, gruchały jeszcze pojedyncze gołębie, tu i tam krótkie kwaknięcie w zaroślach, aż wreszcie jezioro całkowicie zamilkło.

Bałam się. Marzłam. W głowie rozbrzmiewał mi wesoły głos Lynn Johnson, która opowiada o wyczynach *morí*. Jak zaklęty umarły wbrew własnej woli powstaje z protestem „Zostaw mnie w spokoju!” na ustach. I że zaklinający nie może na to zwracać uwagi, ma tylko natychmiast spytać, w jakim wieku jest zmarły. Ponieważ umarli są zawsze niezwykle silni, wolno wybierać jedynie dzieci w wieku od dwunastu do czternastu lat, bo starsi go pokonają i zabiorą ze sobą, z powrotem do krainy śmierci. Jeśli umarły ma odpowiedni wiek, zaklinacz nie przestaje, aż umarły powróci do żywych, z pianą na ustach i w nosie. Szaman musi mu tę pianę zlizać, jak krowa świeżo narodzonemu cielakowi. Musi też wyciąć kawałeczek mięsa z małego palca prawej stopy i położyć je na języku zmarłego. Wtedy ten odzyska siłę i będzie próbował walczyć ze swoim nowym panem. Jeśli szaman zdoła powalić go na ziemię, wtedy zdobywa przewagę i może zmarłemu polecić wszystko, co tylko zechce.

Po wypiciu pół butelki ajerkoniaku zrobiło mi się lepiej, ale tylko na chwilę. Zwymiotowałam na deski i zasnęłam na pomoście. Kiedy po raz pierwszy się obudziłam, nadal panował zmrok. Było mi bardzo zimno i bardzo niedobrze, powlekłam się do domku i próbowałam ponownie zasnąć, ale miałam na sobie wilgotne ciuchy, drżałam z zimna i płaczu; zasnęłam dopiero gdy w trzcinach budziły się ptaki i znów nad Lac Qui Parle rozpoczął się koncert ćwierków, gwizdów, kwęków i gruchania. I ani śladu *morí*.

Przez całą noc byłam gotowa dać się zabić swojemu islandzkiemu prześladowcy, ale w tej chwili najważniejsze były dla mnie kanapka z tuńczykiem i przeciwsłoneczne Ray-Bany. Gęsi wiosłowały wokół pomostu i głośno skarżyły się na moją obecność. Kiedy zaczęło mi burczeć w brzuchu, poczułam, że mam wszystkiego dość. Ponieważ nie mogłam wrócić do Sacred Heart i Gary'ego, chciałam pojechać piętnaście mil polnymi szosami do Madison, gdzie były sklepy i mały oddział banku. Stamtąd jeszcze piętnaście mil do Dakoty Południowej. Jazda mogłaby mi pomóc odzyskać jasność umysłu, by zdecydować, gdzie i w jaki sposób dalej żyć.

Gdy brodziłam w stronę brzegu, gęsi, manifestując niezadowolenie, zarządziły odwrót w głąb jeziora. Dziwiłam się, że mogę być dla nich powodem aż takiej złości, zanim zrozumiałam, że naruszyłam ich strefę bezpieczeństwa. Z pomostu miały na oku całe jezioro i mogły szybko odlecieć, gdyby poczuły się zagrożone.

Będę musiała poszukać podobnego miejsca dla siebie.

6.

Kaldakinn obejmuje moją prawą łydkę i uśmiecha się, jak zawsze, gdy docieram do tego momentu opowieści. Nie bez racji jest dumny z tego, że udało mu się ostatecznie jednak okantować tego islandzkiego szamana skurwiela. Pocałowałam go. Usta ma szorstkie i suche jak kora sosny – jego

organizm prawie w ogóle nie magazynuje płynów, dlatego chrzęści przy każdym ruchu, jeśli przedtem nie wylegiwał się całymi dniami w wodzie. Wciąż nad tym pracujemy. Z każdym zastrzykiem specyfików do balsamowania ścięgna się rozciągają; kiedyś będzie znów mógł poruszać się bezszelestnie, bez tego ciągłego nawadniania i doprowadzania innych do szału swoim rzężeniem.

Jego genialny trik w skrócie: B brnie do brzegu, K czai się w wodzie, K topi B i kończy tym samym swoją służbę na stanowisku mordercy całej rodziny, K wyciąga nieżywą B na ląd i zaklina ją, K zwalcza powstałą podczas bitwy B – ledwo co, bo siły B przyrastają w oszałamiającym tempie – i nakazuje jej go kochać. Rezultat: zlecenie od K otrzymuje B, zleconą B miłość otrzymuje K, wzajemny zaklęty krąg dwojga *morí*, bez dalszych krzywd, pan i pani Torf, dom na prerii, Wielka Równina, USA. Najkrótsza wersja: chłopak ma po dziurki w nosie tych wszystkie morderstw i samotności, chce dalej żyć ze swoją ukochaną. I mu się to udaje.

Kaldakinn szarpie mnie za kostkę, chciałby, żebym opowiadała dalej.

Ale widzę przed sobą Gary'ego, jak stoi z założonymi rękami i wlepia wzrok w ciemność przed sobą, w miejsce, w którym Kaldakinn i ja późną jesienią tego roku leżymy na polach i gdzie niebo za kilka minut otworzy się na pierwszy śnieg. Jest zupełnie bezwietrznie, po raz pierwszy od wielu dni. Oczywiście szczeka kundel Tyffelsa. Przed chwilą przez okno gapiłam się na stojące w ramce na kominku zdjęcie młodej kobiety, którą byłam w poprzednim życiu. Zobaczyłam leżące na sofie wydruki centralnego biura ds. zaginionych w Deer Valley, bieliznę, puszki po piwie.

W kuchni dziennikarze KFAN paplają o pojedynku hokejowym w NHL, słyszę głos Gary'ego i trzaskanie szuflad na piętrze, prawdopodobnie z komórką przy uchu rozmawia ze swoją siostrą – zawsze często do siebie dzwonili. Zrozumiałam, że moje zniknięcie zdruzgotało Gary'ego i że sporym

wysiłkiem oraz sporą ilością piwa walczył o to, by utrzymać swój świat w jednym kawałku. Będę musiała mu pomóc, najlepiej za pomocą odręcznie napisanego listu do szeryfa Nollena, do którego dołączę dokumenty i prawo jazdy. Otóż żyję teraz pod innym nazwiskiem i w innym mieście, na dowód zdjęcie z gazety. Postscriptum dla Gary'ego Olsena, zamieszkałego przy Harrison Avenue dwadzieścia trzy: „Sorry, nie szukaj mnie, kasa jest twoja, nigdy nie zwalniaj, *space junk* pozdrawia z orbity".

Kładę broszkę z bursztynem na parapecie, wypolerowałam ją mchem, Gary ją zauważy, gdy słońce zagra na niej promieniami. Wychodzę z powrotem na ścierniska, gdzie Kaldakinn, leżąc na plecach, czeka na śnieg. Gary na tyłach domu, sylwetka w ramie futryny, pali niezgrabnie i nerwowo, wyrzuca jeszcze żarzącą się cygaretkę w stronę zbiornika z gazem, sypią się skry, krzyżuje ręce na piersi, patrzy w naszą stronę, niczego nie widzi. Zaczyna prószyć i sypać, potem śnieg pada już wielkimi płatami i roztapia się na liściach kukurydzy, które wiatr zebrał w bruzdach pól. Gary zamyka drzwi, w domu gaśnie światło, owczarek Tyffelsa milknie. Bye, bye, Sacred Heart.

Kaldakinn warczy mi w brzuch. Pierwsze promienie słońca sprawiają, że szron na jego skórze lśni tak, jakby twarz miał utkaną z maleńkich rubinów. Później zamienią się w brylanty, gołoledź i parę.

Tyle się dzieje wokół nas, kiedy tak siedzimy, że prawie nie chce się mówić.

Ale Kaldakinn lubi, żeby mu opowiedzieć całą historię, więc opowiadam dalej, a nad prerią zbierają się chmury w dwóch ospałych stadkach – białe i puszyste, a pod nimi płaskie i ciemne.

Przełożyła Inez Okulska

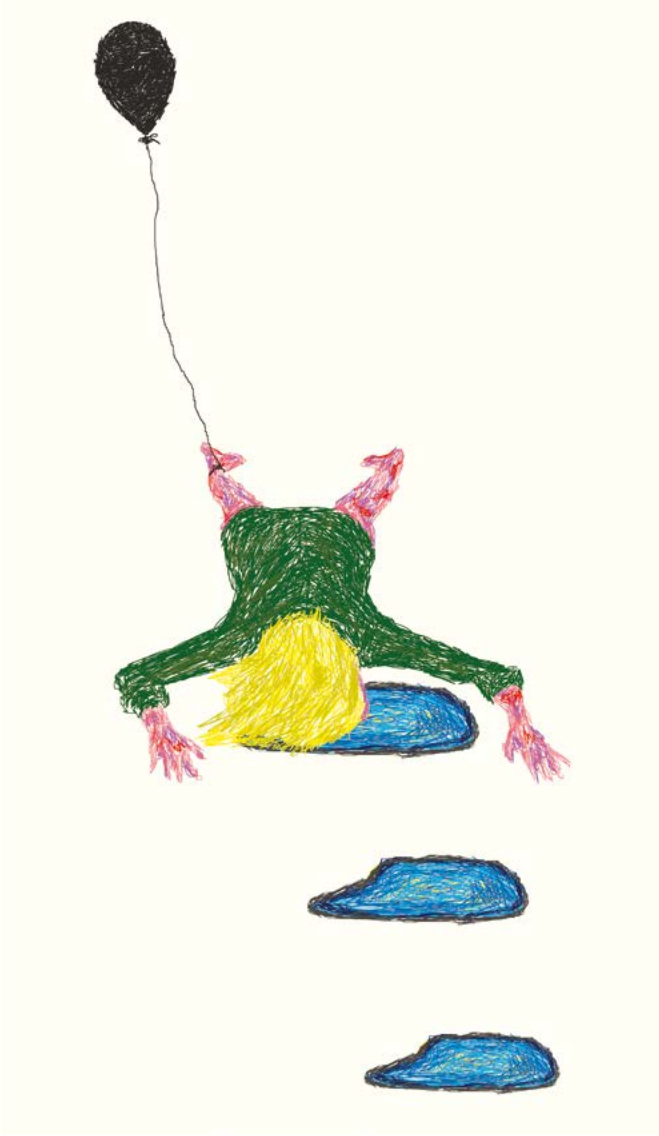

KRISTÍN EIRÍKSDÓTTIR

Ziemia

Na szafce nocnej znajdują się sterta książek, wysmarowana szklanka, kolorowe pisma, pusta puszka po coli i jarzący się kamień solny. Kolla leży na plecach z kołdrą naciągniętą pod brodę. Ma otwarte oczy. Jest dwunasta w południe i Kolla już od dawna nie śpi.

Myśli o swojej przyjaciółce Ásie, którą odwiedziła poprzedniego wieczora. Ása mieszka z chłopakiem, ale on wyjechał do letniego domku za miastem, dlatego chciała wykorzystać okazję i poimprezować jak za dawnych czasów.

Kolla przyszła do niej o dziesiątej ze zgrzewką piwa i Ása natychmiast się upiła. Miała na sobie bardzo obcisłe żółte spodnie, których szew wpijał się w krok. Włosy były potargane na wszystkie strony. Trochę umiaru z tą fryzurą, powiedziała Kolla, chyba że zamierzasz wystąpić w chórkach na Eurowizji? Był to dowcip, ale Ásie nie wydał się zabawny. Jesteś dla mnie okropna, powiedziała płaczliwym głosem.

W salonie siedziały Tanja i Eik, które Kolla poznała przez Ásę, ale właściwie wcale ich nie znała. Czym prędzej otworzyła piwo i wydudliła je ciepłe; zgrzewkę wstawiła do zamrażarki, po czym przywitała się z dziewczynami. Obie były bardzo szczupłe i urocze. Studiowały aktorstwo albo taniec, albo coś w ten deseń.

Krótko po tym, jak Kolla zasiadła naprzeciwko nich w salonie, Ása podkręciła muzykę, a Eik szepnęła coś do Tanji. Zaśmiały się obie i Kolli wydawało się, że w związku z nią. Coś o jej ubraniach albo pryszczach na czole albo po prostu o jej minie.

Na ścianie wisiała półka, na której stały zdjęcia w kolorowych ramkach i plastikowe figurki muminków. Na zdjęciach widać było Ásę z jej chłopakiem. Pozowali szczęśliwi – Ása w bikini i z ustami w dzióbek, jej chłopak z napiętymi dla żartu muskułami.

Znały się od podstawówki, nazywały się najlepszymi przyjaciółkami, mówiły sobie wszystko, a mimo to wcale się nie znały. Kolla patrzyła na zdjęcia, potem spojrzała na Ásę, która chodziła po salonie w sposób sugerujący skrępowanie i czasami pokrzykiwała „łu-hu!” w rytm muzyki.

I tak znam cię lepiej niż ty siebie, pomyślała Kolla. Wiem o tobie w każdym razie różne rzeczy, których sama nawet nie podejrzewasz. Jesteś okropna dla przyjaciół, masz nierealistyczne wymagania w stosunku do innych, spodnie wpijające się w krocze nie wyglądają seksownie tylko zdzirowato, a twoje kokieteryjne gesty są najczęściej nie na miejscu i zawsze wulgarne…

Chciała iść do domu, ale czuła, że nie jest w stanie tego zrobić. Jeżeli natychmiast by wstała, zabrała piwo i się pożegnała, wyglądałoby na to, że jest dziwaczką albo robi sceny. Teraz po prostu musi być fajnie.

Ása żyła tym spotkaniem przez cały tydzień. Sobotni wieczór, kiedy jej chłopak wyjedzie i będą miały dziewczyński wieczór, jak dawniej. Kolla nie wiedziała do końca, co Ása miała na myśli, ale zawsze tak było z ich wspólnymi wspomnieniami. Nie postrzegały świata w ten sam sposób i dlatego pamiętały go inaczej.

Dziewczyński wieczór jak wtedy, kiedy zrobiłaś taksówkarzowi laskę za kurs, a potem poprosiłaś, żebym z tobą pojechała na ostry dyżur dla ofiar przemocy seksualnej, ale nie chciałaś wnieść oskarżenia? Dziewczyński wieczór jak wtedy, kiedy prawie zamarzłam na dworze, bo nie odważyłam się obudzić mamy? Dziewczyński wieczór jak wtedy, kiedy pobito mnie na imprezie w Garðabær czy dziewczyński wieczór, kiedy włamałyśmy się do twojej babci, żeby zwędzić likier?

Tego Ása zupełnie nie pamięta. Pamięta tylko sam blichtr, landrynki w truskawkowym soku z samogonem, rundę po centrum miasta z kolesiami z zespołu i to, jakie na parkiecie

były z nich obłędne laski. Gdzie ona pamięta odjazd, Kolla pamięta ohydę.

Konturówka jest znowu w modzie, powiedziała Tanja, na co Eik odparła: Ciemnobrązowa i bez szminki, do tego naszyjnik-choker i krótkie spodenki, i białe skarpetki, i masywne obcasy, i męskie podkoszulki, i malusieńkie plecaczki. Jak nastolatki w latach dziewięćdziesiątych, pamiętacie, jakie nam się wydawały szałowe?

I kwieciste wzory! zawyła Ása i zaczęła przeglądać komórkę, żeby znaleźć jakiś blog o modzie na Instagramie.

Z kwiecistymi wzorami mimo wszystko trochę trudno się pracuje, powiedziała oschle Eik. Dużo fajniejsze wydaje mi się przeniesienie stylu lat dziewięćdziesiątych w stronę gotów albo grunge'u.

Nie do wiary, jak moda zatacza koło, powiedziała Kolla z ironią, której nikt nie wychwycił. Kolla zachowywała się w ten sposób, gdy czuła się niepewnie, a Ása była przyzwyczajona, żeby w podobnych sytuacjach – ją ratować. Odpowiedziałaby czymś jeszcze gorszym albo wręcz zmieniła kompletnie temat: Jaka to niesamowita różnica, kiedy się wyjedzie za miasto w weekend, powiedziałaby na przykład, a wtedy Kolla mogłaby zripostować: Igły lekarskie? Na Boga, tu mieszkają dzieci!

Ale Ása tkwiła we własnym świecie i Tanja zaczęła mówić o tym, jak to moda hipisów powróciła w latach dziewięćdziesiątych i dlatego teraz znowu trochę wraca. Ása przeniosła się do kuchni i Kolla do niej dołączyła.

Zastanawiam się, czy by nie pójść do domu, powiedziała. Ása natychmiast się odwróciła, spojrzała na nią rozeźlona i zaczęła poruszać ustami. W końcu nic nie powiedziawszy, zabrała się ponownie za wyciskanie limonki do rumu.

Jak chcesz, oświadczyła na zakończenie. Kolla wyciągnęła sobie kolejne piwo z zamrażarki, poczuła, że się wystarczająco schłodziło i przeniosła zgrzewkę do lodówki. Postała przez chwilę niezdecydowana w kuchni, patrząc na kark

Ásy, po czym wróciła do salonu, ukradkiem przyciszyła trochę muzykę i usiadła obok dziewczyn.

Nie studiujesz? zapytała Eik, a Kolla pokręciła głową. Pracuję, powiedziała i dostrzegła, jak z oczu Eik zniknęło zainteresowanie. Jestem autorem widmo, dodała, a Eik zmarszczyła grube, pomalowane na ciemno brwi.

Co to właściwie jest? zapytała i Kolla wyjaśniła, że pisze biografię dla miss piękności. Pod jej nazwiskiem, dodała. Ale nikomu ani słowa.

Której miss?

Diany Þormóðs.

Nic mi to nie mówi.

Była miss Islandii w 1994 roku, ale zaraz straciła tytuł.

Dlaczego?

Zamordowała noworodka.

Co?

Co?

Tak, potrząsnęła nim, dzieckiem swojej przyjaciółki. Zmarło na tak zwany „zespół dziecka potrząsanego”.

Kłamiesz.

Nie.

Wiedziałybyśmy, jeżeli coś takiego miałoby miejsce.

Dlaczego tak sądzicie?

Po prostu… o takich rzeczach się słyszy.

Ale nie o tym. I dlatego piszę jej biografię. Pod jej nazwiskiem.

I co, spotkałaś się z nią, rozmawiałyście?

Tak, siedzi teraz w Berlinie i latem spędziłam u niej miesiąc. Jest bardzo zabawna, mieszka w czymś w rodzaju chatki, w jakiejś anarchistycznej komunie, chodzi z przepaską na oku, chociaż z jej wzrokiem jest wszystko w porządku. Żywi się śmieciami – nie weźmie nic do ust, jeżeli przynajmniej raz nie zostało wyrzucone.

Okej.

Ale wy studiujecie, tak? zapytała Kolla.

Na Akademii Sztuki, powiedziała Tanja. Ja studiuję projektowanie, a Eik aktorstwo. Jesteśmy obie na trzecim roku.

Świetnie, powiedziała Kolla i się uśmiechnęła. Musiała iść do ubikacji.

Ása niedawno zrobiła kompletny remont łazienki. Zniknęły brązowe kafelki i drewniane wyposażenie, a w ich miejsce pojawiły się epoksydowa podłoga i pomalowane na biało ściany. Nad umywalką wisiała szafka, z której łuszczyła się farba. Kolla od razu zauważyła, że szafka była zupełnie nowa, ale przerobiono ją tak, żeby wyglądała na starą.

Właściwie większość przedmiotów domowych Ásy została potraktowana w podobny sposób – były zupełnie nowe, ale miały sprawiać wrażenie starych. Na ścianie wisiały reprodukcje plakatów reklamujących paryski kabaret z 1920 roku. Kolla siedziała na ubikacji i robiła siku, gdy rozległo się walenie do drzwi. Ása coś krzyknęła, po czym otworzyła drzwi, które nie były zamknięte na zamek.

Co? – zapytała ze zdziwieniem Kolla i Ása nawrzeszczała na nią za to, że nabrała jej przyjaciółki.

Ja tylko żartowałam, próbowała wyjaśnić Kolla i wstrzymała płynący strumień.

Od jakiegoś czasu jesteś bardzo dziwna, powiedziała Ása, jakbyś myślała, że kimś niby jesteś, a potem po prostu wygadujesz bzdury. Jak jakiś chłopak na pierwszym roku filozofii!

Oczy Kolli wypełniły się natychmiast łzami, które zaczęły spływać po policzkach, a do ubikacji znowu popłynął strumień moczu. Ása wypadła z łazienki i Kolla została sama ze sobą, słyszała dobiegający z salonu gwar i muzykę, którą Ása podkręciła, dorzucając swoje łu-hu.

O czwartej po południu nadal leży w łóżku, w tej samej pozycji. Hannes, wielki rudy kot, który jej towarzyszy, odkąd była nastolatką, wskakuje na pościel, przechodzi po jej brzuchu, wącha twarz, mruczy i robi parę kółek, zanim się wygodnie umości. Patrzy jej prosto w oczy, przymyka ślepia i Kolla ma ochotę go pogłaskać, ale nie jest w stanie ruszyć ręką.

Telefon dzwonił cztery razy i za każdym razem zamierzała odebrać, ale ciało odmawiało posłuszeństwa. Palce drgają nieznacznie i to by było na tyle. Dawno już przestała myśleć o wczorajszym wieczorze. Teraz przeniosła się znowu do roku 2001, kiedy miała trzynaście lat i dopiero co poznała Ásę.

Były razem w letnim hufcu pracy i musiały codziennie rano jeździć autobusem z Reykjavíku aż do Rauðavatn, gdzie trzeba było przenosić kamienie i układać płaty trawnika. Opiekun grupy nazywał się Sveinar, miał koło trzydziestki. Był energiczny i przystojny. Początkowo przypadł im całkiem do gustu, ale po paru dniach uwidoczniły się pęknięcia w jego charakterze – to, co wydawało się być czarującym zapałem i entuzjazmem, powoli stawało się przesadne i krępujące. Wybuchał złością bez powodu, po czym zadawał im prace, które zdaniem Kolli nie miały nic wspólnego z jego zakresem obowiązków.

Pewnego poranka kazał wszystkim usiąść wokół stołu w szopie z narzędziami, gdzie przygotował czyste kartki i ołówki. Opowiedział im, że kiedyś przeszedł przez cały interior Islandii tylko po to, by przekazać swojej mamie, jak bardzo ją kocha. Kolla zachichotała. Spojrzał na nią wtedy siny ze wściekłości i powiedział, że to ona ponosi winę za rozwód swoich rodziców.

Skąd wiesz, że są rozwiedzeni? – wyjąkała Kolla, na co on odparował, że widać po niej na kilometr, iż jest dzieckiem z rozbitej rodziny.

Powód, dla którego dzielę się z wami tą historią, kontynuował, mając na myśli swoją opowieść o przejściu przez góry, jest taki, że życie należy traktować poważnie – każda chwila jest wyjątkowo cenna i dlatego ważne, by wiedzieć, czego się pragnie. Następnie opowiedział im o mężczyźnie, który spisał swoje marzenia na karteczce i przechowywał ją w zamkniętej szufladzie. Dziesięć lat później wszystkie marzenia z listy się spełniły.

Macie dziesięć minut, żeby zapisać sto marzeń, które chcielibyście, żeby się spełniły przez następne dziesięć lat, zarządził, po czym wyszedł z szopy, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Sto! wykrzyknął ktoś rozpaczliwie. Kolla zerwała się natychmiast na nogi, żeby sprawdzić, czy faktycznie byli zamknięci na klucz. Zaczęła siłować się z klamką i łzy napłynęły jej do oczu.

Myślę, że zamykanie ludzi w środku jest zabronione, oświadczyła Ása i zaczęły razem sprawdzać okna, ale doszły do wniosku, że przez żadne nie da się przecisnąć.

Po chwili usłyszały głos Sveinara wołającego do nich z zewnątrz: jeżeli nie skończycie listy za dziesięć minut, dostaniecie kolejne dziesięć!

Napiszmy i tyle, powiedział jeden chłopak. Wszyscy oprócz niej i Ásy zaczęli układać listę prezentów, które pragnęli dostać z okazji bierzmowania. Komórkę, komputer, konia, gitarę elektryczną, wzmacniacz, łóżko księżniczki…

Nie zamierzam pisać tej listy, powiedziała Kolla, a na jej twarzy pojawiły się czerwone plamy.

Ja też nie, zawtórowała Ása. Usiadły na podłodze w szopie i przez chwilę nikt nic nie mówił. Z zewnątrz docierało czasami radosne pogwizdywanie Sveinara i za każdym razem Kollę ogarniał coraz większy strach.

Mamy tylko dwadzieścia rzeczy i nic więcej nie przychodzi mi do głowy, narzekał jeden chłopiec, na co ktoś poradził mu, żeby dodał po prostu jakieś bzdury.

Od czasu do czasu z kuchni dobiega miauczenie kota. Jego miska jest pusta i chociaż Kolla bardzo chciałaby dać mu jeść, nie może się ruszyć. Na zewnątrz zrobiło się ciemno i udało się jej raz podnieść. Usiadła wtedy wyprostowana na kilka sekund, zanim ponownie runęła na łóżko. Kończyny są zupełnie bezwładne.

Kolla myśli o chłopaku, z którym kiedyś była. Miała wtedy piętnaście lat, a on osiemnaście. Poznali się w Internecie i potem spotkali w mieście. Przyszedł ze swoimi znajomymi, a ona sama. Całowali się, wymienili numerami telefonu i już następnego dnia leżała w łóżku u niego w domu. Miał ciemnobrązowe oczy i mysiego koloru włosy spięte w kucyk, który rozpuszczał. Kiedy jego twarz była tuż przy jej twarzy, znikał. Wszędzie w pokoju walały się kable, przewody, urządzenia elektroniczne i części do samochodów. Myślała o mokrej tekturze i czarnych pojemnikach na śmieci w deszczu, o zapachu w sklepach z artykułami żelaznymi i o tym, że gdy głaskał jej koronkową bieliznę, dźwięk przypominał drapanie. Pracował w warsztacie samochodowym.

Wychował się w odciętej od świata wsi.

Czasami wyłączał wszystkie światła i kazał jej milczeć.

Zerżnął jej najlepszą przyjaciółkę.

Zerżnął najlepszą przyjaciółkę jej najlepszej przyjaciółki.

Najlepszą przyjaciółkę najlepszej przyjaciółki jej najlepszej przyjaciółki.

Wyrżnął dziury w mocnej materii. Tyle dziur, że wszystko się rozpadło. Kolla dostała zakażenia macicy i miała koszmarne bóle, o których nikomu nie mówiła, dopóki nie mogła już się ruszyć z łóżka.

Mama pojechała z nią do szpitala, gdzie dostała dożylnie morfinę i antybiotyki. Okazało się, że macica Kolli wyglądała jak rekin.

Wszystkie takie są, powiedział specjalista od endoskopii.

Udaje się jej dosięgnąć telefon i widzi, że Ása dzwoniła parę razy. Jest wieczór. Myśli o kąpieli, o zanurzeniu się w bardzo gorącej wodzie. Telefon dzwoni w dłoni. Nie pamięta, jak się go odbiera.

Tak samo czuła się wczoraj. Budziła się jak twardniejący w formie gips. Chciała iść na przyjęcie urodzinowe bratanka i potem pomóc matce porządkować piwnicę. Później była wieczorna impreza u Ásy.

Nie poszła na urodziny, ponieważ jej bielizna była pełna ziemi. Wczoraj udało się jej ruszyć po ósmej wieczorem, wzięła kąpiel, leżała w wodzie i czuła, że tonie, chciała tonąć. Wsunęła głowę pod taflę wody i próbowała trzymać ją bez ruchu, ale wyskakiwała wciąż jak jakiś balon. Dżinsy ciągnęły skórę na wieki wieków, bawełniany podkoszulek, wieki wieków, bluzka, wieczność, płaszcz na wieki wieków. W drodze na imprezę usiłowała pobudzić mięśnie twarzy, napiąć szczękę, przećwiczyć maskę.

Trochę umiaru z tą fryzurą, chyba że zamierzasz śpiewać w chórkach na Eurowizji? – powiedziała do Ásy, która nie widziała w tym nic zabawnego. Kolla chciała po prostu być zabawna. Jej problemem są inni ludzie. Inni ludzie to albo masa, do której nie potrafi dotrzeć, albo natrętna potrzeba. Ludzie potrzebują, żądają, proszą, a ona daje, troszczy się i podporządkowuje, ale nigdy nie jest jej dane wśliznąć się do środka, być wśród nich. Inni ludzie to serial, który pochłania, ale i tak siedzi zawsze sama w ciemności, downloaduje, downloaduje. Opycha się cukrem i solą, i tłuszczem; i pochłania migające światła z ciemności. Kończy z tym.

Kończę z tym, myśli i przestaje myśleć. Materac pod nią wypełnia się wodą. Słońce wschodzi, ona zasypia, słońce zachodzi, ona się budzi, słońce wschodzi, ona zasypia, zachodzi, budzi się, wschodzi, zasypia, zachodzi, budzi się, wscho, za, za, bu, w, z, z, b.

Jej mama energicznie wkracza do poczekalni, w dłoni trzyma telefon, twarz wykrzywia niezadowolenie. Mówią, że trzeba trochę poczekać, przekazuje, siadając obok Kolli, która ma mokre, potargane włosy i jest zawinięta w koc. Zanim wyruszyły z domu na oddział psychiatryczny, mama zmusiła ją, żeby poszła pod prysznic. Pościel włożyła do pralki, zaciągnęła zasłony, na przemian wzdychając i pochlipując.

Naprzeciwko nich siedzi mężczyzna koło czterdziestki. Wygląda schludnie w kraciastej koszuli i w spodniach zaprasowanych w kant. Nikt z nim nie czeka. Na jego twarzy maluje się napięcie, ma przymknięte oczy i kołysze głową na boki. Słychać, jak nuci cichutko, jakby sam próbował się uspokoić.

Po południu wszyscy poza Kollą oddali swoje kartki z setką marzeń. Została sama w szopie, a Ása rozmawiała z nią przez drzwi. Powiedziała jej, żeby na kartce napisała cokolwiek, nie ma znaczenia co. Potem usłyszała głos zbliżającego się Sveinara i wyjrzała przez okno, nie widziała, co się działo na zewnątrz, ale kilka osób stało niedaleko i patrzyło z przerażeniem na coś, co przez cienką ścianę brzmiało jak bójka.

Ása wrzasnęła, że musi napisać coś na kartce, żeby mogli stamtąd wyjechać, głos załamał się i słychać było łomot, kiedy coś uderzyło o szopę.

Pierwsza rzecz, która mi przyjdzie do głowy, postanowiła Kolla. Sto razy, pierwsza rzecz, która mi przyjdzie do głowy.

Usiadła przy stole i gryzmoliła z wściekłości podczas liczenia:

Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia
Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia Ziemia

Zaczęła walić w drzwi od środka, krzycząc, że już skończyła tę cholerną listę. Minęło parę minut, zanim Sveinar ostrożnie otworzył, przyjrzał się mokrej od łez twarzy Kolli i wyciągnął z jej dłoni kartkę. Potem usunął się na bok, żeby mogła przejść. Miała zamiar podbiec do reszty dzieciaków, ale chwycił ją za łokieć.

Sprawiał wrażenie zupełnie opanowanego, milczał, kiedy obrócił ją ku ziemi, usiadł na niej rozkrokiem i wziął garść wilgotnej ziemi, którą rozsmarował na twarzy Kolli. Dziurki w nosie zapchały się i otworzyła buzię, straciła oddech i wszystko wypełniło się ziemią.

Zaraz będzie nasza kolej, kochanie, mówi mama Kolli i siada ciężko obok niej, przełożyłam przyjęcie, więc… Milknie i zamierza dotknąć córkę, ale ona bierze gwałtowny wdech i matka cofa się odruchowo.

Mogę pójść z tobą? Chcę ci tylko pomóc. Dlaczego taka jesteś? Wiem, że jesteś chora ... ale jeszcze raz, Kolla. Czego ci właściwie potrzeba? Czy to przez twojego tatę? Co się właściwie stało? … Po prostu nic nie rozumiem. Odpowiedz mi, Kolla. Słyszysz mnie? Kolla?

Kolla nie słyszy głosu mamy. Siedzący naprzeciwko nich mężczyzna nagle wraca do siebie. Mięśnie na jego twarzy rozluźniają się i wpatruje się w twarz Kolli.

Trafić do właściwej instytucji, mówi, to jak nie zjechać z drogi, kiedy przed samochód wyskoczy lis.

Przełożyła Olga Hołownia

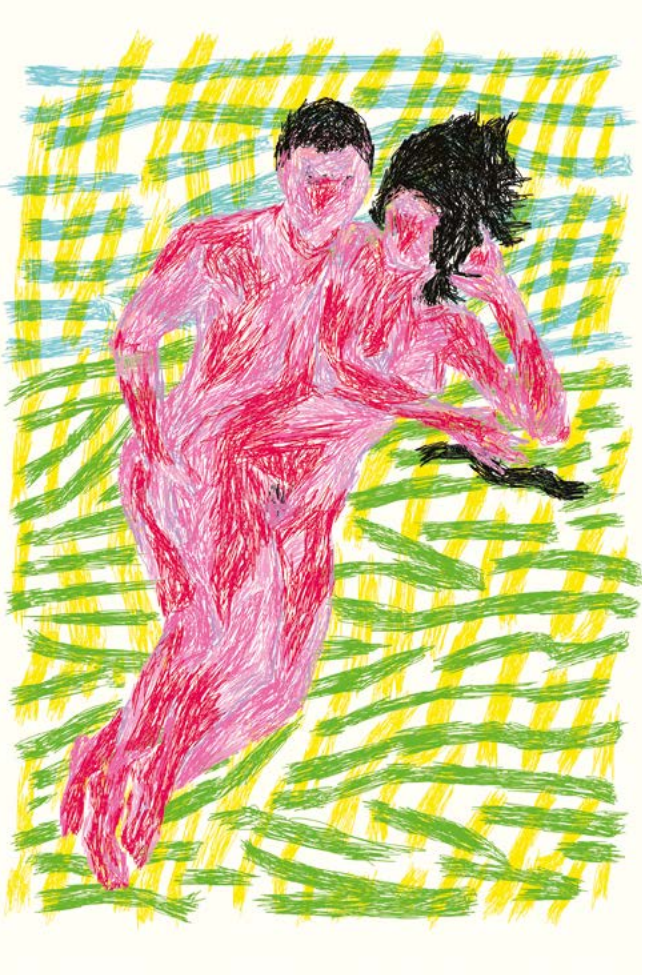

INGA IWASIÓW

Resztki

Pomyślała tak o tym nad ranem, przekręcając się ostrożnie na prawy bok, czyli w jego stronę, chcąc uniknąć automatycznego gestu, którym ją zagarniał, jeśli pozwoliła mu zostać. Pierwszej nocy budzili się nawzajem, wpadali na siebie, nie odróżniając miłości od odpoczynku, podejmowali przerwany wątek, śmiałością tonując zakłopotanie. Zapalali i gasili nocną lampkę, kabel od której stukał o wezgłowie albo gubił się za nim. On gasił, prawdę mówiąc, ona zapalała, żeby mógł patrzeć. Pierwszej nocy jedno przechodziło w drugie, ale rano, jeszcze w ciemnościach, poprosiła go, żeby poszedł, bo musiała się spróbować przespać i była wystraszona stanem pobojowiska. Pościel zmieniła wieczorem, nie wypadało zapraszać go na prześcieradło upstrzone wspólnymi śladami, a chciała zaprosić, zanim wyszedł. Zadzwoniła szybciej, niż on zdążył pomyśleć, zmiękczając głos do nieznanego samej sobie wcześniej poziomu. Ciepły budyń waniliowy polany sokiem malinowym, pomyślała o tej nowej tonacji, przedszkolny deser.

– Mógłbyś przyjechać? Zaraz? – I był zaraz, zanim odpowiedziała na maile, odrobiła codzienne zadania, wzięła kąpiel, zrozumiała własne decyzje. Rósł stosik spraw niezałatwionych.

Potem pozwalała mu zostać na noc co drugi raz. Zrozumiał szybko tę arytmetykę, więc nie nalegał w wieczory nieuchronnej odmowy. Wstawał koło północy, po wypowiedzeniu litanii nierozsądnych, chaotycznych, niewyraźnych deklaracji, zbierał swoje rzeczy rozrzucone po pokoju i prosił o kawę.

– Kawa o tej porze? – dziwiła się za każdym razem, zabraniając sobie wchodzenia w rolę troskliwej żony, bo co ją mogło obchodzić jego serce w sensie pompy ssąco-tłoczącej i w tym drugim, przenośnym, wyrysowane czerwoną kredką na infantylnej pocztówce walentynkowej? Jeśli dotrwają do walentynek. Już nie – myślała – już wystarczy, nie chcę się troszczyć. Kładła dłoń w miejscu, gdzie biło to

nieobchodzące ją serce, przyjmując w siebie jego nielękliwy rytm, uderzający w nią pomiędzy uderzeniami penisa o szyjkę macicy. Równie mocno i zniewalająco.

Narzucała szlafrok, a po pewnym czasie po prostu dres albo rozciągniętą piżamę. Dopuszczała go w ten sposób do siebie, do swojej nonszalanckiej domowości, chcąc udowodnić, że jest jej bliski, chociaż nie wiedziała po co. W jakim celu stwarza tę iluzję, której on się na pewno chwyci – nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej. Krok po kroku, wieczór po wieczorze, szedł sam z sobą na ustępstwa, udowadniając gotowość zapłacenia każdej ceny, a ona dodawała kolejną, niemą obietnicę, odcinając mu drogę odwrotu.

Tej nocy po raz pierwszy nazwała tę ich grę żerowaniem na resztkach. Leżał na plecach, zwrócony lekko w jej stronę, gotowy wykonać rozczulający gest przygarnięcia, wtulenia, uważny i nawykowy, nieskorygowany snem, choć mogło mu się śnić coś innego, ktoś inny, jakieś miękkie ramiona, jakaś oswojona kobieta. Wchodziła w tę rolę, zapomnianą lub niepraktykowaną nigdy, chyba nigdy, miła kobietka na ramieniu miłego mężczyzny, zabawa w składanie scyzoryka.

Wyglądał nadal atrakcyjnie, wszystko w nim się jej podobało: krótko przycięte włosy, odporne na nacisk poduszki, usta, nierówne, przebarwione w paru miejscach, twarde przy pocałunkach (czy może od pocałunków) i zarazem gładkie, miękkie, nabrzmiewające razem z nią, z jej – mówił tak – ustami, bo używał uroczych eufemizmów, przyzwyczajany przez kilkadziesiąt lat do rycerskiej poetyckości przez kobiety, które musiał mocno kochać i o które musiał się starać, całkiem inaczej niż o nią. Goiło się na nim natychmiast – przynajmniej zadrapania, bo innych widocznych ran mu nie zrobiła.

– Odejdę. Jeśli mnie zdradzisz – mówił często, potem rzadziej. Wiedziała: nie odejdzie, kiedy go zdradzi.

Podobały jej się jego delikatne zmarszczki mimiczne, przypominające, że lubi mówić, śmiać się i dziwić, odgrywać scenki, stare dowcipy i odbyte w poprzednim dziesięcioleciu lub poprzedniego dnia dialogi. Jego silne ciało – nareszcie znalazła w nim sens powiedzenia „wytoczone z kamienia" – pokryte miękkimi, siwymi włosami, na udach trochę kłującymi, na podbrzuszu pachnącymi solą, ale i tak nie pozwalał jej twarzy przytulać tam, poniżej –przytulanie twarzy do linii żeber mężnie znosił, przyzwyczajała go powoli – więc kłującymi tylko jej własne uda i łydki, kiedy szukała na nim miejsca jak na konarze drzewa. Takie porównanie nasuwało się samo, chociaż nie była pewna, czy kiedykolwiek szukała miejsca na jakimś konarze. Może w dzieciństwie spędzonym na śródmiejskim podwórku, gdzie rosły, owszem, dorodne, poniemieckie drzewa, wojenni ocaleńcy. Teraz pokazywał jej drzewa, krzewy i ruiny, zabierając regularnie na spacery po drugiej stronie granicy, a ona udawała, że lubi brodzić w starych liściach, błocie, wilgotnej trawie i bardzo starała się nie uciekać i nie widzieć przebitek na inne lasy, na inne okoliczności. Wiosna wybuchła szybko, pierwszy spacer odbyli, brodząc w śniegu, drugi w odsłoniętych przez odwilż, starych liściach, trzeci zaskoczył ją wychodzącymi z poszycia żółtymi i fioletowymi kwiatkami. Romantyczne okoliczności. Oczy kłuły te nieśmiałe kolory i ich realność, niepodobna do realności bukietów kupowanych w kwiaciarniach.

Miała takie zdjęcie z pierwszym mężem, zrobione w nadmorskim lesie, na wrzosowisku. Nie wiedziała jeszcze wówczas, że wrzosowiska są żmijowiskami – nie kładłaby się między delikatne z wyglądu, lekko kłujące krzaczki i na pewno nie śmiałaby się tak głośno, co widać nawet po latach na wyblakłym papierze polaroida. Dobrze, że chociaż tyle zostało z pierwszego małżeństwa. Pudło z czarno-białymi zdjęciami, w tym z aktami robionymi po seksie, utrwalającymi widoczne na twarzy spełnienie

i niezasklepioną gotowość oddania się mężczyźnie trzymającemu aparat fotograficzny, zaginęło w drodze, nie wiadomo w którym miejscu. Może go wcale nie wysłała, może zostawiła w londyńskim mieszkaniu, kiedy zdecydowała o powrocie, o ucieczce pod prąd, ściślej mówiąc. Zostawiła go tam znów nieprzytomnego, pijanego od paru dni, niezupełnie świadomego jej odejścia, o którym mówiła od dawna, wyczerpana nocnymi rozmowami i wspólnym postanowieniem: że spróbują jeszcze raz przestać, że przecież on ma w końcu pracę, że jeśli ktoś powinien się załamać, to raczej właśnie ona, ale ona nie może więcej być załamana, więc prosi go, wesprze go… I może, nawet na pewno, zostałaby tam z nim bez względu na przyjęcie warunków, gdyby nie ten raz, kiedy wstał z łóżka, nie czekając nawet, aż jej ciało złapie równowagę, trochę wyschnie, aż wypłynie z niej jego jałowa sperma; wstał i poszedł do kuchni, wyjął z lodówki butelkę, nie starając się wytłumić towarzyszących temu dźwięków i pił łapczywie, bo radość spełnienia w niej, z nią była równie dobra jak każda klęska, zasługująca na duży haust wódki i mocne torsje po przekroczeniu drugiego promila. Dołączyła do niego, notując w drodze na ściennym kalendarzu „bilet", mając trochę nadziei na ostateczną utratę przytomności tej nocy, ale nie, przypadkom trzeba pomagać, zobaczyła rano to przesłanie do siebie i naprawdę kupiła bilet, a potem strasznie tęskniła, nie rozróżniając własnych uczuć, bo smak wódki i smak mężczyzny pomieszały się w niej tak bardzo, że przez pół roku prawie nic nie jadła, nie chcąc przeciążyć wypełnionego bólem żołądka.

Latami nie jeździła do lasu, wmawiając sobie brak czasu i miłość do miejskiej architektury. Pierwszy mąż był inżynierem leśnikiem, w Londynie czekali na wizę do Kanady. Kanada miała mu dać nieograniczone możliwości, do podziału między ich dwoje. Nie wiedziała, czy tam dotarł. Myślała czasem o nim na tle kanadyjskiej przyrody, zwłaszcza

gdy pojechała do Vancouver z drugim mężem, inżynierem krajobrazu, oglądać miejskie parki, akurat tam przechodzące w naturę, doczepione do dzielnic mieszkaniowych bez większego wysiłku. Drugi mąż był delikatny, higieniczny i dobrze zorganizowany. Zawsze dbał o jej wygodę, kochał się długo, skutecznie i radośnie, a potem postawił ultimatum dotyczące liczebności rodziny. Nie była pewna, czy smakuje jej w mężczyznach egoizm, czy zalążki życia. Więc też odeszła, z zupełnie innego powodu. Przysyłał kartki i zaprosił ją na FB do grona znajomych, co zaakceptowała, licząc na bieżący wgląd w jego dobre życie. Zdjęcia na tle cudów urbanistycznych, tę fascynację podzielała, z piękną kobietą obok, niepodobną do niej i na pewno nieskorą do szybkiego odejścia.

Odsunęła te ledwie powidoki, bo był przy niej. Pachniał w środku nocy i nad ranem czymś niedookreślonym, delikatnym, słodko-gorzkim. Nie wydzielał żadnego płynu lub zapachu, którego nie chciałaby poczuć czy posmakować. Po paru godzinach snu jego ślina była nadal smaczna, przydymiona odległym trawieniem, a pot ledwie wyczuwalny węchem, nawilżający lekko miejscami szorstki naskórek, bo nie używał żadnych kremów. Pielęgnował się po męsku: powietrzem, wodą i mydłem. Wdychała go mocno, przyciskając twarz prawie wszędzie – jeszcze nie miała odwagi zrobić wszystkiego, dała mu pierwszeństwo, grzecznie czekając na odczarowanie kolejnej strefy. Odpływała, dławiła się i usypiała, wpadała w hiperwentylację i kwiliła; płakała ze szczęścia.

Dość szybko odkryła: miał jej smak, ale lepszy. Lubiła własny, słono-słodki podtekst, zlizywała siebie z palców, wąchała pachy, rozbierając się przed lustrem. Rzadko bywała ostrzejsza, raz w miesiącu metaliczna, zwykle prawie bezwonna, leciutko doprawiona. Potrzebowała przynajmniej dwudziestu czterech godzin, żeby wyjść spod perfum, przebić sobą ulubione wonie, ustawione ciasno

na łazienkowym blacie. On był nią, bez niczego pośredniego. Początkowo sądziła, że to kwestia pomieszania, przechodzenia potu z jego pleców na jej dłonie, z jej brzucha na jego tors. Sądziła, że pachną mieszanką siebie, utartą między skórami. Potem, kiedy zaczął przyjmować pieszczoty spokojniej, odkryła, że sam w sobie ma ten znajomy smak, smak samotnych, przerywanych orgazmem nocy.

Pochodzili z tego samego kwartału miasta. Opowiedział jej o tym, zanim poszli pierwszy raz do łóżka, a właściwie zanim nie dała mu odwrotu i zrezygnował z zaplanowanego adorowania jej, przekonywania i marzeń. Ryzykowała co nieco, mógł rano uciec, mógł po tygodniu odejść. Rozczarowany wymazanym etapem zdobywania, zawsze przez siebie rozpisywanym starannie na gesty, spacery, obiady, aluzje, bukiety kwiatów i upominki. Nie miała zamiaru przyjmować niczego poza godzinami w łóżku. Zanim tam trafili i związała go mocno, nie używając do tego nic więcej prócz śliny, żadnych pomocniczych materiałów, odkryli swoje pochodzenie z tej samej, śródmiejskiej, zaniedbanej dzielnicy, której był fotografem.

Chodzili przejściowo do tej samej szkoły, robili zakupy w tym samym sklepie, być może przechodzili przez te same bramy-przelotki, skracając sobie drogę. Ona w dzień, wieczorem mijanie śmierdzących moczem bram, piwnic, kątów za garażami zapowiadało kłopoty. Można tam było wejść w coś cuchnącego, spotkać kogoś nieprzyjemnego. Nieraz biegła przez jakąś bramę ogarnięta paniką, sprawdzając tę zasadę, że kobiety powinny się trzymać utartych traktów. On chodził tamtędy także w nocy, wyobrażała sobie te rajdy. Musiał być wówczas podobny do jednego z jej chłopięcych kochanków, chłopaka z klasy, silnego, odpornego na zimno, inteligentnego i krnąbrnego. Z tamtym, zapominanym na całe lata, spotykali się czasem i kochali szybko, powtarzając młodzieńczy rytuał seksu w pustym tylko przez godzinę mieszkaniu, do którego w każdej chwili

mogli wrócić domownicy. Był blondynem, ale po latach mógł także posiwieć, jak on, więc gdyby stanęli blisko siebie, zdradzałby ich co najwyżej zapach, albo i nie. W młodości mężczyźni pachną testosteronem, od pewnego momentu wszystko zależy od trybu życia. Tamten dużo palił, jego skóra miała więc zgniło-ziemny smak, nieobecny w tonacji tego. W każdym razie chodziło o gatunek miejskiego samca, przemieszczającego się swobodnie po swoim żerowisku, nieruszanego przez innych, mocnego w pięści i gębie, podkładającego dziewczynom kurtkę pod pośladki na murkach przed domem, nad jeziorami, na miejskich plażach, na trawnikach w parkach, na łąkach. Zawsze po to, by dziewczyny poczuły troskę i uległy, pozwoliły sobie zdjąć majtki, albo chociaż poopowiadać bajki.

Dobrze, byli z tej dzielnicy, po której ona raczej chodziła szybko, rozglądając się na boki, podczas gdy on stał, w której chciał bramie, jeśli akurat nie robił zakupów, nie wypełniał harmonogramu zadań wypisanych przez matkę na karteczce, nie szedł ubrany odświętnie do kościoła. Tego samego kościoła, do którego ona prawie nigdy nie chodziła, ponieważ od dziecka nie była w stanie uwierzyć, a już na pewno nie w Boga. Czasem, z przyjaciółką mieszkającą piętro niżej, przynosiły kwiaty Maryi tulącej Dzieciątko Jezus na obrazie w pokoju babci, nie kojarząc tego faktu w chrześcijańską opowieścią, wzruszone samą ideą kobiety z dzieckiem przy piersi, zapowiadającą, przeczuwały, ich los, co się niezupełnie spełniło. Przyjaciółka miała zaangażowanych partyjnie rodziców, przynosiła kwiaty, żeby zatruć im dzień, zaocznie, o czym nic nie wiedzieli. Ona sama zaś nie miała mieć dziecka, a na pewno nie teraz.

– Jestem pewna, nie zajdzie już pani w ciążę – pielęgnowała tę diagnozę eleganckiej lekarki, zdziwiona mieszanymi uczuciami, jakie w niej wywołała. Żadnej niepożądanej, a tym bardziej pożądanej ciąży przez te lata aż do teraz. Poszła z tym pytaniem, wystraszona siłą pożądania,

ulegając zabobonowi, dowodzącemu istnienia „ostatniego zrywu", „łabędziego śpiewu". Nie wierzyła, a zarazem dopuszczała tę myśl: jakieś komórki, hormony, coś wewnątrz, ulokowanego głębiej, poza wzrokiem, poza myślą, mogłoby zechcieć podziału, powołania do życia, zanim wygaśnie i da jej spokój. Zapytała, wiedząc właściwie, że jest po wszystkim, ale tak dla spokoju ducha, żeby móc mu powiedzieć, co przyjął wcale nie tak, jak by chciała, raczej z zawstydzeniem, jakby pierwszy raz w życiu usłyszał, że kobiety od tego zachodzą w ciążę. Nie ona.

Trudno było zdecydować, gdzie go woli poczuć. Sam nie umiał wybierać, w tej sprawie prawdopodobnie też szedł utartą drogą.

– Możesz wszystko – szeptała słodko, słodziutko, sama siebie w myślach ganiąc. I jeszcze – Zrobię, co zechcesz. – Obłudna fraza kochanków, niezakładająca kontynuacji w świetle dnia, chyba że kochali się w dzień, wówczas była deklaracją dzienną, nieprzechodzącą w codzienność. Miał ochotę, wracał do listy życzeń, przerażająco bogatej, obracał na języku kolejne możliwości.

Pogadując o wszystkim i o niczym, przypomniała sobie te sklepy z resztkami, sklepy opatrzone szyldem „resztki". Akurat tego nie pamiętał, nie zwracał specjalnej uwagi na tę część miejskiej, handlowej infrastruktury, interesując się skądinąd miastem, obyczajem i szczegółami, pamiętając z przeszłości bardzo dużo. Funkcja zawodu, był najpierw rzemieślnikiem zdejmującym okazje rodzinne, a od dziesięcioleci prasowym fotografem. Kiedy mu przypomniała lokalizację jednego z takich sklepów w ich dzielnicy, zaczął przywoływać po kolei wygląd kamienic, nazwy sklepów, stylistykę wystaw, gatunki kwiatów w zachowanych frontowych ogródkach, nawet opisy podwórek. Idąc od bramy do bramy, bez wysiłku odtwarzając numery domów, pod którymi mieszkali znajomi i nieznajomi, poznani z jakiejś

zawodowej lub innej okazji, twarze i związki między pozującymi osobami.

– Różnych ludzi spotykałem w życiu – mówił i proponował, że ją z kimś pozna. Śmiała się w sposób nazywany perlistym, nie chcąc go urazić. Zatrzymywali się przy piekarniach, sklepikach z oranżadą i przy lodziarni blisko szkoły podstawowej. Chciał przejść dalej, do szyldu „resztki", mówiła, zostały zaledwie ze trzy nieparzyste numery.

– Skup się. O, właśnie, tak, tam był mały sklepik w piwniczce. Z częściami do wszystkiego? – pytała, bo za jej czasów był zamknięty, brudna szyba pasowała do paru drobiazgów bezładnie rozrzuconych na poszerzonym, wewnętrznym parapecie.

– Sklep żelazny – uzupełnił – nie z częściami, a facet tam pracujący robił drobne naprawy, mydło-powidło generalnie, ale oficjalna nazwa „sklep żelazny".

– Dobrze, za moich czasów ta brudna witryna. Tak dobrze pamiętasz, przejdź troszeczkę dalej, zaraz obok, na prawo od ogródka, ktoś tam starannie przycinał krzaki i hodował róże, podobno gatunki z przedwojennego rosarium, wielbiciel kwiatów, nie wiem kto, nigdy go nie widziałam przy żadnej ogrodniczej robocie. Duch ogrodnika.

Nie widział, mijał sklep z resztkami, ślizgał się po nim wzrokiem, przechodził dalej.

– Twoja mama nie szyła? – zapytała zgorszona takim odstępstwem od normy.

– Robiła na drutach – próbował bronić obyczaju swojej rodziny.

– Na drutach nawet ja robiłam, a kobiety zwykle szyły – ustawiała samą siebie poza grupą kobiet, czego bardzo nie lubił, więc nie szła w tę stronę, zagadywała cień złego wrażenia.

A sklep tam był, całymi latami, odwiedzany chętnie przez kobiety z dzielnicy i w ogóle z miasta, wysiadające

specjalnie na pobliskim przystanku tramwaju numer 4, żeby zajrzeć, czy dowieźli jakiś nowy towar, jakieś bele lub zwitki czegoś kolorowego. Kolorowego, choć i szarego, burego, zielonkawego, brązowego. Te kolory, z przymieszką zgniłego, niejako od razu sprane, pewnie niewysycone odpowiednią mieszanką barwników, były w cenie, jeśli pokrywały tkaniny lepszej jakości, anilany i wełny na garnitury i spódnice. Zachodzono jednak głównie po kolory, mając nadzieję na wystarczająco długi kupon, żeby uszyć bluzkę, sukienkę, spódniczkę, może kamizelkę. Dobrać coś na podszewkę, może scalić dwa wzory w jeden i za niewielką cenę mieć coś, co podpasuje pod wzór z „Burdy" albo Praktycznej Pani, tak, była też nieopodal Praktyczna Pani i pamiętał, tak, zgadza się, ten lokal z zapleczem dla kosmetyczki pamiętał, ale witryna z manekinem? Była pewna, w centrum stał manekin płci żeńskiej, owinięty fantazyjnie w sezonowo adekwatną tkaninę. Na przykład na Sylwestra, a nawet, choć nieśmiało, w coś zdatnego do pierwszej komunii.

– No nie, takiego czegoś… Może masz rację, jeśli mówimy o latach siedemdziesiątych – korygował sam siebie, bo „w naszym wieku" oznaczało rozciągliwość przynajmniej dekady, nie można tego ukrywać. Chcieli być w tym samym wieku, granica między latami pięćdziesiątymi a sześćdziesiątymi i sześćdziesiątymi a siedemdziesiątymi wychodziła na wierzch nieproszona. Może przechodziła też przez ten sklep, dla niej stały punkt orientacyjny, dla niego boleśnie nieosiągalny.

Nie pamiętał, a ona tak. Zamykała oczy i wchodziła do sklepu, bardzo małego, ciasnego. We wnętrzu mieściło się najwyżej pięć osób, ostatnia na progu. Ekspedientka wychodziła zza lady, zdejmowała z wysokich półek wskazane kawałki szmat, kręcąc głową, gdy uznała, że nie warto, bo kawałek nie ma nawet metra, więc nie nada się, czy, jak mówiła, „nie wyda". Ona sama rzadko zachodziła tam, odnosząc wrażenie, że coś tam jest nie dla niej. Te parę razy,

kiedy potrzebowała czegoś na prace ręczne, oznaczające prace kobiece, jakiegoś gałgana, którego nie żal zepsuć, miała wrażenie, że ekspedientce zakłóca spokój. Nie umiała odpowiadać na fachowe pytania – jaka nić, jaka igła, jaki ścieg, czy się ułoży, skąd forma, z karczkiem, czy raglan – więc traktowano ją per noga, co przyjmowała ze zrozumieniem. Często tak bywała traktowana, w wielu miejscach, w które wchodziła po cichu, chyłkiem, mówiąc „dzień dobry" tak cicho, że jej nikt nie mógł usłyszeć. Nie mógł lub nie chciał, prawda leżała pośrodku. Mówiła, owszem, cicho, gdyby jednak oni, ludzie wokół, nie krzyczeli tak głośno, nie wydzierali sobie nawzajem uwagi, powietrza, ochłapu u rzeźnika, toreb z cukrem i w ogóle wszystkiego, gdyby mieli czas na konwersacje, znane jej z podręczników do nauki języków obcych, może jej „dzień dobry" wystarczyłoby na początek?

Nie pamiętał, a ona nie lubiła zachodzić do sklepu z resztkami, pociągającego prawie tak samo jak stanowiska manikiurzystek przycupnięte w zakładach fryzjerskich, gdzie czuła się nieswojo. Nie polubiła, potem, nowości ze staroci, czyli second-handów, lumpeksów, ciuchlandów. Z innych powodów. Miała alergię, zapach środka odkażającego drażnił ją aż do mdłości. I dlatego, że bała się kupić coś zainfekowanego cudzym życiem, a co gorsza – śmiercią. Nie było pewności, nie było metryczki pochodzenia tych zwałów szmat, czasem poukładanych, czasem rozwieszonych w obszernych halach, odwiedzanych przez biednych i bogatych. Resztki nie oznaczały czegoś takiego. Były kolorowe, rzadko wybrakowane, obarczone skazą, niedobarwione, zaciągnięte. Pochodziły z miejsc, gdzie nie chciano z nich niczego uszyć, nie wiadomo dokładnie skąd. Wymuszały minimalistyczne decyzje, uwodząc niższą ceną. Właściwie bywały końcówkami czegoś, co nie istniało jako całość: sklepy z materiałami świeciły na ogół pustkami. Mimo wszystko w centralistycznie zarządzanej branży konfekcyjnej istniały

jakieś przepływy kierujące życiem tych śliskich, szorstkich, wzorzystych, gładkich skrawków.

Miał uporządkowane szafy. Pewnego dnia chciał jej pokazać półkę z książkami, sprytnie wbudowaną w ścianę. Odsunął drzwi, demonstrując, chcąc-nie-chcąc, dwa rzędy swoich koszul, rozwieszonych odcieniami. Na górnym wałku białe i pastelowe, poniżej sportowe i kraciaste.

– Mój Boże – powiedziała i zanim zdołała zapanować nad odruchem, pogłaskała delikatnie rękawy tych pastelowych, powstrzymując się tak samo jak wówczas, gdy muskała wargami jego podbrzusze, nie biorąc go w usta, żeby nie uciekł gdzieś do środka, poza jej zasięg. Jeszcze wówczas, po paru pierwszych tygodniach tej miłości, nazywanej przez niego uczuciem.

– Ile tego jest? – zapytała rzeczowo, naprawdę zainteresowana dziwną pasją konfekcyjną. W jej szafie kilka ulubionych bluzek zwisało nieporządnie ze zdekompletowanych wieszaków.

– Około stu dwudziestu – rzucił niedbale, trochę dumny, trochę zakłopotany, z tym uśmiechem, uwielbianym przez wszystkich grymasem chłopca, którym był.

– Stu dwudziestu? Skąd ich tyle masz? – zapytała i pożałowała od razu, kojarząc lekkie uderzenie mdłości z odczuwanym w tych chwilach, kiedy tracił dystans i wpychał się do jej gardła, nie pamiętając samego siebie sprzed pięciu minut, uciekającego w pocałunki przed jej śmiałością. Wiedziała już skąd.

– Od żony, lubiła mnie ubierać – w tym głosie nie było czasu przeszłego. Zobaczyła sklepy pełne koszul, wyjmowanie szpilek z kołnierzyka, wygładzanie materiału na torsie. Wnętrze szafy pachniało nim delikatnie. Miała ochotę wejść do środka, usiąść na dnie, między śliskimi tkaninami, zamknąć drzwi i odmówić wychodzenia. Uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko, w najbardziej działającym na niego rejestrze.

– Jej rzeczy zostawiłem tylko w jednej części szafy – powiedział. Nie podszedł do tej części, nie spojrzał nigdzie, więc nie domyśliła się, w której.

– Trochę nowych rzeczy. Resztę spaliłem – powiedział, patrząc przed siebie.

Nie chciała żadnych wspomnień i prawie wygasiła własne. Stopniowo, małymi porcjami poznawała jego czas przeszły, nie mając sumienia przerywać codziennych wtrętów.

– Spaliłeś? Nie słyszałam o takim sposobie.

Wyobraziła sobie skwierczące ognisko, stos ubrań przechowujących DNA, tłuszcz, włosy, pot, dotyk. Przygarnęła go mocno, napinając mięśnie brzucha, żeby powstrzymać następną falę mdłości. Zapach palonych ubrań mógłby zawierać domieszki dezodorantów i perfum. Nie powinna go pytać o te koszule. W końcu nie musiała się przytulać – ani do nich, ani do niego. Wystarczało pozwolić się ściskać, pokazując mu, że nie zostawia śladów.

– Zobacz, wszystko znika – odsłaniała plecy, faktycznie niemal od razu gładkie, bez zadrapań i siniaków. Chciałaby założyć którąś z tych koszul, gdyby dało się zgadnąć, która nie zawiera wspomnień. Ukoić skórę.

– Nie potrzebujesz więcej – nie powiedziała głośno, szepnęła mu w ramię, pewna, że nie usłyszy, zajęty wchłanianiem jej zapachu. Coś w tym było smutnego, w samej przeciętej możliwości, bo nie zamierzała wchodzić w takie tryby, ubierać go, a jednak….

– Były jeszcze mięsne z resztkami – powiedział, leżąc na wznak, z jedną ręką między jej nogami, drugą pod jej głową.

Wróciła do niego i przestała śledzić kolejność sklepów w ich dzielnicy.

– Tanie jatki? Tak, ale gdzie, pamiętasz?

– Jedna niedaleko – odwrócił ją na brzuch i zaczął rysować na plecach przejście między szkołami, na ulicę, którą znała słabiej.

– O tu, wiesz gdzie? – poddała mu pod dłoń pośladek, wstrzymując oddech. Twierdził, że nie ma skrytych marzeń.

– Chyba tak, faktycznie. A na rogu bar, taki z wódką.

– Właśnie.

– Tanie mięso to niekoniecznie resztki – wiedziała, że niepotrzebnie się wymądrza. Powinna mu dawać fory przynajmniej w drobnych, drugorzędnych sprawach. Zresztą naprawdę dużo wiedział o świecie, chętnie pozwalałaby się prowadzić przez zmienioną do niepoznania dzielnicę, a nawet dalej, kto wie dokąd. Fotografował niejedno miasto, wieś, pustkę.

– Skrawki, okrawki, żyły, podroby, stare kawałki dla pieska – wyliczał. Prawie nie panowała nad mdłościami. Spróbowała wrócić do sklepu z materiałami, kolorowe nadruki migały pod powiekami na puszczonym wstecz filmie. Przytrzymał ją przed wystawą jatki. Tak, widziała. Dwie bramy obok mieszkała koleżanka, odwiedzała ją czasem, mijając wijący się w któryś dzień tygodnia przed sklepem ogonek. W czwartki? Jeśli poniedziałki były bezmięsne? Może wtorki, kiedy rzucano świeże odpady, albo rzucano pod koniec tygodnia, kiedy odleżały swoje w normalnym sklepie? Nie wiedziała.

– Dla pieska oficjalnie, naprawdę do bigosu, albo i na gulasz – mówił, uśmiechając się do niej, nie wyczuwając skurczu, idącego w dół jej ciała, zakończonego bólem w łydkach.

– Masz więcej zdjęć z tej ulicy? – część jej pokazał od razu w pierwszym tygodniu. Ledwie trzymające się ścian balkony z fikuśnymi balustradami, dzikie wino biegnące od rogu ogródka do samego dachu wąskim pasmem. Mało samochodów, pojedyncze osoby, figurki na tle szarości. Nie pamiętała szarego, tyle szarego.

– Chcesz, przypomnę sobie różne resztki. Końcówki kolekcji?

– Nie, końcówki to końcówki. Resztki to raczej śmietnik, towar przeceniony, w drodze do śmietnika – nie miała ochoty wykładać ontologii tego czegoś, co czuła. Mówił dużo, nie przestając jej pieścić. Miał gdzieś w domu, w pracowni, może w piwnicy – negatywy, gdyby przejrzeć, odnaleźliby oba sklepy, oczywiście.

Usypiał na chwilę, czujny i gotowy w każdej chwili znów ją przygarniać, wchodzić w nią, słuchać jej głośnego oddechu. Pozwalała mu zostać, pogodzona z własną bezsennością, a nawet zapadając w drzemki, tracąc świadomość na godzinę-dwie, przestając słuchać szeleszczenia pościeli pod jego ciałem, pomrukiwań, wydobywających się z jego snów, oddychając jego zmęczeniem, gotowa poddać mu własne ciało, tę uwierającą rzecz, pełną zebranych z całego życia niepokojów.

Nie wiedziała, skąd bierze tyle nadziei. Kiedy ją przygarniał półprzytomny, ufny i odsłonięty, pewien, że nic złego nie może go spotkać, że ona będzie ostateczną nagrodą. Kiedy powoli, krok po kroku, pozwalał się pieścić, rezygnując z przekonania o swojej męskiej roli. Kiedy chodził z nią po ich dawnej dzielnicy, nie rozumiejąc po co, gorliwy, dokładny, sumienny, niekłamiący. Kiedy robił jej zdjęcia w tych samych miejscach i tym samym aparatem leica, używanym jeszcze w jej czasach szkolnych, kiedy zaczynał pracę w atelier na rogu głównej ulicy.

A ona widziała czasem bele kolorowych materiałów, a czasem tanią jatkę, worek wynoszonych do śmietnika rzeczy, własne poharatane wnętrze, zasilane porcjami rozkoszy. I mimowolnie, w środku, lekko płakała, bo nie potrafiła ukryć przed sobą, że ta późna miłość nie ma w sobie romantyzmu jesieni, jest śliskim żerowiskiem. Usiadła na nim z lekkim uśmiechem, znieczulającym

i niewypróbowywanym wcześniej. Spadali na drugą stronę, starając się za głośno nie krzyczeć.

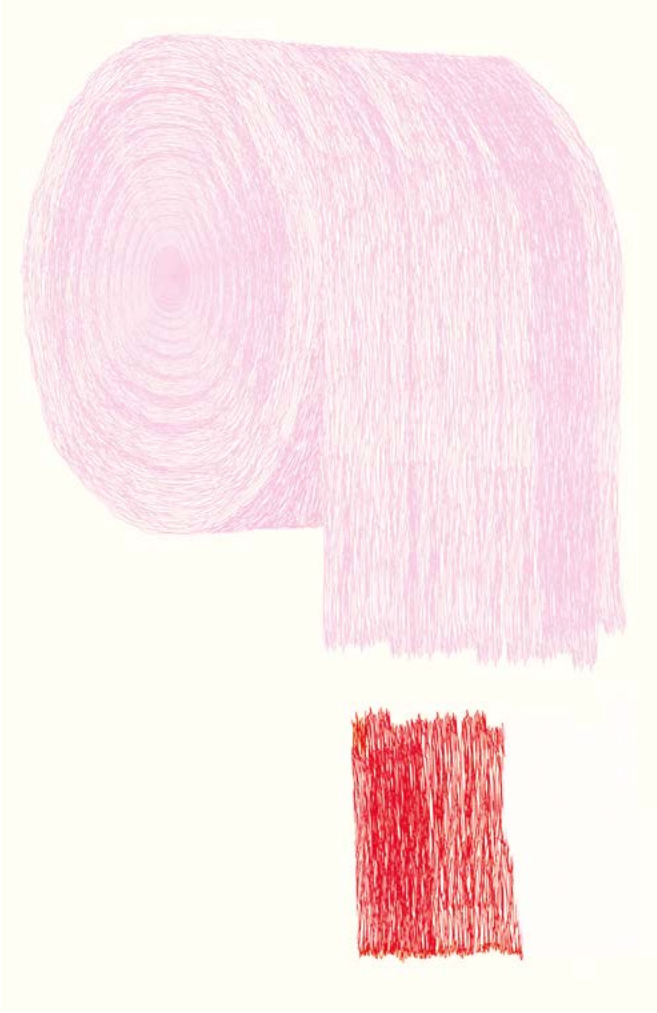

HALLDÓR ARMAND ÁSGEIRSSON

Racja stanu

– Coś jeszcze? – zapytał sekretarz prezydenta na zakończenie zebrania personelu odbywającego się w bibliotece Bessastaðir i uśmiechnął się do wstających od stołu. Podczas gdy inni pracownicy rozeszli się po budynku, aby przygotować wszystko na przyjęcie gości, asystent udał się szybkim krokiem do służbowej łazienki, by się przygotować. Osiem minut później stanął przy umywalce, umył dokładnie ręce i spojrzał w lustro. Był wysokim mężczyzną i aby dostrzec drobne zmarszczki wokół oczu, musiał ugiąć kolana. Twarz miał podłużną, ptasią, nos wąski, czoło wysokie i lekko wystający podbródek. Duże uszy nie były ani szpiczaste ani odstające, ale tak szerokie, że wydawało się, że z głowy wyrastają dwa białe żagle. Choć nie ulegało wątpliwości, że to człowiek, który zdrowo żyje i pilnuje właściwych nawyków żywieniowych oraz rzadko siedzi do późna, sekretarz spostrzegł w ostatnich latach, iż rysy twarzy ma ostrzejsze niż kiedyś, a policzki pełniejsze. Zupełnie tak, jakby czas postanowił stopniowo ściągnąć skórę na twarzy. Wypielęgnowanym palcem lewej dłoni nacisnął stojący przy kranie szklany dozownik i w skupieniu naniósł zielone, półprzeźroczyste mydło na szczupłe palce oraz gładkie dłonie. Choć myśl o starzeniu się nigdy nie wywoływała u niego niepokoju i nie nękały go wyrzuty sumienia i/lub rozczarowania jak wielu innych w podobnym wieku, wiodących nudne życie, cieszył się, że nadal ma dłonie młodego mężczyzny. Ktoś powiedział mu, że Halldór Laxness dopiero wtedy poczuł, że się starzeje, gdy podczas jednego z wywiadów telewizyjnych zobaczył, jak pomarszczone ma dłonie.

Instrukcje obowiązujące tego ranka były takie same jak w ciągu ostatnich lat, kiedy w Bessastaðir oczekiwano oficjalnych wizyt zagranicznych przywódców. W czasie spotkania, które prowadził sekretarz prezydenta, nie padły żadne pytania, jako że personel miał spore doświadczenie w organizowaniu tego typu uroczystości. Na zebraniach

omawiano przede wszystkim dokładne godziny dotyczące kolejnych etapów uroczystości oraz ewentualne wyjątkowe elementy, na które sekretarz zwracał pracownikom szczególną uwagę.

– Prezydent powita delegację w holu, prawdopodobnie na schodach, a potem wszyscy przejdą do głównej sali. Wino z kolei musi być gotowe, gdy tylko pojawią się przedstawiciele Islandzkiej Izby Gospodarczej oraz biznesu, to znaczy dziesięć minut przed delegacją – powiedział sekretarz prezydenta, po czym zamilkł na chwilę, by podkreślić wagę swych słów i obrzucił zebranych wymownym spojrzeniem. – Po upływie mniej więcej piętnastu minut do biblioteki wejdą prezydent, minister i czterech przedstawicieli islandzkiej gospodarki. Będę im towarzyszył. Piętnaście minut później wrócą z biblioteki do sali, a wtedy waszym zadaniem będzie zadbanie, by kieliszki nie stały puste.

Prezydencki sekretarz był potężnie zbudowanym mężczyzną, a kręcone ciemne włosy wyjątkowo gęsto porastały mu boki głowy, w przeciwieństwie do jej czubka, przez co głowa przypominała czasami (zwłaszcza gdy ziewał) telefon z ubiegłego stulecia. Ubrany był zawsze w garnitur i białą koszulę z granatowym krawatem, w butonierce nosił białą chustkę, a na wyjątkowo uroczyste okazje przypinał do klapy znaczek z godłem Islandii. Strój stałego personelu był z góry ustalony, a więc asystent, podobnie jak pozostali mężczyźni, włożył gustowny, pasujący do każdej okazji czarny garnitur, koszulę i eleganckie skórzane buty. Poza pracą także nieświadomie przywiązywał wagę do ubioru. Zawsze ubierał się tak, by jak najlepiej wyglądać, jednocześnie dobór stroju był tak wyważony, by uwaga w żadnym razie nie skupiała się na odzieży.

Sekretarz poprawił krawat, odchrząknął i stanął milcząco przy umywalce, tak jak to robił zawsze, gdy skończył ową czynność, którą ludzie w milczeniu wykonują w toalecie. Otworzył drzwi i wyszedł z łazienki. Od dawna już

zastanawiał się nad znaczeniem łazienek i toalet w szerszym kontekście. Stwierdził, że pod wieloma względami symbolizują one los człowieka i jego kondycję w rozpędzonym współczesnym świecie, w którym wszystko obraca się wyłącznie wokół międzyludzkich interakcji, swego rodzaju przyjmowania i oddawania. Pocieszające jest, że ma się stały dostęp do toalet we wszystkich budynkach i miejscach publicznych. W głowie asystenta miejsca te służyły do czegoś znacznie więcej niż tylko do załatwienia potrzeb fizjologicznych wymagających samotności. Toalety w XXI wieku to właściwie jedyne miejsca zaprojektowane dla pojedynczego człowieka, przeczące podstawowej zasadzie cyfryzacji, mówiącej, że wszelkie informacje i dane na temat osób fizycznych i prawnych należą do globalnej sieci. Toalety są ochroną dla tych wszystkich, którzy czują, że wymagania stawiane im przez współczesność pozbawiają ich osobowości. Toaleta daje możliwość przeniesienia się w obszar, który nie podlega zasadom czasu i przestrzeni, dzięki czemu można znowu poczuć się swobodnie, uwolnić umysł od jakichkolwiek zależności.

Asystent wiedział, że w dawnych czasach nie bez powodu nazywano toalety miejscami ustronnymi. Mimo że świat zmienił się ogromnie, pojawiły się satelity, a w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku także rewolucja komputerowa, to zdaniem asystenta pogląd na istotę latryny nie zmienił się od wieków. Nie opuszczała go myśl, że toaleta jako jedna z niewielu, a być może nawet jedyna rzecz, nie podlega duchowi czasu i rozwojowi techniki. Na stole w kuchni w Bessastaðir znalazł kiedyś gazetę, „Vika”, w której przeczytał, że ludzie cierpiący na zaburzenia koncentracji często w czasie spotkań zamykają się w toalecie po to, by odzyskać kontrolę nad swoimi myślami. Od tego czasu sekretarz wielokrotnie zamykał się w toalecie w czasie spotkań, podczas których nikogo nie znał i wymagano od niego uczestnictwa w rozmowach oraz skupienia

uwagi, a on w większym gronie czuł się zdenerwowany i niespokojny. Z tego samego powodu musiał też czasami wyjść na ulicę, rozejrzeć się dookoła, jakby na kogoś czekał.

Było wpół do piątej. Asystent otworzył drzwi wyjściowe i spojrzał na podjazd przy drodze wzdłuż kościoła. O tej porze roku łąki wokół Bessastaðir nabierały głębokiej, zielonej barwy, niepasującej jego zdaniem do sinego nieba i wiatru, który był równie zimny co w marcu. Otoczenie wydawało się jednocześnie pełne życia i lodowate, jak to często bywa pod koniec czerwca. Drobne krople deszczu spadły na okulary asystenta. Wysunął rękę, ale nie poczuł deszczu. Jakby ktoś napluł na niego podczas mówienia. Hjörtur Konráðsson przekonał się, jak szybko skórzane buty, które nosi, przemakają od rosy na łące, gdy wydało mu się, że widział na niej parę gęsi. Niewielka grupa ludzi przeszła z parkingu przy kościele, gdzie w przypadkowy sposób zaparkowały pojazdy rozmaitych mediów. Wyglądało to tak, jakby kierowcy zaciągnęli ręczne hamulce i wysiedli z samochodów, zanim te zatrzymały się na dobre. Asystent nigdy nie rozumiał, na czym opierała się koordynacja przedstawicieli różnych mediów. Zawsze pojawiali się w Bessastaðir w tym samym czasie. Domyślał się, że chodziło raczej o maksymalną wydajność, a nie współpracę. Mimo że tego dnia zadaniem Hjörtura było głównie samo przyjęcie gości i zadbanie o ich potrzeby, najtrudniejsza część polegała na zapanowaniu nad ludźmi, którzy nie byli oficjalnymi gośćmi, a więc nad dziennikarzami. Musiał spróbować tak wszystkim pokierować, by mogli wykonywać swoją pracę, a jednocześnie nie utrudniali działania prezydenckim urzędnikom. Dziennikarze mieli skłonność wchodzenia sobie w drogę, zwłaszcza, gdy chodziło o szczególnie ważnych gości. Aby pokazali gości z należytym dystansem, asystent starał się trzymać żurnalistów w ryzach od chwili, gdy przekraczali próg budynku.

*

Brat Hjörtura Börkur Páll już od dłuższego martwił się jego samotnością poza godzinami pracy i dlatego przed paroma laty spróbował tchnąć nieco życia w jego egzystencję. Zaproponował bratu tymczasową opiekę nad psem. Siedząc w skórzanym fotelu w domu Hjörtura i nieustannie chwytając kciukiem oraz palcem wskazującym daszek ciemnozielonej bejsbolówki z napisem Landslyfti S.A., upewniając się, że ciągle ma ją na głowie, wyłożył mu swój pomysł. Börkur, który zawsze sprawiał wrażenie, jakby dopiero co przyszedł, nawet, gdy właśnie wychodził, pochylił się, oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie, siedząc nadal w kurtce i butach, i co jakiś czas niespokojnie potupując.

W oczach Börkura jego starszy brat wykonywał przez wiele lat uczciwą, porządną pracę w kancelarii prezydenta, zaniedbując jednak własne życie, spędzając w wieku pięćdziesięciu trzech lat samotne wieczory w suterenie w zachodniej części Kópavogur, a jedyne, co miał do zrobienia, to przygotowanie kolejnego dnia pracy. Börkur był pewien, że Hjörtur zrobił się jeszcze bardziej milczący niż kiedyś. Coraz rzadziej się meldował i niewiele mówił, gdy się spotykali. Nie wspominał nigdy o sobie, tak jakby już dawno temu pogodził się z bezsensem swojego samotnego życia. Börkur często nie mógł spać i czuł, że krew uderza mu do głowy; musiał zrobić coś dla Hjörtura. Jednocześnie jednak zastanawiał się, czy jego rolą jest wtrącanie się w życie starszego brata.

Zrezygnował przy tym ze swojego pierwotnego pomysłu, by włączyć Hjörtura we własne życie rodzinne. Odradziła mu to pewnego wieczoru żona, przygotowując kolację. Wypakowując torbę z zakupami, napomknęła, że Hjörtur zawsze był samowystarczalny i zachowywał dystans wobec dnia powszedniego. Poza tym Bessastaðir to bardzo wymagające miejsce pracy. Hjörtur ma tam nieustannie do czynienia z różnymi nacjami i musi uczyć się ich zwyczajów. Dlatego też nie jest chyba w stu procentach w porządku

ze strony Börkura domagać się zmian w życiu brata. Przeciwnie, kontynuowała, wyjmując czerwone mielone mięso wołowe z plastikowego pojemnika i rzucając je na rozgrzaną patelnię. Asystent połączył swoje niestrudzone ambicje z urzędem, jaki piastował, a przez to nie miał w ostatnich latach okazji, by dojrzeć w pełni jako jednostka. Z patelni słychać było głośne skwierczenie smażonego mięsa, więc Börkur musiał przysunąć się bliżej, by słyszeć słowa żony. Mieszając mięso na patelni, dodała, że według niej Hjörtur od zawsze najlepiej czuł się we własnym towarzystwie i dlatego bez sensu jest wciągać go w coś, co wymyślił sobie jej mąż. Jeżeli naprawdę uważał, że bratu brakuje sensu życia, to powinien zrobić dla niego coś, co odpowiadałoby jego charakterowi, coś, co wymagałoby odpowiedzialności i mogłoby mieć pozytywny wpływ na całą egzystencję.

Ostatecznie doszli przy stole do wniosku, że Hjörturowi trzeba przede wszystkim czegoś, czym mógłby zająć się wieczorami. Czegoś lub kogoś, z kim mógłby spędzić czas po pracowitym dniu w Bessastaðir. Obojgu spodobał się pomysł, by poprosić Hjörtura o tymczasowe wzięcie pod opiekę psa ich przyjaciela, który na całe lato wyjeżdżał za granicę. Uznali, że pies może być dla Hjörtura drogim i wiernym towarzyszem, o ile oczywiście Hjörtur zgodzi się nim zająć przez te parę letnich miesięcy. Pomijając pięć tygodni urlopu, był to najspokojniejszy okres w pracy asystenta. Nadarzała się okazja, by przekonać go do posiadania zwierzęcia, a jednocześnie nie ingerować za bardzo w jego życie. Oczyma wyobraźni widzieli już Hjörtura z psem na wieczornym spacerze w Kópavogur. Poza tym na pewno mógłby zabierać go ze sobą do pracy do Bessastaðir. Tamtejsze łąki są ogromne i idealnie nadają się do wyprowadzania psa. Można by też przywiązać go gdzieś z tyłu, za budynkiem, gdzie przebywałby w naturalnym dla niego, zdrowym otoczeniu, a Hjörtur zajmowałby się swoją pracą. Wiedzieli ponadto, że para prezydencka też ma psa, więc wyobrazili

sobie prezydenta i Hjörtura, roześmianych, z kawą w ręku, na schodach w Bessastaðir, podczas gdy psy bawiłyby się na podwórku.

Pies był rasy golden retriever. Börkur przekonał Hjörtura, że zwierzę jest wesołe i posłuszne, bardzo dobrze wychowane i namówił brata, by przyszedł i obejrzał psa. Ku radości i pewnemu zaskoczeniu Börkura, Hjörtur chętnie zgodził się poznać Neró, który jako szczeniak stracił pana, a teraz już całkowicie wyleczył się z grzybicy na łapach.

Asystent i pies bardzo dobrze się rozumieli. Mieli podobne charaktery. Neró był spokojnym i dobrze ułożonym zwierzęciem, nie szczekał na listonosza i nie obwąchiwał przechodniów. Jego wygląd jak z reklamy i gęsta sierść sprawiały, że ludzie chętnie go głaskali i poklepywali, podczas gdy on ze spokojem patrzył przed siebie. Hjörtur bardzo polubił wspólne spacery, a po kilku tygodniach ich stosunki bardzo się zmieniły. Na początku Hjörtur zwracał się do Neró głównie po to, by w uprzejmy sposób wymusić zmiany w jego zachowaniu. Z czasem jednak zaczął kierować do psa przyjacielskie pytania na temat samopoczucia czworonoga, a nawet dzielić się z nim swoimi przemyśleniami.

Pewnego deszczowego, wtorkowego wieczoru, miesiąc po tym, jak Neró trafił pod opiekę Hjörtura i zaczął spać na podłodze obok jego łóżka, wybrali się na spacer po Kópavogur. Stali na pustym chodniku nieopodal oceanu i nagle coś, Hjörtur nie wiedział co, zwróciło uwagę czworonoga. W jednej chwili Neró stał się niespokojny, zaczął głośno szczekać, a potem zerwał się ze smyczy i przepadł.

*

Niewielki szary van stał przy wąskim wejściu do kuchni w Bessastaðir. Z bagażnika gospodyni wyjęła starannie przykryte folią tace z kanapkami. Na obu bokach samochodu widać było szyld firmy usługowej *Torty chlebowe*

i kanapki oraz namalowany tort chlebowy bliżej nieokreślonej płci, z rękami, nogami i twarzą. Duże, ruchliwe oczy i szeroki uśmiech w połączeniu z wystawionym w górę kciukiem prawej ręki, sprawiały wrażenie, że tort jest bardzo zadowolony z życia. Kierowca, wysoki, około dwudziestoletni chłopak, otworzył okno samochodu. W radiu zachrypnięty dziennikarz, który albo dopiero co się obudził, albo chciał, żeby tak się wydawało, zapowiedział piosenkę i po chwili rozległy się rockowe dźwięki. Wnieśli do kuchni piętnaście tac z kanapkami. Gosposia położyła je na dużym stole między zlewem a kuchenkami, które na co dzień służyły do przygotowywania jedzenia, i przyjrzała się szybko wszystkim kanapkom, by sprawdzić, czy zostały przygotowane zgodnie z zamówieniem. Szeroki fartuch okrywał jej solidną figurę. Przeszła szybko przez kuchnię, wzięła szklankę i podeszła do lodówki. Gdy stanęła na palcach i sięgnęła po stojący na najwyższej półce dzbanek, ukazały się jej silne łydki. Była teraz w lepszej formie niż przez wiele lat wcześniej. Cztery lata temu rozwiodła się z mężem i od tego czasu znacznie więcej czasu spędzała na powietrzu i wędrówkach po górach. Nalała soku pomarańczowego do szklanki, chwyciła się lewą ręką w pasie i zanuciła cicho wesołą piosenkę.

*

Podobnie jak w innych pomieszczeniach w Bessastaðir, tak i w sali bankietowej próbowano stworzyć pewne złudzenie optyczne. Zachowując zawsze doskonałą organizację i czystość, ponadczasowość odpowiadającą godności i historii urzędu prezydenta, ustawiono tam stare, ale mało zniszczone meble i inne elementy, by sprawić wrażenie, że sala używana jest na co dzień. Przy wschodniej ścianie stał doskonale odnowiony fortepian z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, a pod sufitem wisiały trzy imponujące kryształowe żyrandole. Przy wejściu do sali, na dębowym stole, na którym za czasów poprzedniego prezydenta stały

w takich samych ramkach dwa zdjęcia owczarka islandzkiego, teraz ustawionych było około dwudziestu pięciu, może trzydziestu zdjęć uśmiechniętej pary prezydenckiej w towarzystwie przywódców państw z całego świata. Fotografie ułożono tak, by nie zasłaniały się nawzajem. Pośrodku sali, wokół małego drewnianego stolika, ustawiono trzy szerokie, skórzane fotele w taki sposób, by się dotykały. Chodziło o to, by w czasie rozmów każdy miał dobry widok na pozostałych rozmówców. W jednym kącie sali stała duża szafa z książkami. Za szybą ustawiono książki o kulturze oraz znane pozycje literatury dwudziestego wieku. Ułożono je tak ciasno, że z pewnej odległości nie było wiadomo, czy to w rzeczywistości jedna książka na każdej półce, czy też wiele pojedynczych egzemplarzy. W drugiej szafie znajdowały się błyszczące kryształowe kieliszki oraz obrus. Nikt z pracowników nie pamiętał, by kiedykolwiek go wykorzystano.

Asystent powitał dziennikarzy w drzwiach i gestem polecił im, by weszli do środka. Pojawiło się więcej osób, a na ich czele szedł człowiek z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Trzymał mikrofon, którym machał lekko w przód i tył. Przed asystentem stanęła kobieta, która zapytała go o program dzisiejszego spotkania oraz o to, kiedy można spodziewać się delegacji. Wyglądała znakomicie, stała mocno na nogach, wysuwając prawą stopę przed lewą. Asystentowi przypomniał się obraz wyświetlany często na ekranie telewizora w przerwie wywiadów. Słychać głos prezentera, a na ekranie widać z pewnej oddali dziennikarza, który kiwa głową, trzymając mikrofon przy piersi, i przeprowadza rozmowę.

Zadanie asystenta oraz pozostałych prezydenckich pracowników polegało w dużej mierze na tym, by podtrzymywać wizerunek głowy państwa. W tym kontekście główna sala była niezwykle ważna. Zgadzali się co do tego wszyscy pracownicy, jako że pomieszczenie wykorzystywano przez

okrągły rok. Bywało, że tylko w tym miejscu goście się ożywiali, stąd wszystkim bardzo zależało, by panowała zarówno uroczysta, jak i domowa atmosfera. Trzeba było przy tym jednocześnie ukryć fakt, że sali tej wcale nie używano tak często, jak oficjalnie podawano. Nie pomyślano jej jako miejsca mającego spełniać potrzeby gości prezydenta, tak jak na przykład salony w zwykłych domach. Przeciwnie, to właśnie goście, najczęściej nieświadomie, powinni przystosować się do sali. Stojąca w rogu szafa z książkami nie miała służyć gościom, którzy chcieliby poczytać. Ci entuzjastycznie nastawieni do literatury, po prostu otrzymywali możliwość obejrzenia książek, ponieważ akurat w sali stała szafa z książkami, itd.

Sala główna odzwierciedlała wizję, jaką przed pracownikami Bessastaðir roztoczył sekretarz prezydenta, Hreinn, na spotkaniu zorganizowanym krótko po tym, jak obecny prezydent objął urząd. Godność urzędu prezydenta ma zawsze polegać na tym, że jest on prezydentem wszystkich, ale jest to nie tylko służba ogółowi, narodowi, jak również na tym, że będąc spoiwem całego narodu, jest jego częścią. Naród tworzy urząd i bierze aktywny udział w jego pracach i dlatego nie wolno nigdy zapomnieć, że tu, w Bessastaðir, znajduje się serce narodu. Prezydent ma przede wszystkim być żywą siłą, a nie bezbarwnym urzędnikiem bez wpływu na życie społeczeństwa. – Zapraszam, wejdźcie po schodach. Przygotowaliśmy poczęstunek, kawę i przekąski. Częstujcie się. Pierwsi goście będą za około piętnaście minut. Delegacja ma przyjechać do Bessastaðir za około dwadzieścia pięć minut. Dam wam znać z wyprzedzeniem, wtedy prezydent przejdzie z biblioteki do sali przyjęć, a stamtąd do głównych drzwi i przywita ministrów oraz delegację.

Asystent nie czuł się dobrze, kierując grupą ludzi. Wydawało mu się, że każde słowo, które wypowiada, odbija się echem w jego głowie. Wszyscy dziennikarze weszli już do siedziby i słuchali asystenta. Od dzieciństwa nie mógł

przestać myśleć o tym, że gdy mówi do grupy nieznanych mu osób, ze stresu nieszczęśliwie ruszają mu się nozdrza. Niezależne od niego nieprzyjemne drżenie mięśni, z którym już dawno przestał walczyć. – Powitanie odbędzie się w sali recepcyjnej. Prezydent wygłosi przemówienie i przywita ministra oraz delegację. Zaraz potem głos zabierze minister. Czy są jakieś pytania?

Jeden z dziennikarzy, na oko trzydziestopięcioletni, stuknął długopisem w notatnik, zapisał słowa asystenta i zadał pytanie. W newralgicznych miejscach jego ciała tworzyły się wałeczki tłuszczu, które pozwalały wprost powiedzieć, że był gruby. – Tak. Jeszcze dziś przemówienie zostanie umieszczone w Internecie. Wystąpi również Prezes Izby Gospodarczej, a na koniec prezydent, minister oraz przedstawiciele islandzkiego biznesu przejdą do biblioteki i spędzą tam piętnaście minut.

Podczas gdy tamten mówił, Hjörtur próbował przypomnieć sobie zasady dotyczące korzystania z głosu i przemawiania, jakie wyłożył im nauczyciel na kursie dla personelu. Kurs odbywał się w Bessastaðir i miał na celu zintegrowanie grupy, która właśnie rozpoczynała kadencję. Właściwe posługiwanie się głosem zapobiega nadmiernemu wysiłkowi u wszystkich tych, którzy w pracy muszą na głosie polegać. Uczestnicy kursu mieli poznać również przyczyny kłopotów z artykulacją. Udzielono im też wskazówek na temat właściwej postawy.

Asystent nie bardzo potrafił sobie przypomnieć rad dotyczących tego, jak trzymać dłonie i palce, gdy bez pulpitu przemawia się do grupy ludzi. Zwrócono również uwagę na to, że ważne jest nawiązanie kontaktu wzrokowego z każdym z obecnych przez przenoszenie uwagi na każdego po kolei. Mimo że ruchy głowy asystenta nadal były sztywne, gdy nawiązywał kontakt wzrokowy z następnym rozmówcą, udało mu się bardzo dobrze opanować czas, przez jaki powinien patrzeć w oczy każdemu z obecnych.

Chodziło o to, by wywołać wśród słuchających dziennikarzy wrażenie, że są uczestnikami rozmowy, a nie tylko grupą ludzi, których nie rozróżniał. I że mówił do nich, a nie ponad nimi.

*

Elsa Þórey Bergdal pracowała jako gospodyni w Bessastaðir od trzech lat. W tym samym tygodniu, w którym zaczęła pracę, poznała Hjörtura. Spotkali się zupełnie przypadkowo pewnej soboty w Smáralind, dokąd Hjörtur akurat odnosił zegarek do naprawy. Ona była z dwójką dzieci i Hjörtur zwrócił uwagę, jak dobrze są wychowane i że potrafią zachować się w towarzystwie dorosłych. Asystent od zawsze starał się unikać spotykania obcych ludzi na ulicy i wielokrotnie nadkładał drogi, by odległość od drugiego człowieka była na tyle duża, żeby dało się uniknąć konwersacji. Miał kłopoty z utrzymaniem właściwego toku rozmowy, obawiając się pytań i oświadczeń, które mogłyby w niej paść, a poza tym wzrok uciekał mu zawsze na boki, zupełnie jakby szukał ucieczki.

Elsa za to szła za nim w Smáralind, nie dając szansy na podjęcie jakichkolwiek działań zapobiegawczych. To ona prowadziła rozmowę i mimo że Hjörtur obawiał się niezręcznej ciszy, drżał i nie wiedział, co powiedzieć, pomagała mu i podtrzymywała konwersację. Opowiedziała, że dostała w centrum mandat za parkowanie, gdy tylko na chwilę wpadła do sklepu odzieżowego po sukienkę dla córki. Zapytała, czy to nie wspaniałe i się roześmiała. Pozwoliła dzieciom rozejrzeć się po sklepie obok, kiedy grzecznie ją poprosiły. Była uroczą, umiejącą słuchać kobietą i Hjörtur szybko zapomniał o kłopotach z opanowaniem ciała i w pełni włączył się do rozmowy, która już po kilku minutach stała się zupełnie swobodna i naturalna. Elsa na zmianę a to opowiadała o sobie, a to wypytywała Hjörtura o wszystko, co możliwe. Ponadto, uśmiechając się, położyła

swą dłoń na jego ręce i opowiedziała, jak wycieńczona była po wspinaczce na Hvanndalshnjúkur.

Od czasu tamtego pierwszego spotkania w Smáralind ich współpraca w Bessastaðir była bardzo przyjemna, a Elsa stała się dla Hjörtura zarówno w pracy, jak i w życiu, tą osobą, z którą najchętniej spędzał czas, mimo że zdawał sobie sprawę, jak bardzo się różnią. Hjörtur rzadko opowiadał o swoich prywatnych sprawach, ale mimo to bardzo często prowadzili ożywione rozmowy w kuchni w Bessastaðir. Elsa nie wstydziła się opowiadać o trudnym małżeństwie i poprzednich miejscach pracy. Zdradziła, że od dawna marzyła o założeniu firmy cateringowej, a w ubiegłym miesiącu napisała pierwszy biznesplan, czując, że jest gotowa na poprowadzenie własnego interesu.

Zachęcony przez Elsę asystent wygrzebał nawet na nowo aparat fotograficzny, po tym, jak opowiedział jej, że dwadzieścia lat temu, gdy wprowadził się do swojego mieszkania, zbudował własną ciemnię w komórce przy pralni. Kiedy był młodszy, robił mnóstwo zdjęć, ale potem to zarzucił. Elsa była pod każdym względem prostą kobietą i przyznała się nawet kiedyś Hjörturowi, że martwi się o przyszłość urzędu prezydenta, który, jej zdaniem, utracił kontakt z prostymi ludźmi. Mimo że Hjörtur głęboko się z nią nie zgadzał, odkrył w jej słowach wiele ciekawych spostrzeżeń, które z powodzeniem można było wykorzystać w pracy urzędu.

*

W poczekalni na górze zebrała się większość, jeśli nie wszyscy dziennikarze. Było ich dziesięciu, może dwunastu i gdy Hjörtur spojrzał z dołu schodów, zobaczył, że przeważnie zajęci byli nalewaniem sobie kawy do kubków oraz jedzeniem pączków i kanapek z wędzoną baraniną, które rano przygotowała dla nich gosposia. Wielu z nich było

zmęczonych, niektórzy wyglądali na skacowanych, choć oczywiście takich rzeczy nie wie się na pewno.

Potwornie gruby człowiek w koszulce z krótkim rękawem i dużym aparatem fotograficznym na szyi – tak grubej, że by ją objąć, normalny człowiek musiałby użyć obu rąk i zupełnie niepasującej do małej, jajowatej głowy – rozmawiał przy lustrze z młodym, dobiegającym pewnie trzydziestki mężczyzną, którego Hjörtur znał z wiadomości telewizyjnych. Przy nich stała piękna kobieta, która sześć minut wcześniej zapytała asystenta, kiedy można się spodziewać przyjazdu delegacji. Miała na sobie ciemnoniebieską garsonkę, rozpuszczone włosy i sprawiała wrażenie, że bez problemu przełącza się ze skupionego spojrzenia dziennikarki telewizyjnej na uroczy uśmiech. Nie jadła ani pączków, ani kanapek. Młody mężczyzna zaśmiał się głośno i ostentacyjnie z czegoś, co powiedział fotograf, i grzywka, którą miał zaczesaną do góry, zakołysała się, opadając delikatnie na czoło. Ubrany był w markowy, elegancki garnitur, krótką marynarkę, wyjątkowo wąski krawat i spodnie, które wydawały się podciągnięte bardzo wysoko w pasie, sięgając do kostek i odsłaniając nowe skarpety w kratkę, oraz ciemnozielone, błyszczące skórzane buty. Mimo że nigdy nie widział takich ubrań w sklepach z odzieżą męską, w których sam robił zakupy, Hjörtur bez wahania uznał, że należy je nosić dokładnie tak, jak robi to młody człowiek. Później tego dnia Hjörtur dowiedział się od zarządcy nieruchomości w Bessastaðir, że ów młody mężczyzna nazywa się Kristján jakoś tam, Þó czy Örn. W telewizji wyglądał znakomicie, a wyraźnie zaznaczone mięśnie twarzy dobrze się prezentowały, starannie przypudrowane i opalone. Jednak po bliższym przyjrzeniu się na twarzy mężczyzny dostrzec można było nienaturalne plamy. Tak jakby w okresie dorastania zmagał się z poważną chorobą skóry, którą próbował zwalczyć albo ukryć poprzez regularne kąpiele słoneczne. Odnosiło się z drugiej strony wrażenie, że skórę twarzy ma

zaniedbaną i nieustannie zaczerwienioną, jakby dopiero co się drapał. W rozmowie z grubym fotografem i piękną kobietą był wesoły i podekscytowany, a w jego oczach, nawet w tak spokojną niedzielę jak dziś, widać było bezwstydność i rozwiązłość, które bez wątpienia od zawsze stanowiły siłę napędową jego życia.

Hreinn, sekretarz prezydenta, wielokrotnie przypominał personelowi, jak ważna jest nieskrępowana swoboda fotografów i dziennikarzy w dostępie do Bessastaðir, naturalnie w obszarze dozwolonym dla ogółu. Rzecz jasna, wywiady z prezydentem mogły się odbywać wyłącznie w wyznaczonych miejscach przygotowanych przez pracowników i zaakceptowanych przez sekretarza prezydenta. – Mam dobre układy z wydawcą RÚV oraz Stöðvar 2 i przykładam dużą wagę do tego, by ludzie z obu tych redakcji mieli swobodny dostęp do Bessastaðir. Prezydent twierdzi, a ja całkowicie się z nim zgadzam, że to głównie dzięki temu jego urząd jest pokazywany we właściwym świetle. – Asystent w pełni podzielał opinię swojego przełożonego. W ciągu wielu lat pracy zauważył, że ludzie z telewizji z wielkim szacunkiem traktują środowisko, w którym pracują, tak jakby stawało się ono częścią ich samych.

Inaczej miała się sprawa z pozostały ludźmi mediów. Mimo, że Hjörtur ze wszystkich sił starał się, by jego własne spostrzeżenia i opinie nie miały wpływu na pracę, ciągle jeszcze ze smutkiem i oburzeniem wspominał sytuację, gdy drzwi w Bessastaðir zostały gwałtownie otwarte przez jednego z tych krótkowłosych mężczyzn zatrudnionych na okres wakacyjny przez jakiś dziennik. Chodzą w zniszczonych trampkach, ledwo skończą dwudziestkę i wpychają się, jak gdyby nigdy nic, do środka, jakby wtargnięcie do domu głowy państwa było najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Nawet nie patrząc na asystenta, pytają go, gdzie kawa, bo chyba tyle to urząd prezydenta Islandii powinien oferować. Pewnie, powinno się czekać na nich z dzbankiem

gorącej kawy, gdy przyjdzie im ochota wpaść z wizytą i połazić między pokojami z filiżanką w ręce, bez spodka. Gapią się bezmyślnie, tak jak to robią przed ekranem komputera, a spod ich półprzymkniętych oczu zieją bezmyślność i znudzenie. To oczy pokolenia, które dorastało, mając wszystko. Zajrzą wszędzie, nieważne, czy to zabronione, czy niestosowne. W tych pozbawionych życia, bezmyślnych oczach, odbijają się całkowity brak zrozumienia i obojętność wobec urzędu prezydenta. W takich chwilach asystent starał się ukryć niechęć i zachować godność własną oraz urzędu, przestrzegać panujących zasad. Mimo to wiedział, że ci faceci szydzą z niego, patrząc mu prosto w twarz, śmieją się z białych rękawiczek i innych formalności, których wymagała praca, na przykład wtedy, gdy patrzył przez uchylone drzwi, czy aby wszystko jest, jak być powinno. Albo gdy przeciskali się obok niego w drzwiach po wypaleniu papierosa, wnosząc za sobą zapach papierosowego dymu, a on pytał, czy naprawdę chcą, żeby ta pusta filiżanka po kawie znalazła się na zdjęciu prezydenta z chińskim ministrem gospodarki. Wzruszali tylko ramionami, z wyższością i pogardą patrząc na niego i uśmiechając się tak, jakby nie pasował do tej nowej rzeczywistości, wobec której był kompletnie bezbronny. Jakby oni tu rządzili, a on był tylko stary, niemodny i zajmował się podtrzymywaniem czegoś, co w ich oczach nie miało ani znaczenia, ani sensu. Jednak dzięki sile woli i mocnemu postanowieniu oraz mimo tego, że takie zachowanie go raniło, udało mu się przekonać samego siebie – w czasie, gdy wymieniał po cichu dzbanki z kawą, odkurzał, donosił świeże kanapki i pączki, a także usuwał puste naczynia – że nie chodzi o niego i nie może pozwolić, by jego prywatne niechęci czy obawy odbijały się na pracy, a więc i na urzędzie, któremu służy. Gdy takie dni dobiegały końca, wyłączał radio w swoim dziewięcioletnim, czerwonym polo i wyjątkowo szybko jechał drogą Álftanes do domu. Tu mógł wreszcie odetchnąć, choć z drugiej

strony czuł się źle i wstydził się, że pozwolił, by banda rozpieszczonych bachorów szydziła z jego pracy. Bachorów, które nie uznawały żadnych wartości, poza dotyczącymi ich samych, bo świat pozwolił, by interesowali się tylko czubkiem własnego nosa. Gdy parkował przed domem i gasił silnik, siedział jeszcze przez kilka sekund w spokoju, patrząc pustym wzrokiem na herb miasta Kópavogur znajdujący się na śmietniku przyczepionym do latarni przy ulicy. Przez moment miał ochotę ze wszystkich sił walnąć w kierownicę, ale tego nie zrobił.

*

Poczekalnia znajdowała się na górnym piętrze, na platformie służącej jednocześnie za łącznik między pokojami. Stanowiła spore udogodnienie dla dziennikarzy umówionych z prezydentem, była duża i zamknięta, oddzielona od pomieszczeń dla personelu oraz oficjalnych pokoi gości na niższym piętrze.

Hjörtur przyglądał się dłuższą chwilę dziennikarzom i uznawszy, że niczego im nie brakuje, zszedł po schodach. W korytarzu na dole stał opalony fotograf, który nie wiedział, dokąd iść. Hjörtur domyślił się, że mężczyzna dotarł już po tym, gdy pozostali dziennikarze przeszli do poczekalni, i postanowił wskazać mu drogę po schodach na górę. Mężczyzna nie zauważył, że Hjörtur zszedł do niego i rozglądał się wokół, aż jego wzrok zatrzymał się na drzwiach do łazienki w korytarzu. Po wielu latach pracy głos asystenta, jak to zwykle bywa u ludzi, którzy od lat zajmują się przyjmowaniem gości, nabrał łagodnego i zdecydowanego brzmienia, a swoją najczystszą formę przybierał w chwili, gdy *ex officio* nakazywał gościom prezydenta trzymać się określonych miejsc, lub gdy mówił im, by czegoś nie robili. „Czy mógłbym uprzejmie poprosić cię, żebyś skorzystał z łazienki w poczekalni, na górnym piętrze, a nie tutaj?” Przy takich okazjach Hjörtur zawsze delikatnie się uśmiechał

w wyćwiczony sposób: łączył obie wargi i używając mięśni, przyciskał górną wargę do dolnej, wysuwając nieco brodę do góry. Chodziło o to, by gość odebrał jego słowa jako polecenie, którym przecież były. Patrzył potem przyjaźnie na intruza i kilka razy kiwał głową, tak jakby pomysł ten pochodził właśnie od gościa i nie był nakazem ze strony asystenta, tylko ich wspólnym ustaleniem. Niczym narzuconym, raczej czymś przyjemnym.

Dwóch pracowników pchało przed sobą wózek, na którym ułożone były niewiarygodnie czyste, białe talerzyki. Następnie przynieśli z kuchni kieliszki. Gosposia otworzyła paczkę serwetek, których goście używali potem do otarcia kącików ust oraz wytarcia rąk po poczęstunku, i w pośpiechu wyjmowała z nierdzewnych chłodziarek butelki białego wina, ustawiając je na stole. W czasie przyjęć w Bessastaðir kelnerzy mieli przewieszone przez rękę białe serwety, donosili wino z kuchni i czujnie chodzili po sali, oferując gościom kieliszek lub dolewkę wina. Uśmiechali się zgodnie z instrukcjami, ale ich twarze nie wyrażały żadnych emocji.

W czasie przyjęć asystent regularnie kontrolował łazienki w Bessastaðir. Ta przy drzwiach przeznaczona była dla gości, jednak główna znajdowała się w korytarzu łączącym wejście z salą przyjęć. Jedną z największych wątpliwości asystenta i pozostałego personelu było to, ile rolek papieru powinno się znaleźć w każdej z łazienek i gdzie powinno się je umieścić. Ważne, by goście mieli do dyspozycji odpowiednią liczbę rolek. Za mało rolek może wyprowadzić gości z równowagi, z kolei za dużo może świadczyć o niedbalstwie i bałaganie, które nie przystoją urzędowi prezydenta. Wniosek był taki, że główna rolka, a więc ta, która wisi obok klozetu, zawsze musi być cała. Personel miał ją regularnie zmieniać, by uniknąć sytuacji, w której gość, znajdujący się w niezręcznej i potencjalnie niebezpiecznej sytuacji, musi się podnosić z muszli klozetowej i sięgać po nową rolkę. Ponadto postanowiono zawiesić

w łazienkach, na ścianie naprzeciw kabiny, półki oraz szafki z przeszklonymi drzwiami i umieścić w nich trzy dodatkowe rolki. Uspokoi to gości, którzy zauważą, że nie tylko mają do dyspozycji nową rolkę papieru zawieszoną obok muszli, ale także trzy dodatkowe w szafce, na wszelki wypadek.

Łazienki zostały dokładnie posprzątane wcześniej tego samego dnia, więc asystent zajrzał tylko przez uchylone drzwi i upewnił się, że wszystko jest, jak być powinno. Ani jednej plamki, śnieżnobiałe i złożone ręczniki leżały w koszyku, umywalki i lustra lśniły, a obok kranów stały świeżo napełnione dozowniki na mydło. Hjörtur widział oczyma wyobraźni, jak członkowie chińskiej delegacji wracają zadowoleni do sali po bardzo przyjemnym pobycie w łazience. Przez chwilę zastanowił się, czym w tym momencie zajmuje się Elsa, i wyobraził sobie, że z pewnością przygotowuje kanapki, robiąc to z taką samą sumiennością, z jaką wykonuje swoje pozostałe obowiązki.

Hjörtur doceniał w Elsie zarówno to, że twardo stąpa po ziemi, jak i jej swobodę. Była młodszą od niego o czternaście lat samotną matką z dwójką dzieci. Hjörtur marzył często, że on i Elsa lecą razem z parą prezydencką z oficjalną wizytą do jakiegoś dużego europejskiego miasta, np. Kopenhagi albo Londynu. Mają wolny dzień, albo kilka wolnych dni, i spędzają razem czas, chodzą na spacery, do muzeów, piją razem herbatę, a może nawet kawę i nie mają żadnych obowiązków.

Od ostatniego wyjazdu zagranicznego Hjörtura minęło sześć lat. W loterii zorganizowanej z okazji dziesięciolecia działalności drogerii w Ármúla wygrał nagrodę główną – podróż na Wyspy Kanaryjskie dla dwóch osób. Najpierw bezskutecznie próbował wyjaśnić pracownikom biura, że zamierza wykorzystać tylko z jeden z biletów, a potem w samolocie musiał siedzieć obok dziewięćdziesięciolatka, który przez cały czas pił alkohol i gapił się na siedzenie przed sobą.

Zabrał ze sobą w podróż mnóstwo książek – powieści, opracowania naukowe na temat reformacji na Islandii, a także zbiór wspomnień ludzi, którzy znali Baden-Powella. Marzyło mu się, by wykorzystać czas i dobrą pogodę na Teneryfie na relaks i lekturę. Przy odbieraniu nagrody wpadła mu w ręce broszura z opisem hotelu i ofertą rozrywki na wyspie. Obejrzał zdjęcia wielkiego, pięknego basenu i wyobraził sobie, jak chłodzi się w nim, odpoczywając po lekturze na słońcu. Niestety, gdy pierwszego dnia pobytu chciał rozłożyć się na leżaku z dwiema książkami pod pachą, robotnicy akurat wymieniali drabinki i kładli płytki na dnie basenu. Woda była spuszczona, a przez cały dzień słychać było łoskot pracujących maszyn .

Próbował udawać, że tego nie zauważa. Każdego dnia budził się wcześnie i jadł lekkie śniadanie w hotelowej restauracji. Potem wracał do pokoju, brał prysznic i spędzał resztę dnia na czytaniu, siedząc na leżaku obok hotelowego parkingu, a przerwy robiąc tylko na picie i zajadanie świeżych owoców. Program rozrywkowy, organizowany każdego wieczoru w sali na parterze, kierowany był raczej dla ludzi starszych od asystenta. Trzeciego wieczoru na wyspie oglądał faceta w cylindrze, zabawiającego grupę duńskich emerytów ustawionych w kolejce jak dzieci, które muszą iść siusiu. Wolał więc wieczorami wybrać na spacery po wyspie i oglądać ulicznych artystów żonglujących płonącymi przedmiotami i rysowników szkicujących karykatury młodzieży, a przed snem zjadał jeszcze coś z bufetu w hotelu.

*

Asystent zastanawiał się czasem, dlaczego Elsa od samego początku chętnie spędzała z nim czas w siedzibie prezydenta i dlaczego to właśnie do niego, a nie kogoś innego, zwracała się z prośbą o fachowe rady. Niekiedy pozwalał sobie na myśl, że być może uważa go za solidnego, niezawodnego

i interesującego człowieka. Nie rozumiał przy tym, dlaczego większość pozostałych pracowników nie zwraca większej uwagi na pracę gospodyni i nie przypomniał sobie, by prezydent kiedykolwiek z nią rozmawiał. Gospodyni często oferowała Hjörturowi filiżankę herbaty i prosiła, by usiadł z nią na ławce w jednej z oficyn w Bessastaðir, tej wychodzącej na południe, podczas gdy ona wypalała papierosa. Wielokrotnie odczuwał w sobie niemal niekontrolowaną potrzebę wyrażenia, jak bardzo ją ceni, zarówno jako pracownika, jak i człowieka, i z jaką przyjemnością spotyka ją również po pracy; że zaprosiłby ją chętnie do teatru, na koncert do Salurinn w Kópavogur albo na krótki spacer. Jednocześnie myśli te napawały go przerażeniem. Zastanawiał się, jak ubrać pomysły w słowa, ale za każdym razem wyobrażał sobie, że musiałoby się to skończyć katastrofą. Doszedł więc do wniosku, że lepiej nic nie mówić. Chciałby opuścić ciało i z dystansu spojrzeć na siebie wyznającego Elsie uczucia. Pewnie doznałaby szoku, ale zachowałaby twarz i uprzejmie podziękowała. Widziałby jej spojrzenie po tym, jak wysłuchała tak odważnego wyznania od kolegi z pracy i dostrzegłby w nim wstyd, że zbytnio otworzyła się przed człowiekiem, dla którego po prostu chciała być miła. Czasem myśli wymykały mu się spod kontroli i spekulował, jak często Elsa musiała dawniej, zwłaszcza jako nastolatka, ostrożnie i uprzejmie jak to tylko możliwe, uwalniać się od mężczyzn, którym okazywała sympatię. W swojej dobroci okazywała im zainteresowanie, bo nikt inny nawet ich nie zauważał, a oni natarczywie sądzili, że pisany jest im wspólny los. Hjörtur obawiał się, że zburzy harmonię panującą między nimi. Był przekonany, iż zdradzając swoje uczucia, wywoła w koleżance opór, i stworzy dystans, który trudno będzie później zmniejszyć.

*

Hjörtur regularnie zaglądał do poczekalni, wchodził po schodach na górę, rozglądał się z platformy i po pokojach.

Poprosił uprzejmie jednego z mężczyzn, z kręconymi włosami i w polarze, by opuścił pokój, który urządzono jak dziewiętnastowieczny gabinet ze szklanymi gablotami zawierającymi przedmioty o historycznym znaczeniu. Asystent wiedział, że spora część jego obowiązków polega na tym, że zawsze musi być do dyspozycji. Stopniowo Hjörtur przyzwyczaił się do tego, że ciągle jest w gotowości, musi uważać na wszystko i wszystkich i wielokrotnie sprawdzić, czy wszystko jest tak, jak być powinno. Gdy zaglądał do poczekalni, na jego twarzy malowała się zrozumiała, cicha obawa, nie przed czymś konkretnym, ale przed tym, że gdzieś coś jest nie tak, jak go nauczono, by było.

Sekretarz prezydenta zaprosił asystenta do swojego gabinetu i gdy Hjörtur zapewnił go, że w poczekalni są już przedstawiciele wszystkich mediów, sekretarz powiedział, że w sali recepcyjnej wszystko jest już gotowe. Wystarczy tylko, by Sigurbjörn odkurzył salę ostatni, czwarty raz. Sekretarz wstał zza biurka, stanął przed wielkim lustrem na ścianie i pokiwał głową na boki. Jego gęste włosy wyglądały jak porośnięte liśćmi gałęzie drzew. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i założył białe, jedwabne rękawiczki. – W takim razie kanapki podamy za jakieś pięć minut. Prezydent się przebiera.

Asystent przeszedł szybko do sali przyjęć i zobaczył, że jego współpracownik, który mu pomachał, właśnie wyłączył odkurzacz z gniazdka i wyniósł go z sali. Pomieszczenie aż lśniło, było nienagannie czyste, a po wyniesieniu odkurzacza w sali zapanowała cisza. Hjörtur rzucił okiem na śnieżnobiały obrus rozłożony jak zawsze na podłużnym stole w końcu sali. Wszystkie rogi leżały idealnie, a krawędzie zwisały dokładnie pięć centymetrów nad podłogą. Wielki dywan leżał równo na imponującym parkiecie z brazylijskiego dębu, lśniącym z daleka jak pokrywa lodowca. Bycie przedstawicielem najważniejszego urzędu według konstytucji islandzkiej, asystentem głowy państwa,

to wielki zaszczyt i choć Hjörturowi często wydawało się, że praca ta jest dla niego zbyt trudna i wymagająca, nigdy nie pomyślał, by ją rzucić. Zaprzeczyłoby to wszystkim wartościom, które Hjörtur tak wysoko cenił. Wiedział, że i jego brat, i wielu innych, dziwili się, dlaczego przez tyle lat nie znalazł sobie innej posady. Jak to możliwe, by przez ponad dwadzieścia lat pracować z takim samym oddaniem w miejscu, które wymaga od personelu tylu osobistych poświęceń. Ktoś otworzył duże okno, zrobił się przeciąg, zasłony fruwały we wszystkie strony, a w powietrzu uniósł się silny zapach detergentów. Hjörtur pomyślał, ile to już razy przyglądał się temu pomieszczeniu. Z zamkniętymi oczami widział je puste, bez ludzi i wyposażenia, a potem stopniowo napełniał życiem, ustawiając meble, zawieszając ciężkie, czerwone zasłony, rozwijając na parkiecie dywan, zapełniając szafy książkami, jedna ciasno przy drugiej, ustawiając lampy, otwierając pianino i rozstawiając wszystkie drobne przedmioty należące do prezydenta dość swobodnie w określonych miejscach.

*

Gospodyni zdjęła folię z tac z kanapkami, wycisnęła ją i zgniotła w dłoniach, a potem wrzuciła do stalowego pojemnika pełnego dużych plastikowych toreb. Drzwi do kuchni otworzyły się i Hjörtur wszedł do środka, jak zawsze kulejąc lekko na prawą nogę. Głośny śmiech dobiegający z poczekalni ucichł, gdy drzwi się ponownie zamknęły. Asystent rzucił okiem na kanapki i zauważył, że Elsa wybrała takie, które robią wrażenie, ale nie świadczą o próżności zamawiającego. Przyglądała mu się i już chciała się odezwać, gdy drzwi do kuchni znowu się otworzyły i do środka weszło dwóch pracowników prezydenta. Rozmawiali krótko z Hjörturem, a potem jeden za drugim wyszli z kuchni, niosąc tace z kanapkami do głównej sali.

Trzy minuty przed oczekiwanym przybyciem pierwszych gości, przedstawicieli Islandzkiej Izby Gospodarczej i biznesu, wszystko w Bessastaðir było już przygotowane. Hjörtur po raz szósty wszedł na piętro i poinformował dziennikarzy, że pierwsi goście oczekiwani są lada chwila oraz wyjaśnił im, jak mają się zachować w czasie powitania. Poprosił, by nie zakłócali niepotrzebnie uroczystości, ani nie niepokoili gości. Dziennikarz telewizyjny z przebarwieniami na policzkach nadal rozmawiał z fotografem i nie zwracał uwagi na słowa Hjörtura. Piękna kobieta z mikrofonem zapytała, kiedy będzie można przeprowadzić wywiad z prezydentem, czy chiński minister wygłosi przemówienie, a potem dziennikarze wstali i chwycili dyktafony.

Asystent ponownie zszedł na dół, otworzył drzwi wejściowe i wyjrzał na podjazd. Niebo nieco się przejaśniło i promienie słońca opadały na ziemię przy kościele. Na drodze nie było widać żadnych pojazdów, za to z oddali słychać było krzyki kulika. Na szczycie masztu powiewały flagi Islandii i Chin. Podmuch wiatru poruszył włosami asystenta, gdy ten odwrócił się w stronę Álftanesbær. Przygryzł lekko dolną wargę, rozejrzał się wokół siebie i zawrócił. Szybkim krokiem przeszedł do pomieszczenia dla personelu i z kieszeni płaszcza wyciągnął mały aparat fotograficzny. Wyszedł ponownie, znowu się rozejrzał, przyłożył aparat do prawego oka i zmrużył lewe. Nie słyszał, że na korytarzu stanęła Elsa. Milczała, patrząc, jak przygotowuje aparat. Miała półotwarte usta, a jej oczy błyszczały. Westchnęła głęboko, gdy zrobił zdjęcie. Schował aparat do kieszeni i na nowo spojrzał na grę świateł przy kościele.

Przełożył Przemysław Czarnecki

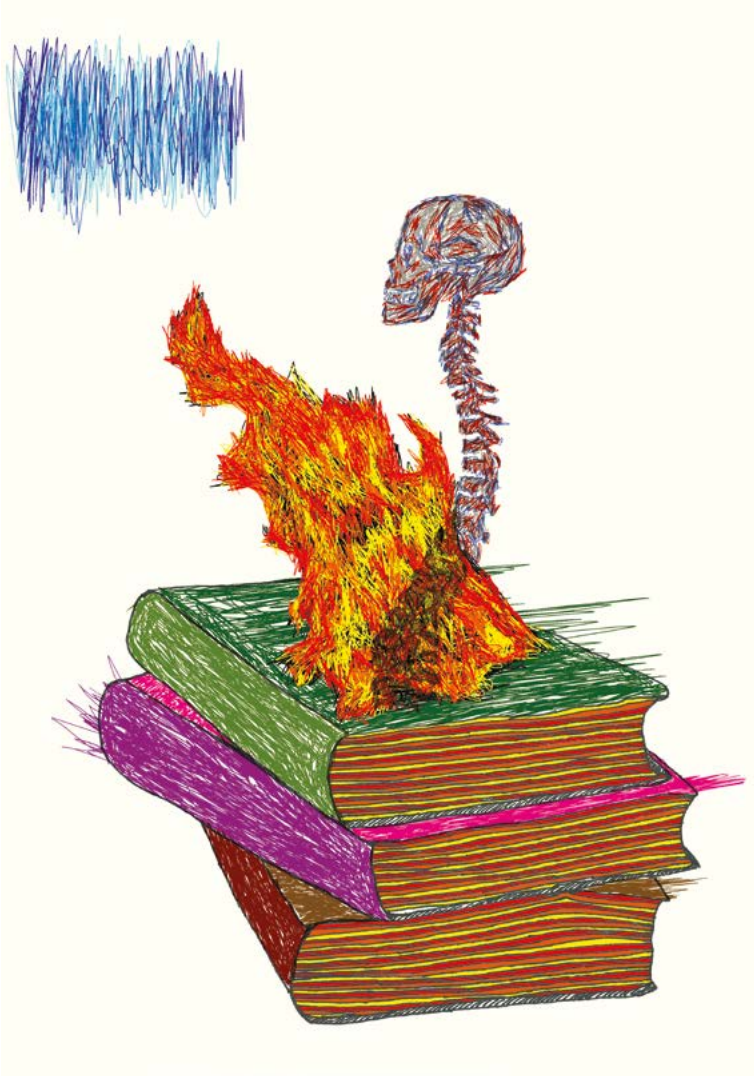

PIOTR PAZIŃSKI

Wyprowadzka

Kiedy przyszedłem, wóz meblowy przed domem państwa Sz. był już w połowie załadowany. Pod częściowo rozsuniętą płócienną budą odbywała się nerwowa kotłowanina, dwaj mężczyźni w roboczych drelichach przerzucali ciężkie przedmioty i kładli jedne na drugich, ani chybi w tym celu, żeby upchnąć ich jak najwięcej. Kiedy coś nie szło, przerywali pracę, a z wnętrza budy dobiegały odgłosy narady. Nie trwała długo, mężczyźni najwyraźniej mieli wprawę, dlatego zaraz wracali do przenoszenia i układania. Rozmowa cichła, w jej miejsce pojawiało się nieśmiałe szuranie, jakby ktoś pocierał o siebie kawałki drewna. Potem jednak prędko narastał harmider, buda zaczynała trzeszczeć w posadach, a coraz soczystszym przekleństwom tragarzy wtórował głuchy łoskot, gdy któryś z mebli wyleciał im z rąk i uderzył o blaszane dno paki.

Obserwowałem ich przez dobrą chwilę, myśląc, czy nie należałoby im pomóc, albo przynajmniej wydać jakieś polecenie. Wydawało mi się, że miotają się trochę bez ładu i składu. Kiedy w wozie znowu zapadła cisza, podszedłem bliżej i niepewnie uchyliłem krawędź plandeki. Siedzieli na stole, który zajmował sporą część budy, dopiero za nim piętrzyła się aż do sufitu piramida szaf, stolików i krzeseł, wzniesiona na wywróconym do góry nogami tapczanie. Tylna część paki była pusta. Zaskoczyło mnie to i rozgniewało, sądziłem, że samochód jest wypchany po brzegi, działają tu przecież od samego świtu. A oni jakby nigdy nic robią sobie przerwę i jedzą kanapki! Już chciałem wycofać się demonstracyjnie, gdy jeden z tragarzy, ten wyższy, odezwał się niespeszony:

– Uszanowanie!

Niższy wydał z siebie coś w rodzaju szyderczego chichotu, nie powiedział jednak ani słowa.

Odkłoniłem się grzecznie i wydukałem bez sensu:

– Cześć pracy!

– Cześć i chwała! – odpowiedział wyższy i zasalutował otwartą dłonią, a potem wrócił do śniadania.

Wciąż zły, ale też ośmielony, wetknąłem głowę do budy. Widziane z bliska meble, paki i skrzynie tworzyły zwartą całość, zbitą masę niepotrzebnych i wycofanych z życia rupieci. Nie wyobrażałem sobie, jakim sposobem tragarze rozdzielą ją później na poszczególne przedmioty, żeby je wydobyć ze środka, zacząłem wręcz podejrzewać, że nic nie zrobią i zostawią wszystko tak, jak załadowali. Poczułem żal, jakby na moich oczach czyjś dorobek ulegał ostatecznej zatracie, tymczasem oni nadal siedzieli, zupełnie obojętni, niby stróże, którzy bronią dostępu do składnicy złomu. Postanowiłem wybić ich z dobrego samopoczucia i spróbowałem wspiąć się na pakę. Szło mi dosyć ślamazarnie, ale też nikt nie zamierzał mi tego ułatwiać. Niższy tragarz nucił pod nosem jakąś melodię, udając, że nie dostrzega, jak wiszę na ramie ciężarówki z jedną nogą w powietrzu. Wyższy przeciwnie, spojrzał mi prosto w oczy i się skrzywił. Jakiekolwiek prawdopodobieństwo, że mógłbym poznać tajemnice jego fachu, było mu wyraźnie niemiłe. Pewnie dlatego postanowił potrzymać mnie w niepewności, bo zanim coś rzekł, sięgnął wpierw po butelkę oranżady, odkorkował i opróżnił szerokim haustem. Wyglądał na zadowolonego. Beknął i uwolniwszy się od nadmiaru bąbelków, zeskoczył na ziemię i powiedział lekko:

– Co pan taki zdziwiony? To może wszystkiego jedna trzecia. Reszta jest na górze – uniósł palec w kierunku nieba.

Stanąłem obok niego. Teraz mogłem lepiej mu się przyjrzeć. Był rzeczywiście wysoki, wręcz tykowaty. Miał przeraźliwie długą szyję jak u oskubanego indora, czerwoną twarz i jasne włosy ostrzyżone na krótkiego jeża. Spłowiały i pocerowany drelich, uszyty dla człowieka o wiele tęższego, wisiał na nim jak worek. Nieczęsto zdarza się widzieć robotnika w tak niedopasowanym ubraniu. Musiał je z kogoś zdjąć, pomyślałem i natychmiast zrobiło mi się nieswojo.

– Długo to potrwa, to wynoszenie? – chciałem, żeby w moim pytaniu pobrzmiewał odcień pretensji.

On puścił to mimo uszu. Nie miałem wątpliwości, że niejeden już raz wysłuchiwał skarg klientów i zdążył się przyzwyczaić.

– Najmniej do wieczora – odparł flegmatycznie. – Jest jeszcze masa roboty, ale proszę się nie niepokoić, uwiniemy się z tym jak najszybciej, żeby panu czasu nie zabierać. Znamy się na tych rzeczach.

– Nie wątpię – westchnąłem ciężko i żeby dodać dramatyzmu mojemu westchnieniu, oparłem się o ścianę.

– No właśnie, sam pan widzi – ucieszył się, nie wiedzieć czemu. Przypuszczalnie doszedł do wniosku, że jestem zrezygnowany i pozwolę mu się wygadać. Miał ochotę podzielić się swoim życiowym doświadczeniem. – Gromadzą, gromadzą, jakby planowali żyć wiecznie! Masa niepotrzebnych gratów, zbiory, kolekcje, tak na to mówią. Ładne słowa, tyle że później nie wiadomo, co z nimi zrobić. Z tymi kolekcjami, znaczy się. Gdzie wynieść, jak popakować, żeby się nie zniszczyło, bo szkoda, a nuż ktoś się zgłosi, przypomni sobie, zechce odzyskać? A spadkobiercy przychodzą często dopiero po latach, rzadko kiedy ktoś pojawia się od razu, ludzie z księżyca nie spadają. Więc my nie możemy tego ot tak, zniszczyć, nie wolno. Zabrać też nie bardzo wypada, bo jednak nie twoje. Zresztą to wszystko jest bez większej wartości, nikomu na nic się nie zda, kto by chciał cudze pamiątki, nie dość mu własnych, co? Ale na śmietnik też nie pójdzie, szkoda by było, to jednak pamiątka po kimś, jakby nie patrzeć. Co innego mieszkanie, wtedy nikt się nie cacka. Powiem panu, kiedy jest dobra lokalizacja, stare budownictwo, najlepiej przedwojenne, to i kochana babcia staje się dla wnuczków zawalidrogą. Nie mogą się doczekać, pan rozumie, śpieszy im się, więc krążą dookoła jak wilki...

Zwiesił głowę, chwilę pomedytował i odezwał się znowu.

– Ale najgorzej, jak nie ma żadnej rodziny, kuzynów, krewnych, nawet przyszywanych, i wiadomo, że nikt się nie zgłosi. Dla nas to jest wtedy najgorzej!

– Dla nas?!

Od pewnego czasu go nie słuchałem, ale ostatnie zdanie dotarło do mnie ze zdwojoną siłą. Jego egotyzm był niepojęty.

– Dla nas – powtórzył, nie reagując na moje wzburzenie. Zrozumiałem, że sprawę ma gruntownie przemyślaną i zdania nie zmieni. – Bo człowieka nie ma, a rzeczy są.

Wypowiedział to namaszczonym tonem, niby sentencję, w której zawarto ostateczną prawdę o naszym świecie. Nie pozostawało mi nic innego, jak mu przytaknąć. Chyba nie uwierzył w szczerość tego gestu, bo zmarszczył czoło i na moment zamilkł. Widziałem, że zastanawia się, jak mnie przekonać. Wreszcie pogrzebał w kieszeniach kombinezonu i wyciągnął stamtąd plik karteczek zapisanych drobnym maczkiem. Wtedy odzyskał rezon.

– O proszę, to z ostatniego tygodnia. Mieszkanie w starej kamienicy, zupełnie jak tutaj. Samotna osoba w podeszłym wieku. Umarła. Człowiek zachodzi w głowę, jak udało jej się tyle zebrać. I gdzie to wszystko się pomieściło? Samych ubrań trzy szafy!

Zerkał do swoich notatek, żeby się nie pomylić i nie podać mi innej liczby. Dla pewności odginał kolejne palce:

– A to dopiero początek. Meble, obrazy, antyki, bibeloty... Dwa wozy meblowe, cztery kursy, osiemnaście skrzyń, do tego pudła, ładowanie od rana do wieczora, cała logistyka... Panie, zwariować można! I jeszcze pełno książek, niektóre by pana zainteresowały, rzadko widuje się takie książki. Ale książki poszły pierwsze...

Gadał tak dalej, nie sposób było mu przerwać, ale ja, mimo że miałem powody do irytacji, niespodziewanie poczułem do niego pewną sympatię. Olśniło mnie, że w jego

języku każdy przedmiot, żywy czy martwy, wychodził z domu na własnych nogach, jakby on sam nie miał w tym żadnego udziału i tylko ułatwiał im rozpoczęcie wędrówki. Ujrzałem paczki, toboły i walizki zgromadzone przed bramą, które zamiast spokojnie zaczekać na załadunek, wykorzystują moment nieuwagi tragarzy, żeby rozpierzchnąć się po całym mieście. Było to tak dziwne, że odeszła mi ochota na jakąkolwiek dyskusję. Wystarczało zapewnienie, że obydwaj (bo przecież był tu również jego współpracownik) uwiną się z robotą do wieczora, załadują resztę gratów na ciężarówkę i odjadą w siną dal, a wtedy ja także będę mógł sobie pójść. Tymczasem, chociaż sprawa mieszkania sprzed tygodnia poniekąd mnie dotyczyła, znowu przestałem go słuchać. Gapiłem się przed siebie, nic nie widząc, później nawet zamknąłem oczy, a jego monolog o wyprowadzce dobiegał z daleka, jak niewyraźne echo opowieści pełnej znajomych szczegółów. Nie byłem pewien, czy chcę w niej pozostać, na szczęście tragarz nagle przerwał i zakomunikował gromko:

– No, do roboty, koniec fajrantu!

Potem zagwizdał, a gdy to nie pomogło, otwartą dłonią plasnął w brezentowy bok samochodu. Za plandeką coś zaszamotało, później tuż nad podłogą ukazały się czubki palców, jakby ich właściciel chciał wyjść na czworaka. Przeciągły gwizd, którym odpowiedział na sygnał, zabrzmiał nieprzyjemnie, zwiastując nadejście postaci nie wzbudzającej zaufania, co skądinąd miało okazać się prawdą.

Stanowił jawne przeciwieństwo pierwszego. Kiedy wygramolił się wreszcie z wozu i dołączył do towarzysza, okazało się, że sięga mu może do pasa. Miał przykry wygląd karła z okropnie długimi rękami i jajowatą głową, która wyrastała z nadspodziewanie szerokich ramion, znamionujących nielichą siłę. Z przodu całkiem łysy, z tyłu wyhodował imponującą czarną plerezę, której dopełnieniem były baki obrastające dużą część twarzy. W odróżnieniu od

chudzielca z jego wymemłanym drelichem, on ubrany był wręcz wzorowo. Błękitny uniform, a właściwie jego dziecięca wersja, leżał na nim jak ulał, świeży i wyprasowany. Także trzewiki miał wyglansowane i nawet jego plakietka firmy przeprowadzkowej (wyższy oczywiście jej nie posiadał) lśniła pełnią blasku, nosił ją na piersi jak cenny order. Wziąwszy to pod uwagę, musiałem przyznać, że choć tak wyraźna dysproporcja wzrostu powinna świadczyć raczej na korzyść wysokiego tragarza, czyniąc zeń naturalnego dowódcę, wcale nie było oczywiste, który z nich jest tutaj szefem. W każdym razie malutki człowieczek nie wyglądał na pomocnika.

Istniała między nimi jeszcze jedna różnica. O ile tykowaty uwielbiał monologować (opłakanych skutków jego gadulstwa miałem doświadczyć tego samego dnia), karzeł nie mówił nic, a przynajmniej nie mówił nic do mnie. Prychał tylko, warczał, od czasu do czasu stawał przede mną i przewracał oczami, okazując w ten sposób swoją pogardę.

Skoro już się zjawiłem, wypadało obejrzeć mieszkanie. Tragarze wyraźnie się ociągali, chyba nie chciało im się wdrapywać na piętro i gotowi byli posłać mnie przodem, byle tylko jeszcze trochę bezczynnie posiedzieć.

– Chce pan zobaczyć? Brama jest otwarta, drzwi też – rzucił mój pierwszy i jedyny rozmówca. Był wyczerpany po długiej przemowie. – My zaraz przyjdziemy – dodał uspokajająco.

Jego kolega tylko zachichotał.

Na górze okazało się, że drzwi są zamknięte, musiałem więc na nich zaczekać i przez wąski lufcik na klatce schodowej obserwowałem, jak uwijają się przy samochodzie. Na trotuarze stało jeszcze kilka mniejszych paczek i tłumoków, ostatni widoczny ślad przedpołudniowego etapu wyprowadzki, ale i one w mgnieniu oka wylądowały na pace. Potem obydwaj gdzieś znikli i minął przynajmniej kwadrans, zanim usłyszałem ich na schodach.

Tykowaty wspinał się i głośno sapał, każdy krok sprawiał mu wyraźną trudność. Gdy dotarł do drzwi, był cały mokry. Nie miałem pojęcia, jak może wykonywać tak ciężką pracę. Karzeł znowuż, lekki jak piórko, przeskakiwał swobodnie ze stopnia na stopień, po czym zbiegał w dół i jeszcze raz odbywał tę samą drogę.

– A, zamknięte, pan czekał – zmartwił się tykowaty, kiedy wreszcie udało mu się zaczerpnąć powietrza. – Jak może być, że zamknięte? Jestem pewien, że nic nie zamykałem, pewnie same się zatrzasnęły. Zaraz, gdzie ja mam klucze...

Nie brzmiało to wszystko szczerze, odniosłem wrażenie, że mężczyzna coś ukrywa, albo nie chce przyznać, że są sprawy, nad którymi nie umie zapanować. Z drugiej strony, raczej nie wyreżyserował tej scenki i chyba naprawdę nie wiedział, jak wejść do mieszkania. Otarł rękawem pot z czoła i spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem.

– Może zostały w środku, cholera. Pan nie ma zapasowych, co?

Nie miałem. Państwo Sz. nigdy mi ich nie dali. Przyjrzałem się drzwiom. Wątpliwe, żeby się zatrzasnęły, ktoś musiał je zamknąć.

– Przecież panowie jakoś się tutaj wcześniej dostali? Może pański – zawahałem się – może pański kolega ma?

Rozejrzeliśmy się za małym tragarzem. Siedział na półpiętrze, świadom, że go szukamy. Wpierw robił głupie miny, ale kiedy upewnił się, że zdołał wytrącić nas z równowagi, kilkoma długimi susami pokonał dwanaście schodków, wyjął z zanadrza klucz i na poły triumfalnym, na poły szyderczym gestem zaprosił, byśmy weszli do środka.

Zostawiłem ich w korytarzu i przeszedłem się po pokojach. Tworzyły amfiladę, a właściwie szereg połączonych pomieszczeń, z których ostatnie przylegało znów do pierwszego, tak żeby dało się chodzić w kółko. Zrobiłem kilka okrążeń, uważnie lustrując pozostawiony dobytek i odtwarzając w myślach wygląd mieszkania takim, jakie je niegdyś

zapamiętałem. Wbrew temu, co opowiadał chudzielec, było poważnie ogołocone. Brakowało wielu przedmiotów, znikła większość mebli, nie było ani łóżek, ani szaf, ani pianina, tu i ówdzie stał tylko jakiś stolik czy pojedyncze krzesło. Z pewnością nie dali rady zmieścić wszystkiego na jednej ciężarówce, nawet upychając na siłę. Nie wiedziałem, ile kursów zdążyli zrobić od rana, sądząc po tempie, w jakim się poruszali, ten był dopiero pierwszy, nie mogłem jednak wykluczyć, że część rzeczy wywieźli wczoraj, w przeddzień planowanej wyprowadzki, kiedy nikt ich nie pilnował.

Jakiekolwiek pytanie mijało się z celem – mały ze mną nie rozmawiał, duży i tak by się wyparł, albo palnął kolejną mówkę, przekonując, że rzeczy same wyszły z mieszkania, a oni nie mieli z tym nic wspólnego. Już wcześniej mi się nie podobali, zwłaszcza mały, teraz jednak, widząc, jak kręcą się w sieni, nabrałem podejrzeń co do ich uczciwości i zacząłem sobie wyrzucać, że przyszedłem zbyt późno, chociaż państwo Sz. nie mieli przecież żadnych specjalnych życzeń. Ot, miałem po prostu w wolnej chwili przyjść i zerknąć, jak sprawy się mają. Żeby trochę się uspokoić, ruszyłem na kolejny obchód. Nie było to przyjemne, czułem bowiem, że ktoś stale mnie śledzi. Dużego o to nie posądzałem, był zbyt leniwy i wyżywał się przede wszystkim w gadaniu. Co innego karzeł. W oddali raz i drugi zamajaczyła jego sylwetka. Nie mogłem się zdecydować, czy faktycznie podąża za mną, czy może pochłonięty własnymi sprawami nie zwraca na mnie uwagi. Jego towarzystwo tak bardzo mi nie odpowiadało, że zacząłem udawać sam przed sobą, że karła tu nie ma i może nawet nigdy nie było.

Właśnie wtedy zobaczyłem go na końcu amfilady, mocował się z jakąś komodą i wyciągał z niej szuflada po szufladzie i metodycznie przeglądał zawartość. On także mnie spostrzegł, wyszczerzył zęby i posłał jedno ze swoich jadowitych syknięć. Niebawem rzeczywiście znikł, dołączył do wielkoluda, tamten do niego mówił, a mały odpowiadał

monosylabami. Potem szczęknęły drzwi i coś huknęło na schodach, chyba szarpali się z masywnym przedmiotem, bo znów doleciały mnie ich przekleństwa, ubarwiane złośliwym chichotem karła. Trwało to trochę, nim głosy się oddaliły i zaległa cisza. Rzuciłem się do okna: byli na dole. Tykowaty, zgięty w pół, tak że jego głowa nieledwie dotykała chodnika, taszczył na plecach komodę, zapewne tę samą, w której wcześniej grzebał jego współpracownik. Karzeł szedł obok, nienaturalnie wyprostowany, z plikiem papierów pod pachą. W prawej ręce dzierżył kij od szczotki, wymachiwał nim na wszystkie strony niczym dyrygent orkiestry wojskowej. Najwyraźniej poganiał i sztorcował towarzysza, który ledwo powłóczył nogami, brakowało tylko, by wskoczył mu na grzbiet i wlazł do komody. Byłem przekonany, że zaraz to uczyni, a wtedy chudzielec padnie rozpłaszczony na trotuarze. Bynajmniej nie chciałem tego, chociaż perspektywa, że nie usłyszę już rozwlekłego gadania, wydała mi się całkiem kusząca, moją obawę budził tylko fakt, że po śmierci dużego tragarza na placu boju zostałby jeszcze ten mniejszy, a on (skąd mogłem mieć pewność, że tak się nie stanie?) gotów także i mnie zapędzić do roboty.

Poczułem dreszcz na plecach i zaraz pożałowałem tykowatego tragarza, któremu przed chwilą życzyłem nędznej śmierci. Wówczas coś zupełnie nowego przykuło moją uwagę: książki i czasopisma złożone w dwóch sąsiadujących ze sobą, dosyć ciemnych i ciasnych pokojach, ulokowanych w bocznej odnodze mieszkania. Poprzednio nie zapuszczałem się tutaj, teraz nogi zaniosły mnie same. Książek było całe mnóstwo, leżały w wysokich i chybotliwych pryzmach, zajmując prawie całą wolną przestrzeń. Zniesiono je tutaj z innych pokojów, to nie ulegało wątpliwości. Klitki nie nadawały się na bibliotekę, nie było tu ani regałów, ani dobrego oświetlenia, mogły co najwyżej służyć jako prowizoryczny, tajny magazyn, niegdyś zaplecze

biblioteki, które teraz, w momencie likwidacji domostwa, wchłonęło cały wielki księgozbiór.

Widok książek tak bardzo mnie ucieszył, że gotów byłem zapomnieć o karle i maltretowanym tragarzu. Mógłbym spędzić tu cały tydzień i w ogóle nie wychodzić, a to dlatego, że o bibliotece państwa Sz. i jej bogactwie opowiadano legendy. Słyszało się o cennych inkunabułach i licznych pierwodrukach z dedykacjami sławnych autorów, a także o książkach może mniej atrakcyjnych, które jednak ze względu na ekslibrisy i pieczątki nieistniejących bibliotek, a zwłaszcza adnotacje na marginesach, przedstawiają dla zbieracza sporą wartość sentymentalną. Państwo Sz. byli ich koneserami, zdarzało im się kupować książki w antykwariatach wyłącznie dla owych notatek, sporządzonych ręką jednego albo kilku poprzednich czytelników. Treść tych zapisków była ważniejsza od samej książki, niekiedy banalnej i nie wartej większego zachodu. W pełni podzielałem ich pasję, ale nie mogłem się przemóc, żeby mazać po własnych egzemplarzach, co dla pani Sz. było powodem autentycznej zgryzoty, sądziła bowiem, że nie tylko pozbawiam przyszłych zbieraczy należnej im radości, ale nie dbam o to, żeby coś po sobie zostawić. Jakbym zamierzał żyć wiecznie! Powtarzała to wielokrotnie, a jej napomnienia zadźwięczały mi w głowie, kiedy wszedłem do mieszkania, a może i wcześniej, kiedy słuchałem i jednocześnie nie słuchałem monologu tykowatego gaduły.

Jednym słowem, nabrałem ochoty na porządne myszkowanie, wiedziałem jednak, że powinienem nadzorować tragarzy. Dlatego ogromnym wysiłkiem woli przekonałem sam siebie, że mogę co najwyżej rzucić okiem na jeden czy dwa tytuły. W tym celu ułożyłem się wygodnie na boku, żeby z takiej pozycji przyglądać się książkom. Nie zwalono ich ot tak na podłogę, ale pieczołowicie poukładano według półek, na których dotąd stały i gdzie mogły wrócić. Zrobił to pewnie sam gospodarz, tragarze nie mieliby takiego

szacunku wobec zadrukowanego papieru. Przypomniałem sobie rzeczy wrzucone byle jak na ciężarówkę. Gdyby to od nich zależało, biblioteka przeistoczyłaby się w skład makulatury. Tymczasem kolekcja państwa Sz. leżała wprawdzie na ziemi, ale nie w bezładnych stertach, lecz w równych rzędach wysokości człowieka. Dla wygody pozostawiono między nimi przerwy na szerokość stopy, może nawet dwóch, w każdym razie szerokie na tyle, że udało mi się wpełznąć do środka i przeczołgać kilka metrów. Ciasnota nie pozwalała, żebym przemieszczał się dalej, to jednak w zupełności mi wystarczyło, książki otaczały mnie ze wszystkich stron i gdybym wykonał jakiś gwałtowny ruch, cała misterna konstrukcja pana Sz. zawaliłaby się i wówczas to ja, a nie wysoki tragarz, zginąłbym marnie, przywalony kilkoma tonami papieru.

Już sobie wyobrażałem, jak mnie odkrywają: książki, na poły zbutwiałe, a pod nimi wyschnięte truchło nieznanego bibliofila. Nie wiem, czy państwo Sz. byliby zachwyceni, obydwoje przykładali ogromną wagę do czystości biblioteki i każdej wiosny, jeszcze przed równonocą, odprawiali w niej osobliwy rytuał. Nazywali to początkiem kalendarza. Wokół przybywało światła, a na podwórku rozpuszczały się ostatnie kupy brudnego śniegu, cały świat szemrał i budził się do życia, a państwo Sz., zamknięci w domu przez wiele dni, ostrożnie zdejmowali tomy z półek i przeglądali, wymiatając nagromadzony kurz i resztki jedzenia i badając, czy w ciągu ostatniego roku nie uległy jakimś uszkodzeniom: czy płótno na grzbiecie się nie przetarło i czy w grzbietach starszych egzemplarzy nie zalęgły się mole. To była prawdziwa obsesja pana Sz. Kartkował stronicę po stronicy i sprawdzał, czy nie pojawiła się gdzieś jakaś skaza, która w jego oczach dyskwalifikowałaby książkę. Czym innym były dlań cudze dopiski, te, jak wiadomo, pana Sz. niezwykle cieszyły, czym innym zatarcia i ukruszenia papieru, zwłaszcza ubytki w literach. Te bolały do żywego,

jakby chodziło o jego własne ciało. Takiej książce nie dawał drugiej szansy i zamykał ją w szafie, żeby przez pomyłkę nie wmieszała się między zdrowe. Znajomi państwa Sz. żartowali, że najchętniej zaciągnąłby w całym mieszkaniu ciemne kotary i nie wpuszczał słońca, przekonany, że dzienne światło nadweręża płócienną oprawę, co mogłoby doprowadzić do jakiejś poważniejszej katastrofy.

Ale to pani Sz. zajmowała się książkami staranniej i czulej. Pan Sz. przerzucał kartki, lecz co chwila odrywał się od tej roboty, odkładał tom na bok i brał następny. Pani Sz. inaczej, wpierw głaskała po grzbiecie, a książka zaczynała mruczeć jak kot. Potem pieściła każdą stroniczkę z osobna i zaglądała jej głęboko w oczy. Mimo protestów pana Sz. wynosiła je na balkon, żeby się wywietrzyły. Z ulicy balkon państwa Sz., zawieszony pod samym niebem, wyglądał w te dni jak gołębnik: książki stłoczone na poręczy jedna obok drugiej, każda z grzbietem wystawionym do słońca, którego pan Sz. skąpił im przez tyle miesięcy. Istniała obawa, że któraś zerwie się do lotu, ale pan Sz. czuwał i – jak utrzymywali oboje – nic podobnego się nie wydarzyło.

W tych dniach, wspominałem teraz, leżąc między pryzmami niewywietrzonych książek, państwo Sz. mieli w sobie jakąś niezwykłą siłę. Zdawało się, że czas im sprzyja, słońce czekało cierpliwie w górze, aż oni skończą swoje porządki, jakby bało się zniknąć za horyzontem. I właśnie ze względu na nich przyrzekłem sobie, że jeszcze tu wrócę i zostanę dozorcą ich biblioteki i każdego roku będę przeglądał, badał i wietrzył ich książki. Nie sądzę, by mieliby coś przeciwko temu.

Wpierw postanowiłem rozmówić się z irytującą dwójką. Spodziewałem się, że niebawem wrócą po kolejne rzeczy, nie chciałem jednak, by mnie szukali. Dla własnego spokoju założyłem, że nie wiedzą o istnieniu bocznego korytarza i dotąd nie natrafili na ślad biblioteki. Skupili się na sprzętach, to jasne, z ich punktu widzenia są cenniejsze,

nie należy zatem kusić losu i pozwolić, by wpół otwarte drzwi wzbudziły ich ciekawość. Dlatego kiedy tylko wypełzłem z biblioteki, starannie zamaskowałem przejście i znów przemaszerowałem przez całe mieszkanie, nie dając po sobie poznać, że trapi mnie coś więcej niż tylko niechlujnie prowadzone prace porządkowe. Nie wiem, jak długo siedziałem, a właściwie leżałem między książkami i co robiono pod moją nieobecność, tak czy inaczej w porównaniu z tajnym schowkiem pozostałe pokoje wydały mi się nieomal puste. Gdyby nie odciski mebli i jaśniejsze prostokąty na ścianach znaczące miejsca po zdjętych obrazach, można by dojść do wniosku, że poza książkami właściciele mieszkania nie posiadali niczego, a przynajmniej nic nie dotrwało do chwili, kiedy na powrót się pojawiłem.

Przybyło za to papierów: gazety, czyste i pokreślone maszynopisy, jakieś akta w tekturowych teczkach powyciągane z szaf, koperty z masą urzędowych druków, świstków i starych rachunków. Wszystko walało się rozwłóczone, nie tylko w mieszkaniu, także na schodach. W przeciwieństwie do schowka z książkami, w którym panował spokój i wzorowy porządek, tu rządził chaos, jakby przez dom przeszła właśnie trąba powietrzna.

– O, to pan! – wysoki tragarz wyłonił się znienacka zza rogu. Myślałem, że zginął przywalony komodą, on tymczasem nie dosyć, że żył i mówił, to sprawiał wrażenie całkiem rześkiego. Niósł pudło po butach, wypełnione czymś, co wyglądało jak stare karty pocztowe. Odłożył je teraz, upadło na bok i część zawartości wysypała się na podłogę. – Jak dobrze, właśnie pana szukałem!

– Pan mnie szukał?

– No tak, bo widzi pan, o to tutaj – skrzywił się i wskazał na pudło. – To chyba już do niczego nie nada – dodał tonem rzeczoznawcy.

– Wydaje mi się, że to nie mnie powinien pan pytać – odparłem nieuprzejmie. – Chyba są właściwsze po temu osoby, nie sądzi pan?

On jednak nic sobie z tego nie robił. Widząc moje zmieszanie, postanowił sprawę rozstrzygnąć osobiście, fuknął tylko na wszelki wypadek, na znak, że wcale mu nie pomagam, chociaż akurat teraz moja pomoc byłaby mile widziana.

– Przecież to jakieś śmieci! – orzekł i wyniósł torbę na korytarz. Potem wrócił i zachwycony powiódł ręką dookoła, jak artysta dumny ze swego dzieła.

– Ładnie, nie?

– Co ładnie? To pobojowisko? – warknąłem wściekły. Chwalić się zniszczeniami! Jego bezczelność, bo raczej nie chodziło tu o głupotę, była zdumiewająca. – Mówił pan, że to dopiero jedna trzecia, a tu prawie nic nie ma, wszystko wyniesione. No chyba że – wymownie spojrzałem na piętrzące się sterty i dodałem prawie krzycząc. – Co to w ogóle ma znaczyć?! Zamierzacie ot tak po prostu zniszczyć te papiery?! Kiedy zdążyliście zrobić taki bałagan?! Kto wam kazał wyrzucić wszystko na podłogę?!

Pozwolił sobie mnie zignorować, jednak kiedy dotarło do niego, że pytam również o karła, na jego czerwonym obliczu zagościł niepokój.

– Meble poszły wcześniej... – wyjaśnił ostrożnie.

– Aha, poszły, jasne. A wyście im wcale nie pomagali – odburknąłem i przeszedłem do następnego pomieszczenia.

– Ale potem nikt tutaj nie wchodził, więc papiery były bezpieczne, myśmy ich nie ruszali – nie wiedzieć czemu uznał, że jest mi winien tę informację, chociaż nijak niczego nie wyjaśniała, a on sam w oczywisty sposób mijał się z prawdą. Próbował nawet wyciągnąć z kieszeni swój plik żółtych karteczek, jakby na dowód, że każdą czynność ma

skrupulatnie odnotowaną, ale zbyłem go niezbyt uprzejmie.

– Niech pan da spokój! I tak panu nie wierzę.

Staliśmy na środku czegoś, co było kiedyś gabinetem albo domowym archiwum i gdzie z całego wyposażenia zachowały się szuflady z fiszkami, wyciągnięte z sekretery, którą właśnie wyniesiono, dosyć sfatygowane i szurnięte brutalnie pod okno. Katalog był niekompletny, brakowało kilku liter, co mogłem stwierdzić, układając szufladki według alfabetu. Brakowało również większości kartek, liczne przegródki były prawie puste, w innych ocalała najwyżej połowa, resztę ktoś nie tyle wyjął, ile wyrwał na siłę. Widząc ten obraz ruiny, usiadłem, wziąłem szufladkę z wyciśniętą na przedzie literą Sz., która kojarzyła się z nazwiskiem gospodarzy, i upakowałem w niej fiszki z wszystkich pozostałych. Więcej nie potrafiłem zrobić. Żal po wybrakowanym katalogu był silniejszy, niż mogłem się spodziewać, jakby wraz z każdą zniszczoną fiszką świat państwa Sz. doznawał nieodwracalnego uszczerbku. Dopiero teraz dotarło do mnie, że mieszkanie ulega likwidacji i nagle zapragnąłem cokolwiek z niego ocalić, choćby tę jedną szufladkę. O meble nie dbałem, także los pamiątek i bibelotów, o ile właściciele mieli takowe, był mi obojętny. Niechaj idą. Na szczęście po bibliotekę póki co nikt się nie zgłosił. Tak próbowałem się pocieszać, a wtedy spostrzegłem, że zaczynam mówić żargonem wysokiego tragarza i strasznie mnie to rozłościło. A on naprawdę gadał zza moich pleców:

– No niech nam pan powie, co z tym teraz zrobić? Do wieczora mieszkanie ma być puste, a zostało jeszcze trochę rzeczy. Nie ma komu decydować, to może pan rozstrzygnie, zostawić czy wyrzucić?

Wzdrygnąłem się. Zdaje się, że uznał mnie za gospodarza, a w najgorszym razie za reprezentanta rodziny, której państwo Sz. przecież nie mieli. Gospodarz, który pełza na

czworakach między kopami podartych papierów. Którego i tak nikt nie słucha.

– Nie wiem, nic mnie to nie obchodzi! Wyrzucajcie, jak leci.

Kłamałem, obchodziło mnie bardzo, ale nie chciałem mu okazać, jak bardzo czuję się bezradny i poniżony. On tymczasem zapragnął trochę się poużalać.

– Pan myśli, że to taka łatwa robota? A co ja nie wiem, że każda z tych rzeczy ma swoją historię i coś dla kogoś znaczyła? Na meblach ślady zostają, plamy po winie, które ktoś rozlał na materacu, w szparach poutykana masa jedzenia, kawałki chleba, lekarstwa, wie pan, starsi chowają wszystko jak chomiki. Nie mówiąc o ubraniach, przecież to na ludziach było. Przykro wyrzucać, to jak drugi raz grzebać człowieka.

Obróciłem się ku niemu. Na jego twarzy nie znać było ani trochę zmieszania.

– Kto pana tu przysłał? – zapytałem, żeby zyskać nieco na czasie.

– Ci, którzy zapłacili za wyprowadzkę – odparł spokojnie. – Co pan myśli, że my jesteśmy nielegalnie? Jak jacyś złodzieje? To raczej ja mógłbym zapytać, co pan tutaj robi? Nikt pana nie zapowiadał, nikt pana nie zna, nawet nie miał pan zapasowego klucza! – wycelował we mnie oskarżycielski palec.

– Pan również nie miał! – odparłem hardo.

To go otrzeźwiło, widocznie uświadomił sobie, że wciąż jest zależny od karła, dlatego dodał już nieco spokojniej:

– Przecież ja panu tłumaczyłem, na czym polega nasza praca. My jesteśmy firma wyprowadzkowa, porządne przedsiębiorstwo, nie jakieś tam nie wiadomo co. I jako firma otrzymujemy zlecenie, żeby zabrać wszystkie zbędne przedmioty, no to je zabieramy. Te, które mogą się jeszcze

przydać, albo przedstawiają jakąś obiektywną wartość, idą do magazynu.

– Do magazynu – powtórzyłem. – I te papiery też idą do magazynu?

– A jakże! – zaperzył się. – No, może akurat nie te...

A więc dokumenty należało spisać na straty.

– Jeśli nie te, to które?

– No takie tam, co jeszcze zostało...

– Luźne papiery? – podpowiedziałem.

– Luźne papiery – potwierdził.

Odetchnąłem z ulgą. Ani słowa o książkach. Mogło to znaczyć, że biblioteka jest wciąż bezpieczna. Do wieczora wyniosą resztę śmieci (aby się pocieszyć, gotów byłem nazwać je śmieciami!), zmęczą się i pójdą, a ja zostanę. Pewnie nie wrócą, bo i po co.

Kiedy tak sobie dumałem, tykowaty znów się odezwał:

– Już panu przecież mówiłem, zazwyczaj papiery i książki idą pierwsze. A tym razem nie. Nas też to, trzeba przyznać, zdziwiło, papier trzyma najwięcej kurzu i ciężkie to jak diabli. Ale oni chcieli, żeby zostawić na koniec, że może ktoś się zgłosi i weźmie.

– Książki? – nastawiłem uszu. – Są tu jakieś książki?

– Ano są, nawet wiele – oznajmił tykowaty, a karzeł przytaknął skinieniem głowy. Byłem tak zaaferowany, że w ogóle nie zauważyłem, kiedy się pojawił. Stali nade mną jak dwaj strażnicy. Tykowaty pokraśniał na szyi, a karzeł wydął usta. Zdawało mi się, że pokazuje mi język. Jego plakietka błyszczała jak nigdy dotąd.

Gaduła łypał swoimi oczkami, wyczekując tego, co powiem. Nie miałem wiele do powiedzenia, więc odwróciłem się obrażony.

– Pan wie... – popukał mnie w ramię – może one się na coś panu nadadzą? Tylko transport sam pan zamawia,

żebyśmy nie mieli z tym kłopotu – zastrzegł. Karzeł znowu przytaknął, tym razem pojedynczym mruknięciem.

– Chętnie wezmę kilka pozycji – wybełkotałem, sam nie wiedząc, co mówię. Niby z jakiej racji miałbym zadowolić się tylko cząstką biblioteki? Skoro państwo Sz. nie wydali w tej sprawie żadnych dyspozycji, księgozbiór należy do mnie! To ja znam jego sekrety i świetnie nadaję się na dozorcę. Ustawię wszystko na półkach jak trzeba, według katalogu pana Sz.

Katalogu, którego nie było. Przycisnąłem do piersi szufladkę z ocalonymi fiszkami, żeby nikt mi jej nie odebrał.

– Wezmę kilka pozycji – powtórzyłem cicho.

– Wedle życzenia – tykowaty skłonił się jak lokaj. Jego kolega zademonstrował coś w rodzaju dygnięcia, a potem nie wytrzymał, przykucnął i prychnął mi prosto w twarz.

– Dziękuję, jestem bardzo zobowiązany – naprawdę poczułem wdzięczność. Równie dobrze mogli zabrać wszystko.

– My panu przyniesiemy, proszę się nie fatygować – tykowaty uprzedził moje pytanie.

– Panowie przyniosą?! Jak to? – nie mogłem wyjść ze zdumienia. – A skąd panowie będą wiedzieli, co...

– Będzie lepiej, jak pan tutaj poczeka – doradził tragarz, ale zabrzmiało to jak polecenie. Karzeł tylko zasyczał, po czym bez żadnych wyjaśnień wyjął mi z rąk szufladkę.

– Tutaj?

– Proszę się nie martwić, przyniesiemy podług tego, co pan sam wybrał – uspokoił wysoki.

Jeszcze nigdy nie byłem tak spokojny i tak bardzo się nie martwiłem. Chciałem wstać i im podziękować, ale wnet straciłem równowagę.

– Nie tak szybko!

Ktoś podstawił mi nogę i poleciałem jak długi na ziemię. Ktoś uderzył mnie w tył głowy jakimś twardym

przedmiotem, najprawdopodobniej szufladką katalogu, bo roztrzaskując się na mojej czaszce, wydała głuchy pogłos, jak miażdżone pudło rezonansowe. Usłyszałem jeszcze, jak karzeł zarżał z radości, a potem straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem, w gabinecie zostało jeszcze trochę śmieci, bezużytecznych, skoro nikt się nie kwapił, żeby je podnieść i zabrać albo chociaż usunąć na bok. Na miękkich nogach wyszedłem do korytarza. Ten tonął pod zwałami papierzysk, największą ilość skomasowano przed otwartymi drzwiami na klatkę schodową, gdzie dopiero czekały na załadunek. Rozejrzałem się za znajomą dwójką. Tykowaty stał przed lustrem, a właściwie to jego tors i głowa wystawały z pryzmy podartych okładek. Rozbawiony, gaworzył coś do swojej podobizny, przypominał wyrośnięte dziecko, które jeszcze nie wie, że rozmawia samo ze sobą. Reszta go nie interesowała. Karzeł siedział w kącie z miną uczonego i niby od niechcenia przeglądał książki. Zgromadził ich wokół siebie przynajmniej kilkadziesiąt, same albumy i pojedyncze tomy encyklopedii, z których próbował ułożyć komplet. Obok dostrzegłem kilka szufladek z gabinetu. Mały tragarz porównywał kolejne tytuły z zapisami na fiszkach i po namyśle odkładał na jedną z dwóch kupek. Jego oczy żarzyły się jak węgielki, przyszło mi na myśl, że karzeł zaraz roznieci ogień, od którego w mig wszystko się zajmie.

Wtedy sprawy nabrały tempa, jakby w tragarzy wstąpiła niezwykła siła. Kręcili się jak szaleni, wzniecając kłęby kurzu, aż w mieszkaniu zaczęło brakować powietrza. Obydwie substancje, papierów i ludzi, walczyły ze sobą i przez moment nie było oczywiste, która strona jest górą, chociaż z każdą minutą likwidatorzy zdobywali przewagę. Karzeł biegał w tę i z powrotem niby nakręcony automat, znosząc do przedpokoju naręcza książek, podczas gdy gaduła wrzucał je jak popadnie do skrzyń i bez chwili zwłoki ekspediował na zewnątrz. W ohydnym drelichu znów prezentował się jak dowódca i niekiedy wygłaszał nawet krótkie

podsumowanie, wyliczając tamtemu przedmioty, których zdołali się pozbyć. Mały potakiwał, lecz nic nie mówił i ponaglany pędził dalej po następne zdobycze. Gdy wracał, taszczył tak wiele, że prawie nie było go widać i gdyby nie krótkie nóżki, które tu i ówdzie migały w kłębowisku papierów, można by sądzić, że książki naprawdę przemieszczają się samodzielnie i same też pójdą na zatratę.

Nie minęła godzina, a ścisk papierów i gratów ostatecznie ustąpił pod naporem tragarzy i wokół fruwały tylko drobne kawałki pokruszonego papieru. Pojąłem, że wyprowadzka dobiegła końca. Chociaż siedziałem przy samym wejściu, oni nie zwracali na mnie uwagi, nie wiem nawet, kiedy spostrzegli, że przywlokłem się do korytarza i ich obserwuję. Byłem dla nich nieszkodliwym widmem, które miało tu zostać, kiedy oni sobie pójdą. Zabrali się właśnie za ogromną skrzynię, jedną z ostatnich, które tu jeszcze były, ciągnęli ją po podłodze na kawałku sukna, niechlujnie, bo raz po raz zsuwała się, żłobiąc głębokie rysy w dębowym parkiecie.

– Pan przejdzie – usłyszałem głos tykowatego. Nim zdążyłem się podporządkować, on bezceremonialnie usunął mnie z drogi. Potem dodał pod nosem coś o gościach, którzy przychodzą jedynie po to, żeby przeszkadzać. Przeszkadzać, tak się dokładnie wyraził, plączą się pod nogami, kiedy ludzie pracują, jak gdyby nie rozumieli, że teraz ich obecność na nic się nie zda, trzeba było myśleć wcześniej i decydować, co ma iść, a co zostać, a nie na ostatnią chwilę, kiedy najłatwiej o pomyłkę, a potem zaczynają się pretensje, że coś ważnego zginęło, podejrzenia, że może któryś z pracowników coś sobie przywłaszczył... z tego. Wskazał brodą na kupkę paprochów, po czym rzucił niższemu koledze porozumiewawcze spojrzenie. Karzeł w lot pojął, o co chodzi, i zarechotał.

– No, na nas już czas – dodał jeszcze, kiedy kroki karła dawno dudniły na schodach. – A, byłbym zapomniał – zreflektował się – pańska książka!

Uroczyście wręczył mi wielki tom in quarto w płóciennej oprawie, atlas anatomiczny z kolekcji państwa Sz., z masą wykresów i wspaniałymi, ręcznie podkolorowywanymi planszami. Kiedy je później oglądałem, siedząc na podłodze w kompletnie pustym mieszkaniu, zdawało mi się, że preparaty mają twarze obydwu tragarzy, karła i tykowatego.

CHRISTINE GLINSKI-KAUFMANN

Wizyta strasznej pani

Co tu się rozgrywało w naszej sypialni, w małżeńskim naszym łożu, przez ostatnie dwie godziny? Co za pomylony, pogmatwany sen! Koniecznie natychmiast zapisać. Co do joty. Od początku. Jan się zdziwi, jak mu te dziwactwa opowiem. Poszedł na zebranie Stowarzyszenia Artystów Liechtensteinu. Tym razem trochę im zejdzie – wybory zarządu, zmiany statutu, planowanie projektów.

Bazgrałam coś w dzienniku i zasnęłam. Tak nagle! Jakby ktoś mi podał narkozę. Na pewno nie żaden dźwięk… To jej oczy mnie obudziły. Obudziło mnie jasne światło, tuż obok– świeciło mi prosto w twarz. Ostrożnie otworzyłam oczy i spostrzegłam własną prababcię siedzącą po turecku z lewej strony łóżka, na miejscu Jana. Jej wielkie, szmaragdowe, błyszczące oczy bacznie mnie obserwowały.

Od razu ją rozpoznałam, chociaż nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy. Zginęła tragicznie wiele lat przed moimi narodzinami. A jednak te wielkie oczy, wydatny nos, mięsiste usta, wysokie czoło, długie warkocze zdawały się znajome. To była ona! Dama z fotografii w domu moich dziadków. W każdym pokoju stały lub wisiały jej portrety oprawione w ramy. Na ścianach, na komodach, regałach, nocnych stolikach i parapetach. Kiedy przychodziłam z wizytą, dziadek zwykł mawiać: „Mój Boże, Mario, jaka ty jesteś podobna do swojej prababki!”. I za każdym razem babcia dodawała: „Mam nadzieję, że odziedziczyłaś po niej jedynie wygląd!”. Zaklinała na Boga, tak to przynajmniej brzmiało.

Kiedyś spytałam dziadków, dlaczego życzyli sobie, żeby rodzice dali mi imię po prababce, skoro była taka straszna.

– Straszna nie – wyjaśnił dziadek. – Raczej dziwna i niewygodna. Była kimś w rodzaju jasnowidza, ale byłoby łatwiej, gdyby zachowała swoje wizje dla siebie.

– Miała szczególną moc – dodała babcia. – A że lepiej mieć sojuszników również po tamtej stronie, miałaś nosić jej imię – by cię chroniła.

Prababka przerwała moje wspominki.

– Znasz mnie. Jesteśmy spokrewnione! – jej głos wybrzmiał donośnie.

Skinęłam nieznacznie głową. Kiedy wyciągnęła do mnie na powitanie tę swoją chudą, bladą dłoń, zawahałam się.

– Nie bój się. Nic ci nie zrobię. Jestem tu, bo chcę z tobą omówić coś ważnego. Ostrożnie wysunęłam głowę spod kołdry, na chwilę wyciągnęłam ręce, nerwowo nimi zamachałam i w pośpiechu schowałam z powrotem.

Uśmiechnęła się – trochę ironicznie, tak mi się wydawało – ale nie wyglądała na obrażoną.

– Matko jedyna, ale tu u was ciepło! – westchnęła i opadła na krzesło. Miedziane warkocze spadły jej na ramiona.

I już, dawaj wydobywać się z tej swojej strojnej w pióra białej sukni. Moja prababka nago? Nie, naprawdę nie trzeba.

– Otwórz okno, jeśli ci za gorąco! – pośpiesznie zaproponowałam. Spojrzała tylko na okno, a ono już otworzyło się na oścież.

Natychmiast pożałowałam propozycji. Z zewnątrz dobiegał przeraźliwy hałas. Niezliczone instrumenty muzyczne; bębny, flety, cymbałki, harfy, trąbki, klarnety, saksofony i elektryczne gitary przekrzywiały się wzajemnie jak szalone, a kundel naszej sąsiadki wył do wtóru na najwyższych tonach.

– Wyłącz te wrzaski! – zawołałam. – Sąsiedzi przyjdą ze skargą!

– Ależ się nie denerwuj – uspokoiła mnie. – Nawet nie zauważą. Psa i muzykę słyszymy tylko my.

Muzyką nazywała tę ogłuszającą kakofonię. Zanuciła do wtóru kilka taktów, po czym oznajmiła nie bez dumy:

– Od czasu, gdy Jimi Hendrix raz po raz wpada ze swoją gitarą, nasza kapela jest o niebo lepsza niż kiedyś. Na dziś wieczór Jimi miał już niestety inne plany. Ale gdybyś

wiedziała, kto od paru tygodni z nami gra i śpiewa! Ha! – Była pełna entuzjazmu.

Ja wręcz przeciwnie.

– Mogłabyś jednak ściszyć ten… dźwięk, żebyśmy nie musiały się wydzierać?

Westchnęła, wstała z krzesła, wskoczyła w eleganckie szpilki, które leżały na podłodze, i dystyngowanym, tanecznym krokiem, falując sukienką sięgającą ledwie kolan, podeszła do okna. W swoje kocie ruchy wplotła parę kroków charlestona.

Takiej jej nie znałam z rodzinnych albumów. Na fotografiach miała zawsze proste, niemal ubogie sukienki wiejskich panienek. Po prostu to, co w latach dwudziestych nosiły u nas chłopskie kobiety. A teraz taka stylizacja! Co za metamorfoza – od chłopki z Triesenbergu do światowej damy.

– Tę kieckę podarował mi Jimi.

Podeszła do okna, usiadła na parapecie, spojrzała w dół, na podwórze, uśmiechnęła się i zamachała rękami jak dyrygentka, co tę dziką orkiestrę jeszcze bardziej rozochociło. A zaraz potem – jeden zamaszysty gest i hałas ucichł całkowicie. Wychyliła się mocno i już myślałam, że zaraz całkiem odleci. Ona jednak tylko pokłoniła się swoim muzykom i przywołała ich do siebie.

– Co? Kolejny cudaczny gość?

Chciałam zaprotestować, ale w tym samym momencie przez okno wdrapał się Johnny Cash. Przytrzymała go za ramiona, gdy wciągał swoje długaśne nogi po parapecie wprost do pokoju. Usiadł obok prababki, pocałował jej dłoń i zapytał:

– *How are you, my dear White Lady*?

Oboje wyglądali niezwykle szykownie. Johnny Cash w czarnym garniturze, facet w czerni, moja prababka w białej sukni z piórami.

Wtedy Johnny wstał, zwrócił się do mnie per *madame* i zaczął śpiewać utwór *Ain't no Grave*. Nieziemsko pięknie i przejmująco:

There ain't no grave can hold my body down
There ain't no grave can hold my body down
When I hear that trumpet sound
I'm gonna rise right out of the ground
Ain't no grave

Jak dla mnie Cash mógłby śpiewać tak całą noc. *I wiedz, że nie uwięzi mnie nigdy grób*.

– Johnny, *my dear friend* – zwróciła się do niego prababcia, chociaż za życia na bank nie znała ani słowa po angielsku.

– Moja wizyta tutaj trochę jeszcze potrwa. – Zaproponowała mu, żeby wraz z zespołem ruszyli na południe, w stronę Vaduz. – Zaraz przed Vaduz, po lewej stronie ulicy znajduje się więzienie. Tam możecie porządnie dać czadu. Więźniowie będą wniebowzięci, że się tak wyrażę. Za godzinę albo dwie po was przyjdę, okej? Lata całe minęły od twoich występów w Folsom State Prison i więzieniu San Quentin, nieprawdaż, Johnny?

– Zbyt długie lata, *my dear*! Koncert więzienny w Vaduz? To będzie naprawdę *cool*! *See you soon, White Lady*! – Tym razem ucałował ją w oba policzki, zawinął nogi na drugą stronę okna, pomachał do mnie i zniknął w czeluściach nocy. Prababka popatrzyła na mnie wyczekująco.

– Jimi Hendrix, Johnny Cash! Naprawdę nieźle! Moje uszanowanie! Ale dlaczego takie gwiazdy grają w twojej kapeli? – odezwałam się.

– Bo lubią nasze brzmienie, bo ich inspirujemy, bo jesteśmy całkiem *cool*! A do tego ta niesamowita akustyka! Wąwóz Laweny wprost fenomenalnie rezonuje.

Zsunęła się z parapetu i wygładzając dłońmi sukienkę, podeszła znów do łóżka Jana.

– Powinnaś chociaż raz posłuchać, jak bombastycznie brzmią solówki gitarowe Jimiego! A wyobraź sobie głos Johnny'ego rozlegający się wzdłuż wąwozu! Fenomenalne! Nasza kapela próbuje regularnie w tym właśnie miejscu i każdego roku daje sporo koncertów. Dla wybranych gości!

Pożałowałam Hendrixa i Casha. Zespół, który przed chwilą słyszałam, potrzebował jeszcze wielu długich godzin prób i lekcji w szkole muzycznej.

– A tak przy okazji, prababciu, kim właściwie jesteście, ty i twój zespół? To znaczy, co z was za twory? – spytałam i natychmiast zreflektowałam się, że właśnie określiłam prababkę i jej podwórkową trupę mianem tworów.

– Kim jesteśmy? To doprawdy niewiarygodne, że muszę wyjaśniać takie rzeczy własnej prawnuczce! Jesteśmy ludem nocy! – oznajmiła z dumą i namaszczeniem.

Lud nocy!!! Zaczęło mi świtać. Przypomniałam sobie opowieści dziadków, że prababcia w czasach, gdy jeszcze mieszkała w Triesenbergu, miała widywać lud nocy, i że pośród całej procesji nawiedzonych stworzeń, wędrujących z muzyką na ustach albo całkiem milczących, rozpoznawała ostatnią twarz, i że ów ostatni wędrowiec nocnej trupy wkrótce umierał w naszej gminie. Przepowiednie mojej prababki zawsze się sprawdzały. Nawet w przypadku członków rodziny. Z jednym tylko wyjątkiem. Tak mówiono.

Nigdy nie podawała imienia tego, który jako następny musiał wyruszyć w podróż na drugą stronę. Wyjawiała tylko nazwę części wsi albo konkretnego przysiółka, w którym miał nastąpić śmiertelny wypadek. „W Sütigerwies", „w Profatscheng" albo „w Steinort", albo jeszcze gdzieś indziej.

Mieszkańcy wsi często dziwili się, bo nikt nie był chory, i truchleli, gdy okazało się, że ktoś spadł z snopu siana

i skręcił sobie kark, kobietę raził piorun, a jakieś dziecko utopiło się w gnojówce.

Ale swojej śmierci nie przewidziała, tak mówiono. Jakby w najważniejszym dla siebie momencie jednak zawiodła. Podczas cięcia drzewa zdarzył się wypadek, w konsekwencji którego zmarła. Od tego czasu sama wędruje z ludem nocy, a dzisiaj wieczorem wraz ze swoją kapelą odwiedziła akurat nas! Przeszedł mnie dreszcz.

– Dlaczego tu przyszłaś?

– Przecież nie żeby zapowiedzieć twoją śmierć, nie bój żaby! Jeszcze trochę pożyjesz! – Roześmiała się tubalnie, aż suknia zafalowała. A potem zaraz spoważniała. – Wiem, że jesteś smutna i się martwisz, bo w ostatnim czasie wielu twoich bliskich powędrowało w zaświaty. Zastanawiasz się, kiedy padnie na ciebie i czy jesteś dobrze przygotowana na pożegnanie.

Kiwnęłam głową. Miała całkowitą rację.

Spojrzała na mnie badawczo.

– Ten dar, który mi towarzyszył przez całe życie, mogę przekazać tobie. Dar widzenia ludu nocy. Wtedy będziesz wiedziała, kto jako następny wywędruje z twojego świata i w ten sposób będziesz się mogła lepiej zawczasu pożegnać.

Jej propozycja mnie zaskoczyła.

– Myślisz, że się nadaje do bycia taką jasnowidzką?

– A skąd! W ogóle się nie nadajesz! Brakuje ci podstawowych cech. Byłaś i jesteś realistką, wzdłuż i wszerz. Już jako dziecko nie bardzo wierzyłaś w bajki czy baśnie, odmawiałaś ich czytania i zatykałaś uszy, kiedy ktoś chciał ci coś opowiedzieć o naszym świecie.

To prawda. Skąd to wiedziała? Milczałam.

– Namordowałabym się z tobą. Ale jesteś przecież moją prawnuczką i mogłabym cię najważniejszego nauczyć. Kto wie, jakie talenty wyszłyby na światło dzienne, gdybyś tylko

tak uparcie nie broniła się przed wszystkim, co nie pasuje do twojego wyobrażenia o rzeczywistości.

Teraz przesadziła, więc się odcięłam:

– Jak dla mnie nie ma nic ciekawszego niż rzeczywistość. Fakty, fakty, daj mi fakty! W moim zawodzie prawnika taka miłość do faktów jest niewymownie przydatna, uwierz. I dlaczego właściwie sądzisz, że się nadajesz do bycia nauczycielką jasnowidztwa? Przecież swojej śmierci nie przewidziałaś! I to też jest fakt!

– Kto rozpowiada takie bzdury? – spytała rozeźlona. Byłam pewna, że znała odpowiedź. Co za pytanie? Spojrzałam jej prosto w oczy.

– Ja!

Początkowy strach całkowicie ze mnie uleciał. Dziwna i niewygodna? Z wszelkim dziwactwem pogodziłam się po występie Casha. A niewygodna może sobie być. Dla mnie, prawniczki, to bułka z masłem.

Rzuciła mi wściekłe spojrzenie. Oczy jej płonęły.

– Stawiasz tezę, której nijak nie możesz udowodnić i obronić! I to nazywasz faktem? Ha! Oczywiście, że przewidziałam własną śmierć! Ale z nikim o tym nie rozmawiałam. Tak było. Nie chciałam nikogo martwić. Dlatego milczałam. Wiedziałam dokładnie, kiedy nadszedł mój czas przejścia na drugą stronę.

Spojrzała na mnie smutno i zarazem poważnie.

– A dlaczego zabrałaś ze sobą mojego tatę, kiedy szłaś rąbać drzewo? Był jeszcze małym chłopcem! I do teraz – a ma już dziewięćdziesiąt sześć lat – nie pogodził się z tym, że widział twoją śmierć, że przeżył twój wypadek! Za każdym razem opowiada o tym ze łzami w oczach.

Rozluźniła się. Spokojnym głosem zagadnęła:

– A kto jest najzabawniejszym człowiekiem, jakiego znasz?

– Mój ojciec. Umie rozbawić do łez.

– No właśnie! Życie i śmierć są tak blisko siebie, że czasami granice pomiędzy nimi się rozmywają. Oczywiście nie wzięłabym go ze sobą, gdybym wiedziała, że umrę, rąbiąc drzewo! Za każdym razem, kiedy ukazywał mi się lud nocy, wiedziałam, kto umrze jako następny i że stanie się to w ciągu najbliższych paru dni.

– Widziałaś siebie maszerującą razem z nocnym ludem wzdłuż twojego domu?

– Tak. Stałam przy oknie, czego właściwie nie powinno się robić, jeśli lud nocy przechodzi obok. Ale nigdy ani nikogo się nie bałam. Mój mąż zmarł wcześnie i dla mnie, wdowy, strach był luksusem, na który nie mogłam sobie pozwolić. Szłam kilka kroków za nimi i chusteczką zakrywałam usta. Z ust płynęła krew. Twój ojciec spał, a mi prawie pękło serce, kiedy na niego spojrzałam ze świadomością, że muszę odejść i go zostawić. Wzięłam go do siebie, kiedy był jeszcze małym chłopcem i go odkarmiłam; był tak zagłodzony, że ledwo żył.

Znałam tę historię. Moja babcia po chudych latach pierwszej wojny światowej i po pięciu porodach zupełnie straciła pokarm. Dla najmłodszego już nie starczyło. Prababka wzięła więc go do siebie, do Triesenbergu, tłoczyła weń kozie mleko i rozpieszczała do cna. W końcu zapomniała oddać go rodzicom. I tylko to nieszczęsne drzewo sprawiło, że musiał jako siedmiolatek wrócić do swojej rodziny w Schaan.

– Kiedy zobaczysz się pośród nocnego ludu, nie masz już zbyt wiele czasu, żeby wszystko uporządkować. A na moim podwórzu zalegało drzewo, które powaliła burza. Oparte o zbocze jak gigantyczny wykrzyknik. Nie chciałam odchodzić w ten sposób – zostawiając po sobie bałagan. Musiałam je pociąć i uprzątnąć. I wtedy wydarzył się ten wypadek.

Jaki był ten wypadek, wiedziałam od ojca – bezszelestny i zarazem tragicznie brzemienny w skutkach. Powalony

pień leżał na stromym zboczu, otoczony chudymi gałązkami. Moja prababka trzymała piłę z jednej strony, a mój ojciec, jej wnuczek, drugi koniec. Najpierw odcięli wszystkie gałęzie. Potem przecinali pień, metr po metrze. Ostatni kawałek tkwił jeszcze częściowo w podłożu, wyrwane korzenie sterczały z ziemi. Kiedy go odpiłowała, kloc drewna przewrócił się nagle i zwalił prosto na nogi prababki. Przewróciła się, a ciężki pień przeturlał się po jej łydkach i udach, aż zaległ na piersi.

„Zdejmij ze mnie to żelastwo!" – wołała do wnuka. Ten padł na kolana i zaczął spychać z niej pień. Kiedy wreszcie powoli, ostrożnie się podniosła, okazało się, że krwawi z nosa i ust. Wzięła chusteczkę i przytknęła do twarzy. Powoli poczłapali w stronę stodoły. Dalej nie dali rady dojść. Najpóźniej w tym momencie opowieści, za każdym razem, kiedy ją powtarza, w oczach mojego ojca pojawiają się pierwsze łzy.

Tak, moja prababka wiedziała, że wkrótce umrze. Jej wersja wydaje się wiarygodna. Wiedziała. Nie kiedy, gdzie i jak, ale jedynie, że umrze niebawem.

Po tym, jak spotkała lud nocy, zostało jej tylko kilka dni, by dokończyć wszystkie ziemskie sprawy. Zbyt mało czasu, żeby poprosić czwórkę już dorosłych dzieci o pomoc przy usunięciu drzewa. Dwoje z nich żyło już w dolinie, pozostała zaś dwójka, która została w Triesenbergu, i tak miała pełne ręce roboty. Zwalony pień to był wyłącznie jej problem.

– Byłam zbyt sumienna i odpowiedzialna. Za cenę ziemskiego życia. Ale ponieważ byłam taka sumienna i taka odpowiedzialna, lud nocy wybrał mnie na swoją przewodniczącą.

– Przewodniczysz nocnemu ludowi? Myślałam, że jesteś ich dyrygentką albo menedżerką.

– Byłam, jeszcze do niedawna. Ale zanim stałam się odpowiedzialna za kwestie muzyczne, wskazywałam im drogę.

Moje błyszczące oczy pokazywały kolegom, którędy mają iść. Biała kiecka dodatkowo pomagała zachować orientację. Taka wędrująca latarnia morska. Ale jak już powiedziałam, przed miesiącem odbyły się wybory, i od tego czasu jestem przewodniczącą. Mam pewne konkretne plany, dlatego jestem dziś u ciebie. Chciałabym poprosić was, ciebie i Jana, o wsparcie.

– Jana? – zapytałam zdziwiona. – Jak niby Jan miałby ci pomóc? Pewnie wiesz, że studiował teologię, i jako teolog nie wierzy we wszelkie przepowiednie i baśnie tak samo jak ja. Jeśli mu opowiem o twojej dzisiejszej wizycie to się – delikatnie mówiąc – cholernie zdziwi.

– Najwyraźniej nie znasz swojego męża! Właśnie jako człowiek wierzący powinien nauczyć wierzyć i ciebie. On wierzy w Boga i w świętych, w aniołów stróżów, w życie po śmierci i w to, że ludzie za życia i po nim mogą się ze sobą komunikować, z całą pewnością potrafi więc odróżnić iluzję od prawdziwego spotkania!

– A skąd ty tak właściwie znasz Jana?

– Jan modli się codziennie za nocny lud, żeby nam się dobrze żyło, a my wspieramy go, jak tylko możemy. Stąd go znam. Jego modlitwy to dla nas spora pomoc.

– Do czego wam w ogóle pomoc? Czujecie się prześladowani albo zagrożeni?

– Czujemy się niedoceniani i pomijani!

Nadal nie wiedziałam, co mielibyśmy z Janem dla nich zrobić.

– Czego dokładnie od nas oczekujesz?

– Majaczy mi pewna koncepcja dla nocnego ludu. Jeśli się lepiej zorganizujemy i połączymy z podobnymi do nas, razem osiągniemy więcej. Jan i ty jesteście przecież członkami różnych literackich i artystycznych grup.

– I wy chcecie do nas dołączyć?

– Może później. Ale najpierw potrzebuję statutów tych stowarzyszeń, na wzór. Bo jeśli uda mi się opracować statut ludu nocy, wtedy mogłabym nawiązać kontakt z naszymi mniej lub bardziej znajomymi – włochaczami, olbrzymem z Guflina, pastuchem oraz innymi – i ustalić, czy chcieliby z nami współpracować. Jeśli tak, zamierzam najpierw zaproponować im luźną wspólnotę interesów. W dalekiej przyszłości widziałabym natomiast stworzenie centrali wszelkich dobrych duchów Liechtensteinu! DDdL – Dobre Duchy dla Liechtensteinu, tak bym ją nazwała! – Prababka cała promieniała.

– A co z wąwoźnikami[1]? – chciałam ją sprowokować.

– Ach ci! Oni mogą nam skoczyć! Już podczas naszej pierwszej koncertowej próby uciekali z wąwozu, aż się kurzyło! – Jej entuzjazmu najwyraźniej nic nie było w stanie powstrzymać. – Największą nagrodą byłoby dla nas przyłączenie się do DDdL gwardii aniołów stróżów, odpowiedzialnych za rewir Liechtensteinu. I tu znów do ewentualnych negocjacji przydałaby się pomoc Jana.

– Dlaczego nie zwróciłaś się bezpośrednio do Jana, skoro już macie kontakt? I po co te ceregiele? Żebyś dostała do ręki jakiś papier, z DDdL w nagłówku i twoim podpisem pani prezes w stopce?

– Zupełnie niepotrzebnie łączysz dwie różne sprawy. Na pierwszą odpowiem pytaniem: jesteś zazdrosna, że to Jan dostaje ode mnie ważne zadania?

– Bzdura! – odparłam. – Po prostu doszłam do punktu, w którym chciałabym wymiksować się z tego snu. Jan niedługo wróci do domu. A ja koniecznie muszę zapisać to bajdurzenie, by nic mi nie uciekło. Będzie się śmiał do rozpuku.

---

1 *Tobelhocker*, dosł. „przesiadujący w wąwozie" (Laweny), zwani też „palaczami", wyklęte z miasta dusze dawnych mieszkańców Triesenbergu i okolic, którzy w czasach wzmożonych polowań na czarownice denuncjowali rzekome wiedźmy. Klątwa wypędzonych miała obejmować nie tylko winowajcę, lecz także jego potomków aż do dziewiątego pokolenia.

– Bzdura? Sen? Bajdurzenie? Jeszcze cię zadziwimy, ja i mój nocny lud. – Skubnęła piórko z sukienki, chwyciła miedziane warkocze w dłonie i owinęła sobie wokół głowy w coś na kształt korony.

„Mój nocny lud”, do tego jeszcze korona, czyżby przeobraziła się w Księżną Nocnego Ludu?

– A co do drugiego pytania, po co mi ten cały plan… po prostu chciałabym, żeby nocny lud mógł zaoferować naszemu państwu swoje usługi! Mamy naprawdę potężny potencjał. Umiemy o wiele więcej, niż tylko grać muzykę i przypominać ludziom, że ich ciała są śmiertelne!

– Doprawdy? A co takiego?

– Pamiętasz swoją pracę nad negocjacjami w sprawie Europejskiego Obszaru Gospodarczego? Przedstawicieli z Islandii i Norwegii?

Oczywiście, że pamiętałam dzielnych synów i córy dalekiej północy. Od razu złapaliśmy świetny kontakt i wzajemnie się wspieraliśmy podczas negocjacji z Brukselą. Aczkolwiek w naszej współpracy chodziło o koordynację różnych systemów ubezpieczeń społecznych w Europie, a nie o zaklinanie duchów.

– I co z nimi? – spytałam.

– Chciałabym, żebyś odświeżyła te kontakty. W Islandii i Norwegii elfy i trolle cieszą się sporym szacunkiem i niezłą opieką. Taki status chcielibyśmy osiągnąć u nas, tutaj. To ważne zarówno dla naszego kraju, jak i nocnego ludu. Nasza pozycja w społeczeństwie powinna więc mieć podstawy prawne i odpowiednie gwarancje. Dlatego zdobądź dla nas, proszę, potrzebne informacje.

– Prawomocny status dla nocnego ludu? A jak miałby niby być umocowany w naszym prawie? Musiałabyś powiedzieć dokładnie, jak to sobie wyobrażasz. Nie mam zamiaru ośmieszać się przed kolegami z pracy!

Pokręciła głową.

– W Brukseli dniami i czasem nawet nocami ślęczeliście, zastanawiając się nad niezliczonymi kwestiami. A tak istotną sprawę jak koordynacja stosunków pomiędzy światem widzialnym i niewidzialnym przeoczyliście! Chcesz konkretów? Proszę bardzo.

Wzięła poduszkę, położyła na drugim końcu łóżka Jana i umościła się wygodnie vis-à-vis, żebyśmy mogły rozmawiać, patrząc sobie w oczy. To, co zaczęła mi opowiadać, brzmiało jak bajka na dobranoc:

– Norwegowie i Islandczycy mają o wiele bardziej intensywne i żywsze kontakty ze swoimi duchami oraz baśniowymi zjawami. Potrafią się z nimi identyfikować. Podczas targów Expo w Hanowerze Norwegowie wystawili w swoim pawilonie maskotkę trolla, a jedno z pól olejowych nazwali jego imieniem. Ale najbardziej godni naśladowania są Islandczycy w swojej współpracy z elfami. – Podekscytowana zanurkowała dłonią w dekolcie sukienki i wyciągnęła stamtąd pomięty kawałek papieru. – Posłuchaj, co znalazłam w Wikipedii.

Zgodnie z islandzkim prawem podczas przyznawania pozwolenia na budowę należy sprawdzić, czy dany plan budowlany nie będzie działał na szkodę dobra kultury. Do dóbr kultury zaliczają się także formacje krajobrazu, takie jak wielkie kamienie czy skały, o których lokalna społeczność mówi, że są „zamieszkane przez elfy". Może tak być, gdy na przykład istnieją baśnie lub przypowieści, które o tym opowiadają. W takich przypadkach należy zasięgnąć dodatkowej opinii znawcy, uznawanego za eksperta w dziedzinie elfów. Do takich osób należy Erla Stefánsdóttir. Twierdzi, że jako medium ma możliwość kontaktowania się z elfami. Z prośbami o wydanie takiej ekspertyzy nierzadko zgłaszają się do niej miasto Reykjavik, urzędnicy z innych miast oraz osoby prywatne.

Oczy rozbłysły jej jeszcze mocniej, dostała też wypieków na twarzy. Przejęta oznajmiła:

– Przebieg niektórych ulic w Islandii może wydawać się turystom nieco dziwny, ponieważ dopasowuje się je do potrzeb duchów naturalnych, a nie odwrotnie. Z szacunku dla elfów ulice lub budynki można budować (jeśli w ogóle) wyłącznie z zachowaniem odpowiedniego odstępu od miejsc zamieszkanych przez elfy. Wyznacznikiem są tu ekspertyzy znawców. O to mi chodzi! Takie postanowienie musi się znaleźć także w prawie Liechtensteinu!

Zmarszczyłam czoło i spojrzałam na nią pytająco.

– Osoby odpowiedzialne za kwestie duchów powinny nawiązywać kontakty z nocnym ludem i wystawiać ekspertyzy dla urzędów lub osób prywatnych. Przecież dzięki naszym wędrówkom znamy tutaj każdy kąt. I wiemy, gdzie które duchy postanowiły osiąść. Wszyscy by na tym skorzystali. Lud nocy doczekałby się wreszcie oficjalnego uznania, na które zasługuje, a duchy i inne baśniowe stwory oraz ich domy byłyby respektowane. Martwi nas, że nasze dobra natury i kultury niszczone są przez te wszystkie budowy i wciąż znikają z powierzchni ziemi. A wiele z tych budowli stoi później pustych! Ech… – westchnęła i pokręciła głową.

– A co nocny lud chciałby zrobić z tymi pustymi budynkami?

– Radykalna Frakcja Pochodni chciałaby je natychmiast zburzyć. „Z powrotem na łono natury!” to ich slogan. Ale podczas ostatnich wyborów moje bardziej powściągliwe Skrzydło Gołębia uzyskało większość głosów. Chcielibyśmy dodać trochę zieleni do tych betonowych fasad, a wnętrza oddać artystom i innym wizjonerom jako kuźnie działań kreatywnych. Dla muzyków i pisarzy mamy już pomysł! Rozpiszemy konkurs na globalny intergalaktyczny hymn, poświęcony wszystkim ziemskim i pozaziemskim istotom. Tak bardzo chcielibyśmy mieć wspólną pieśń, przy której wszyscy razem moglibyśmy tańczyć. Johnny i Jimi już

zgłosili chęć współpracy. Jeśli chodzi o hymny, Jimi ma od czasów Woodstocku spore doświadczenie.

– Ach, jakie to wszytko proste! Prawomocny statut dla nocnego ludu z umocowaniem w prawie budowlanym! Puste budynki z wiszącymi ogrodami na fasadach jako kreatywne warsztaty dla artystów i wizjonerów! Więcej natury! Ziemsko-nieziemskie i intergalaktyczne hymny! Fantastyczni z was marzyciele! Przecież na to wszystko potrzeba iście nieziemskiej cierpliwości!

– Mamy nieziemsko dużo czasu! Wiemy dokładnie, kiedy nadchodzi odpowiedni moment i które miejsca są najlepsze dla naszych projektów! A fakt, że jesteśmy ludem nocy, nie znaczy, iż jesteśmy też ślepi, jeśli to mi właśnie próbowałaś zasugerować. Oczywiście nie możemy dzielić się naszą wiedzą z pierwszym lepszym ignorantem. Odpowiednimi osobami do takich rozmów są naturalnie sami artyści i wizjonerzy. Jan i ty też moglibyście się o to ubiegać. Wtedy, rzecz jasna, podczas podejmowania decyzji w sprawie przyjęcia musiałabym się usunąć z powodu powinowactwa. Ale najpierw, po kolei, *step by step*, jak powiedziałby Johnny, najpierw przede wszystkim musisz się dowiedzieć, jakie prawa mają elfy w Islandii, jak przebiegają badania nad nimi i jak można by to prawnie uregulować w naszym kraju pod kątem nocnego ludu. W zamian za te informacje zaprosimy ciebie i Jana na koncert do wąwozu Laweny. Gościnny gwiazdorski występ ma dać sama Amy Winehouse!

– Amy Winehouse na żywo!!! Koniecznie muszę to zobaczyć!

– Dobrze. Biorę to za zgodę. Pięknie! Nasze pierwsze spotkanie zakończone sukcesem! – Klasnęła w dłonie. – No, na mnie już czas. Nie mogę zostawiać kapeli zbyt długo samej. Jeszcze tego by brakowało, żeby nasi muzycy wylądowali w więzieniu. Za pogwałcenie ciszy nocnej na przykład. – Zaśmiała się szelmowsko.

Tutaj obraz się urywa. W tym momencie musiałam się obudzić.

Tymczasem zdążyłam już spisać ten przedziwny sen. Cóż za osobliwe kłębki myśli przetaczały się w tej godzinie duchów przez mój senny umysł. W każdej chwili zjawi się Jan. Ciekawe, co na to powie!

Ale jedna rzecz nie daje mi spokoju – jak mam wyjaśnić mu rudy włos i białe piórko na jego łóżku?

Posłowie autorki:

Moja prababka, Maria Schädler-Beck (ur. 22.01.1855, zm. 10.05.1925), o której mówi się tutaj, że regularnie widywała nocny lud, niech zechce mi wybaczyć wplątanie w tę historię. Jestem jej dogłębnie wdzięczna za to, że uratowała mojego tatę przed śmiercią głodową.

Także mojego ojca, Gustava Kaufmanna seniora (ur. 23.08.1918) proszę o wybaczenie, że wyjawiam jego łzy i dramatyczne chwile z czasów dzieciństwa. Pozwoliłam sobie na to, bo „przewidziałam", że podczas tej lektury będzie nie tylko płakał, lecz także śmiał się z całego serca.

Przełożyła Inez Okulska

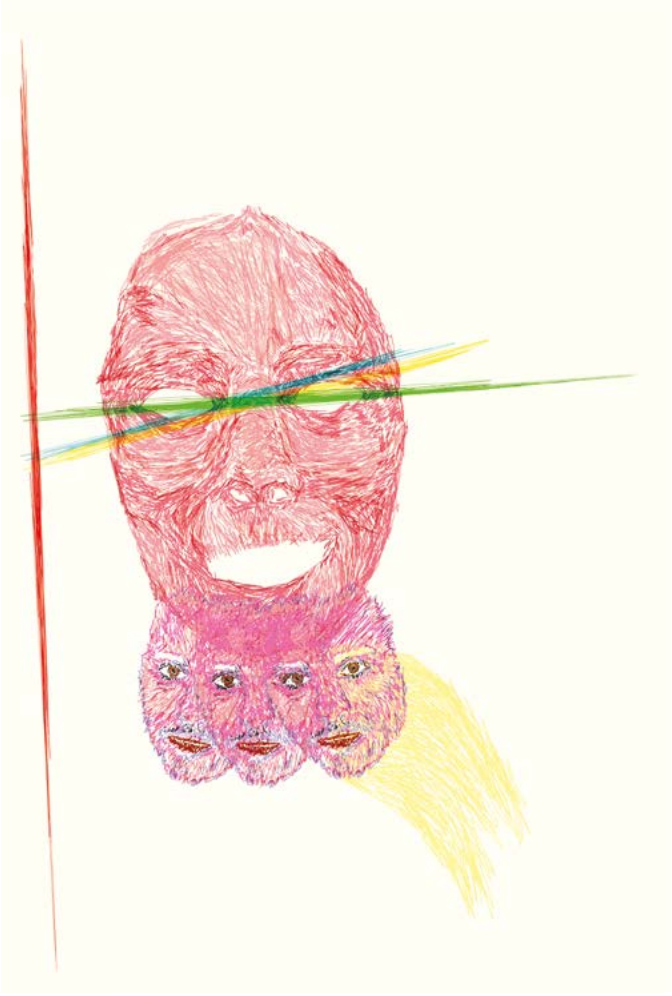

ÞÓRARINN ELDJÁRN

Czekając na Rola

Hörður Andri zbliża się do zachodniego wejścia pchlego targu Kolaportið, ledwo udaje mu się wsunąć do środka bez dotykania drzwi, i podąża śladem młodziutkiej pary z dzieckiem w wózku. W kącie przy drzwiach stoi kilku kloszardów, palą papierosy i zabijają kaca klinem. Przekazują sobie puszkę piwa jak puchar przechodni, a grymasy towarzyszące przełknięciom sugerują iście zabójczą zawartość, zdecydowanie mocniejszą niż Tuborg bez prądu. Pośpiech i puszka powodują, że delikwenci nie zauważają Hörðura i tym razem nie musi przekazywać haraczu – paru stukoronowych monet, które ma zawsze na podorędziu w kieszeni marynarki, żeby oszczędzić sobie zatrzymania i przydługich gadek, jeśli droga wypadnie przez centrum Reykjavíku.

Dziecko w wózku patrzy na niego zdziwione, nawet na wpół przerażone, Hörður zwalnia więc, próbuje się uśmiechnąć, macha lekko ręką, na co maluch wybucha płaczem. Szczęśliwie rodzice nie oglądają się za siebie, lecz błyskawicznie pochylają nad pociechą, na oko dwuletnią dziewczynką; pytają, co się stało, ale nie otrzymują odpowiedzi. W tym samym momencie udaje mu się ich wyminąć. Wszystko to dzieje się w niedzielny poranek, późnym latem. Hörður Andri już dawno jest na nogach. Dochodzi jedenasta, zaledwie chwila minęła od otwarcia, a na tym targowisku rozmaitości w centrum miasta stawił się ogromny tłum (to przede wszystkim, jak się wydaje, zagraniczni turyści). Na czystym niebie świeci słońce, nie ma wiatru i na pewno będzie dziś w mieście spory ruch.

Hörður daje się ponieść tłumowi ku głównemu wejściu, jednak zaraz odbija w prawo w stronę kawiarni, mijając po prawej kram z adidasami, a po lewej z heavy-metalowymi T-shirtami. Sprzedawcy układają i aranżują towar. Z działu spożywczego bije odurzająca, znajoma woń czegoś suszonego, nadpsutego i wędzonego, która miesza się ze

strychowo-piwnicznym zapachem ciuchów i rzeczy z innych stoisk. Nos wyczuwa swojski fetor niezliczonych domostw wzbogacony o złożoną symfonię zapachów stęchlizny ze schowków i magazynów.

Hörður zatrzymuje się przy kafejce Kaffi Port, dla pewności rozgląda się dookoła, wypatruje, ale nikt z pozostałych się jeszcze nie stawił. Nie zakładał nawet, że można się ich spodziewać przed wpół do dwunastej – godziną, którą Rol Sturlason sam zaproponował w ostatnim SMS-ie. Rósa Birta i Ingimundur przystali na to, uprzedzili jednak, że pojawią się odrobinę później. „Parę minut po" – odpowiedziała Rósa, „mniej więcej" – brzmiała wiadomość od Ingimundura. Spokojnie mogło się to jeszcze przeciągnąć, w końcu nie bez powodu wszyscy śmiali się, że niepunktualność jest cechą wrodzoną rodziny Blikdalów; bezsprzecznie niektórzy dokładali wszelkich starań, aby pielęgnować w sobie tę cechę.

Szczęście w nieszczęściu, że Blikdalowie ostatecznie docierali na miejsce: mimo wszystko zawsze dotrzymywali słowa i stawiali się, choć ustawicznie „parę minut" albo „mniej więcej" za późno. Zawodni, ale solidni, jak chętnie mawiał jego zmarły ojciec. Hörður musiał być najwyraźniej podrzutkiem, bo od najmłodszych lat cierpiał na nadmierną punktualność. Naturalnie jakąś rolę odgrywały w tym pewnie geny matki, chociaż w jej rodzinie nigdy nie dyskutowało się o kwestii punktualności.

Gdy tylko zaczyna przebiegać wzrokiem po twarzach gości kafejki, by mieć całkowitą pewność, zdaje sobie sprawę, że przecież nie zna Rola Sturlasona z widzenia, więc rozglądanie się niewiele da, nawet jeżeli Rol już przyszedł. Z wyjątkiem początkowych maili, które zapowiadały jego przybycie do „starej ojczyzny", kontaktowali się jedynie przy pomocy tych częstych krótkich wiadomości. Ale czy wuj nie ujawniłby się sam, gdyby zobaczył kogoś, kto tak badawczo rozgląda się dookoła? Kogoś, kto na dodatek wyróżnia się

wyrazistym podbródkiem Bliksdalów? Myśląc o rodzinnym podbródku, Hörður stara się znaleźć jego charakterystyczny kształt wśród tych niewielu siedzących w kawiarni osób. W jaki sposób ten wystający, a zarazem po męsku szeroki podbródek przetrwał lata wielonarodowej tułaczki wzdłuż i wszerz kanadyjskich prerii i przez najdalsze rejony amerykańskich Wielkich Równin?

I naturalnie okazuje się, że wszystko jest tak, jak Hörður przewidział: żadnej Rósy, żadnego Ingimundura, nikogo z podbródkiem: nikt nie macha, ani nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Szczęśliwie jest całkowicie wolny przez najbliższe pół godziny, a nawet dłużej. Ten czas najlepiej wykorzystać, sprawdzając półki i stoły antykwariuszy, a przede wszystkim książki, które przypadkowi sprzedawcy wystawiają na sprzedaż wśród innych przedmiotów.

*

Zorganizowanie hucznego zjazdu rodzinnego Bliksdalów było w planach od dawna, ale nigdy nie doszło do skutku. Komitety organizacyjne zawiązywały się i rozwiązywały – wszystko na próżno. Przyczyna była niezmiennie ta sama: nie znajdowano stosownej okazji lub brakowało konsensusu, chociaż w jednej kwestii wszyscy byli zgodni, że „tak po prostu” zdecydowanie nie wystarczało. Ponadto przeprowadzanie zebrań było trudne, a nawet stało pod znakiem zapytania, skoro wszyscy członkowie komitetu stawiali się z opóźnieniem, i to różnym. Po niezliczonych próbach i poważnych przemyśleniach udało się ostatecznie ustalić, że kuzyni Hörður Andri i Rósa Birta stworzą komitet okolicznościowy razem z Ingimundurem, najmłodszym stryjem. Ingimundur przeżył liczne rodzeństwo i stał się tym samym jedynym naturalnym przedstawicielem swojego pokolenia. Komitet miał tylko jedno zadanie: znaleźć odpowiednią okazję do zorganizowania zjazdu rodzinnego. Kolejnym, późniejszym zadaniem będzie decyzja, co konkretnie

powinno się odbyć. W tym celu zostanie przypuszczalnie powołany nowy komitet.

Do niedawna zebrania komitetu okolicznościowego zastępowała korespondencja mailowa, ponieważ Ingimundur przeważnie przebywał poza krajem. Przez lata mieszkał w Szwecji, gdzie piastował stanowisko profesora literatury na uniwersytecie w Haparandzie. Zapuścił tam korzenie, kiedy obronił rozprawę doktorską na temat pokolenia beatników. W Islandii przez te wszystkie lata bywał tylko gościnnie, ale stosunkowo niedawno został profesorem emerytowanym, owdowiał i powrócił do kraju. W ostatnim mailu ze Szwecji pytał, czy jego powrót nie może być wystarczającą okolicznością do zorganizowania zjazdu i czy w związku z tym jest potrzebna ta ich niekończąca się kwerenda dat urodzenia i śmierci mniej lub bardziej lubianych pradziadków oraz prababek. Wiadomości towarzyszyła uśmiechnięta buźka, co było godne odnotowania, bo stryj Rósy i Hörðura do uśmiechniętych buziek zdecydowanie nie należał.

Po powrocie Ingimundura odbyło się kilka spotkań komitetu, lecz większych postępów nie odnotowano. Ingimundur zdradzał szczególną skłonność do dygresji. Ponadto zawsze płynął pod prąd i należał do tych, którzy dokładają wszelkich starań i wysiłków, żeby krytykować i ustawić się w opozycji do wszystkiego, co proponują inni. Zachowywał się tak, jakby uwzględnienie punktu widzenia innych uważał za zdradę swojego fachu. Należało z wyczuciem rozgrywać sprawy, a najlepiej pozwolić mu się łudzić, że wszystkie dobre propozycje pochodzą od niego.

Z tego powodu spotkania komitetu okolicznościowego z pewnością nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, ale dla Hörðura okazały się doskonałą okazją do częstych kontaktów z Rósą. Byli w tym samym wieku, przyjaźnili się od dzieciństwa i od dawna trzymali razem, chociaż rzadziej, niż Hörður by tego chciał. W rzeczywistości od zawsze

kochał Rósę, a jego uczucie wzmogło się ostatnimi laty, kiedy oboje byli już rozwiedzeni. Niczego bardziej nie pragnął niż być z nią, ale nigdy nie mógł o tym napomknąć, ponieważ wyraźnie zależało jej, by relację utrzymać tylko i wyłącznie na poziomie kuzynostwa.

Tym trudniej było mu się z pogodzić z faktem, o którym wiedzieli wszyscy poza samą Rósą – wcale nie byli spokrewnieni. Jóhannes Blikdal ożenił się z jej matką, wiedząc, że jest w ciąży z innym mężczyzną. Rósa urodziła się i została wychowana jako dziecko Jóhannesa, co więcej, pozostała jedynaczką, ale nikt nigdy nie widział powodu, żeby powiedzieć jej prawdę. Sam Hörður Andri nie mógłby tego w żaden sposób uczynić. Rósa wręcz czciła pamięć swojego ojca Jóhannesa, który zmarł, gdy miała zaledwie dwanaście lat. Poza tym Börkur Geirsson, jej biologiczny ojciec, był notorycznym grandziarzem i nie wypadało mieć z nim nic wspólnego. Czasami jednak Hörður miał nadzieję, że Rósa dowie się prawdy z jakiegoś innego źródła. Ingimundur musiał doskonale wiedzieć, jak się sprawy miały, a że był znany z mówienia, co mu ślina na język przyniesie, zawsze można się było spodziewać, że coś chlapnie. W takim scenariuszu Hörður mógłby przyjąć rolę, o której tak często marzył: absolutnie niespokrewnionego pocieszyciela, ekskuzyna i, w rzeczy samej, najlepszego przyjaciela, który z zaistniałego kryzysu wyszedłby jako towarzysz ostatnich czterdziestu pięciu lat życia – oczywiście o ile obydwoje dożyją osiemdziesiątki.

Pod innymi względami działalność komitetu nie przynosiła widocznych rezultatów. Czasami przegapiali wręcz bezsporne okazje: setne urodziny pewnego pradziadka, dwusetną rocznicę osiedlenia się w Bliksdalu – te daty umykały im przede wszystkim z powodu przekornej natury Ingimundura, który zresztą *post factum* nie szczędził wysiłków, żeby wytykać im te właśnie okazje. „Powinniśmy byli” od dawna stało się jednym z motywów przewodnich jego wypowiedzi

na zebraniach komitetu. Rósa Birta coraz częściej wspominała, że cała sprawa już ją nuży, że nie ma czasu na jałowe dyskusje, że powinna w końcu zająć się swoim sklepem, ponieważ trendy w branży odzieżowej zmieniają się coraz szybciej. Poza tym jej córka Selma była już nastolatką, z całym dobrodziejstwem nastoletniego inwentarza, i zdecydowanie przydałoby się jej nieco więcej uwagi i nadzoru.

Tym większa była radość Hörðura, kiedy pewien tajemniczy Islandczyk z Zachodu, Rol Sturlason, skontaktował się z nimi i poprosił o spotkanie. Wiadomość od niego była napisana częściowo po angielsku, a częściowo łamanym islandzkim, całkiem zrozumiałym mimo niektórych dość specyficznych konstrukcji gramatycznych trącących automatycznym tłumaczem Google. Rol miał być spokrewniony z Blikdalami. Nie podawał szczegółowych wyjaśnień, ale informacje na ten temat uzyskał rzekomo z Centrum Emigracji Islandzkiej w Hófós. Teraz chciał spotkać swoich kuzynów i omówić sprawy. Będzie w kraju jedynie przez krótki czas. Jako miejsce spotkania Hörður zaproponował Kolaportið, prawdopodobnie kierowany egoistycznymi pobudkami. Wujek Rol od razu na to przystał, tym bardziej, że miał się zatrzymać w hotelu nieopodal targu. To wszystko Hörður przedłożył następnie pozostałym członkom komitetu. Aby pobudzić ich ciekawość, a przede wszystkim uprzedzić protesty, zastrzeżenia, uprzedzenia i besserwisserstwo Ingimundura, nie ujawnił jednak imienia Rola. W mailach mówił po prostu o „nowo odnalezionym wujku z Ameryki" i sugerował, że najprawdopodobniej „ma w zanadrzu wiele doskonałych okazji, by zwołać zjazd rodzinny".

Plan wypalił w stu procentach. Rósa Birta i Ingimundur natychmiast wykazali zainteresowanie, po czym bez sprzeciwu zaaprobowali miejsce i czas spotkania.

*

Hörður Andri wraca tą samą drogą i widzi, że przez krótką chwilę, gdy rozglądał się po kawiarni, Kolaportið jeszcze bardziej się zaludniło. Tłum napływa teraz z obu kierunków, przez wejścia od zachodniej i od wschodniej strony budynku. Hörður nikogo nie zna, co nie jest w sumie zaskakujące, skoro najwyraźniej większość stanowią turyści – rozglądają się z ciekawością, spacerują między kramami, dotykają towarów i robią zdjęcia. Na targu jest również wielu obcokrajowców, którzy ewidentnie turystami nie są. Przeważają kobiety z Azji: Tajki i Filipinki – jak zgaduje Hörður. Wiele z nich jest z dziećmi, a niektórym towarzyszą islandzcy mężczyźni. Słychać mnóstwo rozmaitych języków, przede wszystkim jednak polski albo rosyjski, albo ich mieszankę; stracił nadzieję, że kiedykolwiek będzie potrafił je rozróżnić.

Hörður podąża dalej pasażem najbliższym wejścia. Przystaje czasem przy stołach i kramach, gdzie ludzie sprzedają przedmioty codziennego użytku: ubrania, buty, sprzęty kuchenne, ozdoby, biżuterię, obrazki i płyty kompaktowe, ponieważ wśród nich kryje się zawsze to, co go kusi: książki. Przegląda stoisko za stoiskiem, na wszelki wypadek, bo nigdy nic nie wiadomo, ale połów jest zazwyczaj skromny. Historyk informatyki Hörður nie poluje na pierwszą lepszą książkę, jedynie na te ze swojej dziedziny. Od dawna gromadzi islandzkie książki oraz broszury dotyczące komputerów i według własnych szacunków jest posiadaczem najpełniejszego zbioru tego rodzaju literatury w całym kraju, a więc zapewne również i na całym świecie. Ma już więcej tytułów na temat informatyki niż Islandzka Biblioteka Narodowa. Problem z kolekcjonowaniem tak specjalistycznych publikacji polega na tym, że książki informatyczne szybko tracą aktualność i dlatego ludzie chętnie je wyrzucają, nie zdając sobie nawet sprawy, że dla niektórych mogą one posiadać wartość kolekcjonerską. Dlatego też wiele tytułów szybko staje się prawie nie do zdobycia, tym samym stymulując

instynkt łowiecki kolekcjonera za niewygórowaną cenę. Takie hobby spotyka się jednak na ogół z niezrozumieniem otoczenia. Po co zbierać te wszystkie broszury i ulotki prezentujące kompletnie nieaktualną wiedzę, której zgłębianie może być zupełną stratą czasu lub posiadać szkodliwe działanie? Czy jest jakiś sens w dowiadywaniu się, jak kiedyś pracowano z oprogramowaniem Appleworks na komputerach Apple IIc? Albo jak dokładnie działał islandzki edytor tekstów Hugrit na pecetach na długo przed wynalezieniem myszki? Kolekcja Hörðura była punktem zapalnym w jego związku z Guðný. W zasadzie tylko jednym z wielu, więc nie można doszukiwać się w nim przyczyny tego, jak się potoczyły sprawy.

*

I tak Hörður Andri chodzi przez dłuższy czas od stoiska do stoiska, ale nie znajduje nic, co by go mogło zainteresować. Zatrzymuje się na dłużej w Woluminie, gdzie swoje stanowisko ma Arni. Szukanie na półkach jest zupełnie bezcelowe, ale na stołach i w kartonach stary Árni trzyma świeżo zdobyte, nieskatalogowane jeszcze różności, i czasami właśnie tam można znaleźć coś ciekawego. Jednak nie tym razem.

Árni mówi przepraszająco już przy powitaniu:

– Tym razem raczej nic dla ciebie nie mam, drogi Hörðurze. Ale pamiętam o tobie.

Hörður dziękuje Árniemu, żegna się i kontynuuje przeglądanie przypadkowych stoisk po drodze do Sævara z Branży Książkowej.

Sævar najwyraźniej ma jakieś dobre wieści. Widać to od razu po gestach, którymi wita zbliżającego się Hörðura. Kiedy tylko Hörður dochodzi do stoiska, Sævar wyciąga z szuflady brązową kopertę i wręcza mu ją z poważną i wyczekującą miną.

– No, no, to dopiero jest prawdziwa zdobycz.

Hörður otwiera kopertę. Czuje, jak po jego ciele rozchodzi się rozkoszne ciepło, gdy tylko dotyka jej cennej zawartości: *Elek – mózg elektronowy*, świetnie zachowana kopia scenariusza musicalu Þorkela Sigurbjörnssona wystawionego przez Grupę Teatralną w Reykjavíku wiosną 1969 roku. Według Hörðura było to pierwsze islandzkie dzieło literackie z komputerem w roli głównej.

– W idealnym stanie – mówi Sævar tak, jakby zawsze wynajdował dla niego coś dobrego. Transakcja odbywa się gładko, bez targowania się na temat ceny, po czym żegnają się uściskiem ręki.

*

Dlatego Hörður jest radosny, wręcz rozentuzjazmowany, kiedy zatoczył już krąg i znalazł się ponownie na miejscu spotkania, w Kaffi Port. Cieszy go też, że Rósa Birta i Ingimundur już są i siedzą przy jednym ze stołów nad kawą i kleinurami. Jest dopiero parę minut po wpół do dwunastej, co oznacza, że tym razem byli wyjątkowo punktualni. Hörður macha do nich, zamawia kawę i bierze talerzyk, na który nakłada jednego kleinura, tak dla towarzystwa. Rozgląda się bacznie dookoła, ale nie widzi nikogo, kto mógłby potencjalnie być wujem Rolem Sturlasonem.

Gdy tylko podchodzi do stolika, natychmiast czuje, że panująca tam atmosfera radosna nie jest. Słyszy, że Ingimundur opowiada właśnie jakąś historię, co potwierdza również nieszczęśliwa mina Rósy, która bawi się cały czas telefonem, coś w niego wstukuje i gdy Hörður podchodzi do stołu z kawą i kleinurem na tacy oraz *Elkiem – mózgiem elektronowym* wciśniętym pod pachę, wykorzystuje tę okazję do przerwania opowieści.

– No proszę, – mówi Rósa – i któż to przychodzi ostatni? Czyżby spóźnialstwo Blikdalów w końcu cię dopadło po tych wszystkich latach?

– Na to wygląda – odpowiada Hörður stawiając tacę na stole i wyciągając powoli i ostrożnie kopertę spod ramienia. Wysuwa też podbródek i ostentacyjnie go głaszcze.

– No, to wszystko jest w końcu na swoim miejscu...

Natychmiast milknie i nie kontynuuje wątku. Nie wie, czy byłoby to w porządku wobec Rósy, która naturalnie nie ma charakterystycznego dla Blikdalów podbródka. Na całe szczęście, ponieważ z takim podbródkiem żadnej kobiecie nie byłoby do twarzy. Hörður często myślał, że trudno o bardziej jaskrawy przykład nabytych i wrodzonych cech rodzinnych: spóźnialstwa i niepunktualności ludzie uczą się poprzez naśladownictwo, ale nie da się wpłynąć ot, tak na kształt podbródka, z jakim się przyszło na świat.

Ingimundur czeka cierpliwie, aż młodzi skończą rozmawiać, po czym powraca do swojego wywodu. Ku coraz bardziej widocznemu udręczeniu Rósy znacznie cofa opowieść, żeby wprowadzić Hörðura w temat. Rósa odchyla się do tyłu, znikając z pola widzenia stryja i przewraca oczami w kierunku siedzącego naprzeciwko brata ciotecznego, który zabrał się już za kawę i kleinura. Hörður przyjmuje niewinny wyraz twarzy osoby kompletnie niezorientowanej, jakby chciał podkreślić, że to nie jego wina, a Rósa kreśli palcem kółka na skroni gestem sugerującym poprzestawiane klepki i potrząsa głową.

Ale Ingimundur jest nieczuły na wszelkie negatywne sygnały emitowane przez Rósę i nie zbacza z raz obranego kursu:

– Opowiadałem Rósie o niezwykle ważkim przeżyciu, które mi się przytrafiło w młodości, gdy wróciłem na Islandię po długim pobycie za granicą. Najsilniej go doświadczyłem, kiedy wróciłem po raz pierwszy, po dwóch latach nieobecności. Przez ten czas rzadko miewałem kontakt z rodakami i mówiłem już biegle po szwedzku, co nie jest przecież szczególnie skomplikowane dla Islandczyka. Tak więc przyjechałem do domu latem po dwóch latach

nieobecności. Do domu rodzinnego, gdzie, jak przystało, miałem spędzić całe lato, dotarłem późnym wieczorem i spotkałem się w nim z rodzicami i rodzeństwem.

Następnego dnia rano, korzystając z dobrej pogody, postanowiłem przespacerować się z zachodniej dzielnicy miasta do centrum. Mój szlak prowadził naturalnie prosto do Tröð przy Austurstræti, gdzie w tamtych latach mieściła się popularna kawiarnia, a jednocześnie coś w rodzaju ośrodka kultury dla poszukujących dusz. Może żywiłem złudną nadzieję, iż spotkam jakichś znajomych ze szkoły. W każdym razie zasiadam tam, zamawiam kawę i gofra ze śmietaną, rozglądam się po kawiarni, ale nie widzę żadnych znajomych twarzy. Salę wypełnia gwar rozmów i nagle doświadczam tego niezwykłego uczucia: jakby ktoś raptem podkręcił głośność w moich uszach. Zupełnie jakbym miał supersłuch. Stał się czymś w rodzaju boga Heimdala, jeżeli znacie tę postać z mitologii nordyckiej. Słyszę i zarazem rozumiem, i to w ułamku sekundy, każde słowo, które pada z ust siedzących w sali osób. Napływające z zewnątrz paplanie i trajkotanie, które człowiek z przyzwyczajenia blokuje, koncentrując się na swym rozmówcy, nagle stają się tak głośne, jakby wszyscy siedzieli tuż przy mnie. Kobieta w najdalszym kącie zwierza się półgłosem swojej przyjaciółce, a ja słyszę to tak, jakby krzyczała do mnie. Na tym polega potęga języka ojczystego, niezależnie od tego, jak biegłym się jest w językach obcych…

Tak oto Ingimundur rozwlekle snuje swoją opowieść, dodając rozliczne przykłady. Następnie zestawia sytuację z przeszłości z dniem dzisiejszym, kiedy wszystko tonie we wszechogarniającym chaosie. Ach, ta problematyczna islandzka wielokulturowość, która wszystko zmieniła w jedną globalną papkę. Takie intensywne doświadczenie jest już teraz absolutnie nie do pomyślenia. Z pewnością minęła dobra godzina, odkąd rozpoczął swoją opowieść (o ile można to nazwać opowieścią), którą Rósa i Hörður

już wcześniej słyszeli. Kiedy tylko nadarza się okazja, Rósa Birta mówi:

– Czy nie sądzisz, mój drogi Ingi, że może po prostu z wiekiem pogarsza ci się słuch?

Ingimundur milknie, chociaż opowieść bynajmniej nie dobiegła jeszcze końca. Nie reaguje na tę zaczepkę, ale wydaje się, że nareszcie zaczyna wyczuwać panującą przy stole atmosferę. Uważniej przygląda się kuzynostwu i nagle klapki spadają mu z oczu. Widzi, jak na wpół pochylona Rósa stuka w telefon, jak Hörður Andri bezustannie lustruje salę i wodzi wzrokiem za wszystkimi, którzy wchodzą na teren kawiarni. Od czasu do czasu studiuje jakieś papiery, które przyniósł ze sobą w kopercie. Ingimundur zauważa, że oboje spoglądają jednocześnie na zegarki, a potem widzi, jak pełne rozczarowania spojrzenia się spotykają. Wtedy sam ostentacyjnie spogląda na zegarek, zbiera się w sobie i mówi:

– No nie. Słuchajcie, siedzę tu już prawie godzinę. Czy ten Islandczyk z Zachodu nie zamierza w ogóle przyjść? O co właściwie chodzi? I kim on jest? Jakimś krezusem czy kim?

– Nie, nie sądzę – odpowiada Hörður. – Nic w każdym razie o tym nie wiem.

– O! Czyż nie dawałeś nam tego do zrozumienia? Że niby on mógłby sfinansować zjazd rodzinny i w ten oto sposób sam stałby się wystarczającą ku niemu okazją? Bogaty, zaginiony wujek z Ameryki. Niemal klasyczny motyw, nieprawdaż? Moglibyśmy rozwiązać nasz komitet i sprawy przejąłby komitet wykonawczy. Czyli nie wiesz nic o tym człowieku? Musisz przynajmniej wiedzieć, jak się nazywa.

– Tak, to wiem – odpowiada Hörður. – Nazywa się Rol Sturlason.

– Co ty powiesz! – wykrzykuje Ingimundur. – Rol Sturlason?

– Tak, przynajmniej tak twierdzi. Coś ci się nie zgadza?

– Coś mi się bardzo nie zgadza. Rol Sturlason nie istnieje.

– Nie istnieje? Co masz na myśli?

– Dałeś się nabrać.

– Nabrać?

– Tak, to jakiś żart.

– Żart?

– Przestań po mnie małpować.

– Małpować?

– Rol Sturlason to postać z *Włóczęgów Dharmy* Jacka Kerouaca. A nawet nie postać, tylko ktoś wymieniony jedynie z imienia i nazwiska. Prototypem Rola Sturlasona z powieści Kerouaca jest niejaki Will Petersen, specjalista od japońskiego buddyzmu. Człowiek wysoko ceniony jako ekspert w swojej dziedzinie. Przyjechał kiedyś do nas do Haparandy i wygłosił referat na moim wydziale. Ale tego wy, młodzi, oczywiście nie wiecie. Nie wiecie pewnie nawet, kto to był Jack Kerouac albo którykolwiek z beatników!

W trakcie swojej przemowy Ingimundur wstaje od stołu i zaperza się coraz bardziej, ale ciągnie dalej:

– Nie wiem jak wy, ale ja nie mam czasu, żeby zajmować się takimi bredniami. Prawdę mówiąc, dochodzę do wniosku, iż nie ma i nigdy nie będzie żadnej okazji do zorganizowania tego waszego cholernego zjazdu rodzinnego.

To powiedziawszy, rusza zamaszystym krokiem przed siebie i opuszcza Kaffi Port, nawet się nie żegnając. Spiesznie przemierza pasaż między butami a heavy-metalowymi koszulkami, odbija w lewo w stronę głównego wejścia i pędzi w kierunku zachodnich drzwi. Tam przechodzi obok amerykańskiego turysty w czapce bejsbolowej i z zawieszonym na piersi potężnych rozmiarów obiektywem. Nie zwraca na niego najmniejszej uwagi.

Hörður Andri patrzy ze zdumieniem za stryjem, oszołomiony tym przedziwnym wybuchem, ale jeszcze bardziej zaskoczony wysuniętym przed chwilą podejrzeniem.

– Kompletnie nic z tego nie rozumiem – mówi. – Że niby ten człowiek nie istnieje? Ale przecież przez cały czas był ze mną w kontakcie.

– Sprawa jest prosta – oświadcza Rósa. – Ingimundur zwariował.

– Że niby to jest postać z książki? I żart? Komu by się chciało ciągnąć ten blef i po co?

Rósa Birta patrzy na niego opanowana.

– Uspokój się, Hörður. Sprawa jest jasna. Znam tylko jednego człowieka, który mógłby to zrobić.

– Tak? Kogo?

– Tylko jeden znany nam człowiek dostatecznie dobrze zna tę książkę, co więcej, jest wystarczająco szalony, żeby się czymś takim zajmować. Bóg wie po co. To przecież Ingimundur. W końcu kompletnie mu odbiło i nie wie nawet, co mówi i robi. Dlatego jest taki wściekły. Nie zauważyłeś? Na tym nie koniec. Jak myślisz, co on mi opowiadał chwilę przed twoim przyjściem?

– Tego nie wiem. Coś o tych swoich wspaniałych beatnikach?

– Tak dobrze nie było. Nie, on usiłował mnie przekonać, że tata nie był moim tatą.

– Co?

– Tak, że nie jestem z Blikdalów. Nie wiem, jaki miał w tym cel. Ale wydaje mi się, że to po prostu jeszcze jeden dowód na jego szaleństwo. Czy słyszałeś kiedykolwiek podobną bzdurę?

– Tak… – wykrztusza Hörður Andri – To znaczy, nie. Jest naturalnie wiele tego, no…

– Tego no, czego? Co chcesz powiedzieć?

Hörður milknie. Czuje, że teraz nadeszła decydująca chwila. Wreszcie nadarza się okazja i postanawia ruszyć do ataku. Najpierw przez kilka sekund usiłuje wydobyć z zakamarków pamięci jedno z wielu przemówień, które układał latami, kiedy sobie tę chwilę wyobrażał: to on odkrywa przed Rósą Birtą prawdę o jej pochodzeniu. Oto długo wyczekiwana Okazja.

– Tak więc… – zaczyna, ale przerywa na widok mężczyzny, który podchodzi do ich stolika. To turysta, raczej wysoki, przysadzisty, w bejsbolowej czapce i z ogromnym aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi. Obiektyw przypomina armatę. Mężczyzna ma charakterystyczny szeroki podbródek.

– Hej – mówi wyciągając rękę. Wita się z nimi przyjacielsko i mówi dalej po angielsku: – Jestem Rol. Wydawało mi się, że wypada się trochę spóźnić. Ale może wolelibyście przejść się ze mną do hotelu, w którym się zatrzymałem? To tu zaraz naprzeciwko. Zapraszam na drinka, a potem możemy wszystko spokojnie omówić.

Kuzyni wstają i podążają za wujem Rolem do hotelu, gdzie będzie rozważał, jedną po drugiej, okoliczności zwołania zjazdu rodzinnego. *Elek – mózg elektronowy* pozostanie w Kaffi Port, ale zniknie stamtąd bez śladu, zanim poddenerwowany Hörður wróci po swą zgubę. Złodziej sprzeda scenariusz Árniemu w Woluminie, a po tygodniu Hörður ponownie go zakupi.

Ulga z odzyskania cennej publikacji będzie tak wielka, że Hörður bez wahania zapłaci za nią ponownie. Nie mógłby zresztą zepsuć autentycznej radości starego Árniego, kiedy ten z dumą pochwali się swoją nową zdobyczą.

Przełożyła Olga Hołownia

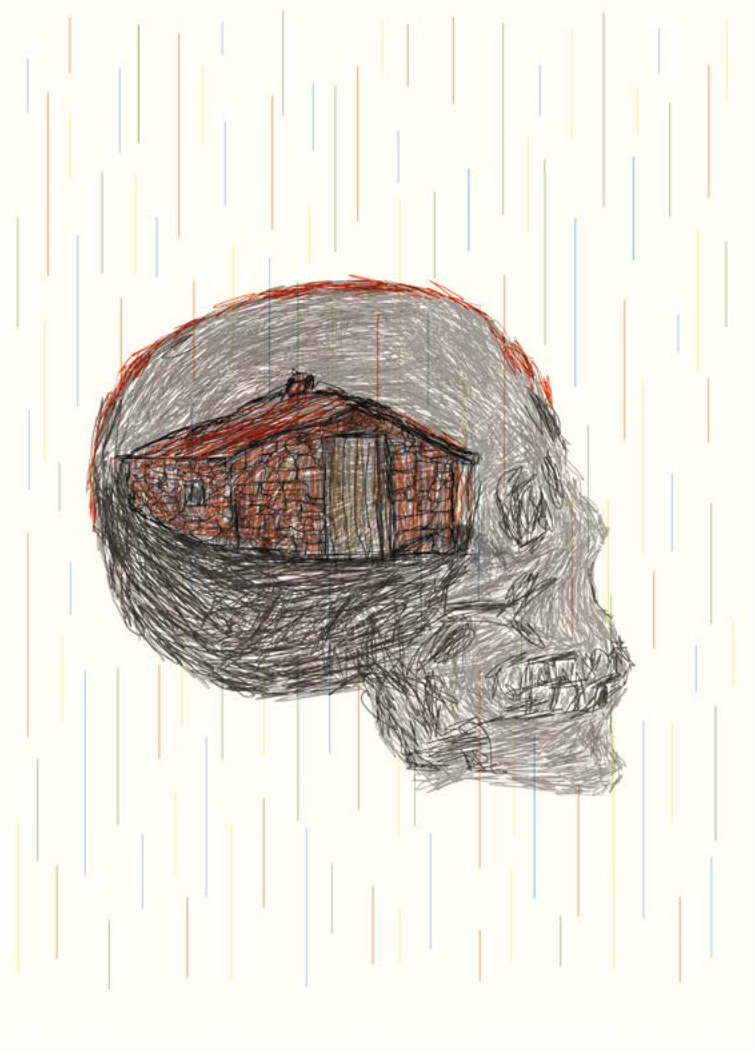

GRAŻYNA PLEBANEK

Jestem u siebie, je suis chez moi,
home, sweet home

1.

Piszę imiona na kartce i je łączę: pierwsza linia pozioma to młoda Rwandyjka i ja. Druga biegnie między nazwiskami Rosamond Carr i Scholastique Mukasongi. Odsuwam na chwilę kartkę. Dwie pionowe kreski – i zamykam kwadrat z naszymi imionami. Odruchowo dorysowuję okna, drzwi, trójkątny dach i wijący się dym. Bez dymu nie ma życia, wiedziałyśmy to już jako kilkulatki. Dym się snuje, a opowieść wplata w gryzące ciepło.

Dom umieszczam w Rwandzie. Nigdy tam nie byłam, ale właśnie zaczynam rysować jej mapę. Najpierw te cztery ściany jak nasze cztery nazwiska, potem najbliższe otoczenie. Zanim tam pojadę, zanim przysypią mnie zmysłowe wrażenia, zmieniając bezpowrotnie ten pierwszy obraz, stawiam konstrukcję ze słów, ciepłych, urywanych, o poplątanych znaczeniach. Tropię zapachy, smaki, widoki, po omacku, z trzeciej ręki. Poprawiam dach, bo wyszedł trochę krzywy, żeby było się gdzie schować przed deszczem. Itumba, sezon deszczowy, trwa w Rwandzie od marca do maja. Kolejny, Umuhindo, od września do grudnia. Pozostałe pory są suche, Urugalyi, w styczniu i lutym, i Ikyi, od maja do sierpnia.

Według tego kalendarza młoda Rwandyjka i ja spotkałyśmy się w czasie Urugalyi. Zbliżała się północ, kiedy wyszłam z akwarium sali przylotów i z ulgą odetchnęłam zimnym powietrzem. Ona już tam stała, studiując rozkład jazdy autobusów. Najpierw trzymałyśmy się od siebie z daleka, ale ponieważ na przystanku nie było nikogo innego, powoli zaczęłyśmy zmniejszać dzielącą nas przestrzeń. Autobus chyba właśnie odjechał, a my nie wiedziałyśmy, kiedy i czy w ogóle pojawi się kolejny. Półgłosem, trochę do siebie, a trochę w przestrzeń zaczęłyśmy rzucać propozycje rozwiązań – może pójść na dworzec kolejowy,

albo złapać taksówkę i podjechać do najbliższego miasteczka? W końcu przedstawiłyśmy się sobie. Natychmiast zapomniałam, jak jej na imię, a ona nie mogła wymówić mojego. Nie wiem, pod jakim hasłem zapisałam się w jej pamięci. Ją nazwę teraz, korzystając z adresu e-mailowego, który mi zostawiła, „ingam", małpa, yahoo. Może na imię jej Inga, ale wolę Ingam. Znajduję w słowniku francuskie „ingambe", najbliższe w pisowni temu imieniu. Oznacza „sprężysty", „zwinny", „swawolny". „Ożywczy".

Meandry połączeń wyrazów będą mi teraz towarzyszyć, przeplatać się będą ścieżki języków. Moja rozmowa z Ingam toczy się po francusku, angielsku i polsku, bo Ingam pochodzi z Kigali, ale studiuje w Polsce, w Łodzi. Ja urodziłam się w Warszawie, teraz mieszkam w Brukseli. Przyleciałyśmy z Polski tym samym samolotem. W autobusie, który wreszcie nadjeżdża, siadamy obok siebie. Ingam mówi, że podoba jej się w Łodzi, ale miała kłopoty z wynajęciem mieszkania. Umawiała się przez telefon z właścicielami na spotkanie, ale kiedy stawała na progu, mówili, że ogłoszenie jest już nieaktualne. „Jak to, przecież jeszcze godzinę temu było?", dopytywała pilnie wyuczonym polskim. Wzruszali ramionami tak jak ona teraz, kiedy mówi, wskazując mrok za oknem: „Tu jest zresztą tak samo, Europejczycy bywają rasistami".

Pytam ją, jak wygląda życie w Rwandzie dwadzieścia lat po ludobójstwie. Od razu używam dobrego słowa, francuskiego „genocide", tym zdobywam jej zaufanie, może nawet sympatię. Gdybym powiedziała „wojna", „war", musiałaby mnie poprawiać, tłumaczyć z rezygnacją, znów nazywać to, co długo nie było powszechnie nazwane. Ingam mówi, żebym przyjechała i sama zobaczyła, ugości mnie. Mieszka z matką, ojca zabito, gdy Ingam miała się urodzić. Był Tutsi, matka jest Hutu, to jej uratowało życie, jej i Ingam, która pojawiła się na świecie miesiąc po śmierci ojca. „Tutsi, Hutu…" powtarzam za nią oba wyrazy, naśladując jej

akcent, ale Ingam mnie ucisza. U nich, w Rwandzie, już się tych słów nie wymawia, teraz wszyscy są Rwandyjczykami. „A język? – pytam – w jakim języku mówicie?” W kinyarwanda i po angielsku. Dawniej mówiło się po francusku, ale niedawno do szkół wprowadzono angielski. Francuski źle się kojarzył. Może to od niego, od języka, wszystko się zaczęło, od jego obcości, zastanawiam się, a na głos pytam, kiedy powinnam przyjechać do Rwandy. „Byle nie w kwietniu – ostrzega Ingam. – Bo wtedy płaczemy”.

Wjeżdżamy do Brukseli, drobne warkoczyki Ingam muskają mi ramię, ją łaskocze kołnierz mojej kurtki. Jeszcze zdąży mi opowiedzieć, jak się robi taką fryzurę, a potem znika w tłumie na dworcu w Brukseli. Stoję i ściskam w ręku kartkę z jej adresem e-mailowym. W pierwszym odruchu chcę za nią iść, ale się powstrzymuję. Zaskakuje mnie własna myśl: „Jak smakuje rwandyjska herbata?”. I druga, że już zapominam, jak wygląda Ingam, jej rysy rozmazują się, w pamięci zostaje struktura warkocza, trzy pasma splecione ściśle jak trzy języki, którymi się porozumiewałyśmy. Te trzy języki będą nazywać to, co spotkam na rwandyjskiej drodze.

9 marca 2013 roku poznaję pisarkę Scholastique Mukasongę. Urodziła się w Rwandzie, ale musiała z niej uciekać jako młoda dziewczyna. Wróciła tam dekadę po ludobójstwie, z jej rodziny prawie nikt nie przeżył, zabito też kuzynów i sąsiadów, bo byli Tutsi. Podchodzę do niej po spotkaniu autorskim, jednak wyprzedza mnie dziennikarka, przyszła przeprowadzić z nią wywiad. „Jestem tu za koleżankę, która nie mogła się pojawić”, tłumaczy, wyjmując mikrofon. Ale pisarka nie chce z nią rozmawiać – nie ma tej, z którą się umawiała, nie będzie wywiadu – to nieprofesjonalne zachowanie. Idzie szybko do stoiska, na którym ma podpisywać książki, dziennikarka biegnie za nią. Podniesione głosy, dziennikarka odchodzi, nie kryjąc złości. Zostaję sama, przede mną błyskają okulary Mukasongi. Mój

francuski zawisa między nami niepewnie, zdanie urywa się gdzieś w trzech czwartych, ale Mukasonga je podchwytuje, ratuje, gramatycznie pomaga. Zaczynamy rozmawiać.

Kilka miesięcy po tym spotkaniu trafiam na książkę Rosamond Hasley Carr *Land of a Thousand Hills*. Od czasu poznania Ingam kupuję i czytam wiele książek o Rwandzie, ale większość opisuje ludobójstwo, czas, który je poprzedził i to, co się stało potem. Carr, Amerykanka urodzona na początku dwudziestego wieku, osiedliła się w Rwandzie w latach pięćdziesiątych. Pokochała Rwandę z wzajemnością, tam znalazła swój dom. Wyjechała tylko na kilka miesięcy, ewakuowana, kiedy zaczęło się ludobójstwo. Pod koniec życia spisała wspomnienia, pół wieku życia w Rwandzie. W książce Rosamond Carr znajduję zdanie: „Niewątpliwie w kulturze Rwandy to kobiety są kręgosłupem rodziny". Na myśl przychodzi mi Scholastique Mukasonga.

Dwie kobiety w poszukiwaniu domu, dwie opowieści, historia życia Amerykanki i autobiografia Rwandyjki; z jednej strony *life story*, z drugiej *un recit autobiographique*. Angielski i francuski budują moje rwandyjskie abecadło. Polski się upraszcza, słowa przestają przeskakiwać się nawzajem, nie strzelają w barwnych pióropuszach, nie ciągną się jak słodkie krówki z mojego dzieciństwa. Pod naporem obcych słów, zaczynają przypominać cegły – ciężkawe, praktyczne, solidne.

2.

Najpierw są karaluchy. Rosamond Carr przesypia swoją pierwszą noc w Afryce w kiepskim hotelu, w pokojach obok drą się pijani marynarze, po ścianach łażą trzycentymetrowe karaluchy w wielkimi wąsami. Jest rok 1949, Carr ma trzydzieści siedem lat, przyjechała do belgijskiego Konga z mężem, o dwadzieścia lat starszym od niej podróżnikiem. Kenneth Carr niebawem zniknie z jej życia, bezdzietne małżeństwo się rozpadnie, a Rosamond zostanie

ze swoją prawdziwą miłością, Rwandą, i będzie jej wierna przez kolejne pięćdziesiąt siedem lat. Opisuję to uczucie tak jak ona, czyli w kategoriach romansu, bo ten kierunek wyznacza język, którym posługuje się Carr, wyrafinowany angielski z początków dwudziestego wieku.

Widzę ją, jak stoi przed hotelem, ze wspomnieniem karaluchów biegających tej nocy po jej pościeli. Czuje się niema – nie zna żadnego z tutejszych języków, ani lingala, ani francuskiego, nawet swahili Kennetha nie na wiele się tu zda, podobnie jak kilka języków z grupy Bantu, którymi jej mąż włada. Rosamond Carr stoi w afrykańskim słońcu i poci się ze strachu – czuje się tu przerażająco obco.

Te same lata pięćdziesiąte, kilkuletnia Scholastique Mukasonga oswaja się ze słowem „karaluchy". Słyszy je raz po raz, a przed oczami nie pojawiają się insekty, tylko twarze tych, którzy tak ich nazywają – ją, rodziców, rodzeństwo, kuzynów, sąsiadów. Wiedziała, że jest Tutsi, ale teraz dociera do niej, że to coś złego. Każdy Rwandyjczyk musi mieć w dowodzie wpisaną przynależność etniczną, tak nakazali Belgowie, którzy skolonizowali Rwandę. Gryzmoł w dokumentach nabiera coraz większego znaczenia, aż wreszcie stanie się przepustką do życia lub wyrokiem śmierci, począwszy od 6 kwietnia 1994 roku.

Mała Scholastique widzi, że twarze ludzi, którzy wymawiają słowo „karaluchy", wykrzywiają się. Wygląda to tak, jakby przezywali ją i jej bliskich, ale to nie jest dziecinne droczenie się z pokazywaniem języka, to nie są słowa rzucane na wiatr, tylko słowa mające moc sprawczą. Wkrótce pod dom rodziców Mukasongi i sąsiadów zajeżdżają ciężarówki. Ktoś każe im iść, a właściwie biec, zmuszają do biegu całe rodziny, wołają, żeby wsiedli na ciężarówki. Scholastique trzyma się spódnicy matki, przyciska głowę do jej wielkiego brzucha. Matka jest w zaawansowanej ciąży, pod pachą ściska czarny garnek, który udało jej się chwycić, zanim wygonili ich z domu. Czarny garnek jedzie

z nimi, a znajome życie zostaje z tyłu, znika za zakrętem drogi. Żegnają je stęknięciami, ściśnięci w upale na platformach ciężarówek kolebiących się na wybojach. W masie przestraszonych ciał Scholastique poznaje smak obcości – absmak, który zawsze będzie jej towarzyszył, podobnie jak wspomnienie czarnego garnka.

Karaluchy znów się pojawią. Amerykanka Carr odkryje inne znaczenie tego słowa, chociaż inwektywa osobiście nigdy jej nie dotnie. Będzie się odbijać o innych jak piłka w grze w dwa ognie ciskana przez zawodników dwóch drużyn. To przerzucanie wymknie się spod kontroli i zmieni życie Carr i jej adoptowanego kraju.

Mukasonga opisze polowanie na karaluchy z osobistej perspektywy. Rwandyjskie *inyenzi* wypełni nacechowanym emocjonalnie, subiektywnym znaczeniem: od poczucia utraty, przez rozpacz, drętwotę, do złości. Przy *inyenzi* angielskie *cockroaches* i francuskie *cafards* wydają się neutralne, wyglądają, jakby nie żyły. W każdym razie się nie ruszają.

3.

Lampart jest gibki, egzotycznie piękny, tak jak większość zwierząt, które ogląda przez lornetkę Rosamond Carr. Jej mąż jest myśliwym, na zdjęciach pozują oboje na zabitym słoniu, tubylcy noszą Rosamond w lektyce, ich zmęczone twarze i jej uśmiech tworzą czarno-biały kontrast. Rosamond w latach pięćdziesiątych wygląda na fotografiach jak kobieta z „Vogue'a", pozuje z łydkami przyciśniętymi jedna do drugiej, rozkloszowana spódnica podkreśla smukłość talii. Kiedy rozstanie się z mężem, porzuci spódnice, nie wsiądzie już do lektyki. Zawsze elegancka i starannie uczesana, zacznie zarabiać, hodując kwiaty (maruna z gatunku chryzantem). Zwierzęta przestaną być trofeum męża, a staną się częścią jej życia.

Z niektórymi przyjdzie jej żyć w zgodzie, jak z jelonkiem, którego zabitą matkę Carr zastąpi i odchowa malca na butelce mleka, aż ten wyrośnie, stając się jak psy domowym zwierzakiem. Ale ze słoniami sprawa będzie trudniejsza. Będą wchodzić na jej pola i tratować uprawy, nic nie pomogą płoty, te kolosy odstraszyć mogą tylko dźwięki bębnów, czy hałas puszek. Nie na długo. „Nigdy nie wygrałam ze słoniami (…) – pisze Carr – Sprytne i przebiegłe, drażniły mnie i przechytrzały (…) Niestety do 1980 zostało ich w Rwandzie raptem kilka".

Ale najbardziej przerazi ją spotkanie z lampartem. Nocą na ciemnej drodze, zda sobie sprawę, kim naprawdę jest w tej konfrontacji – słabszym drapieżnikiem. Bez broni nie należy do rasy zwycięzców, boi się silniejszego. „Widziałam, co lampart może zrobić – zwierzętom i ludziom – i naprawdę jest się czego bać", pisze w *Land of Thousand Hills*.

Lampart odwiedza nowy dom Scholastique Mukasongi. Mieszka z rodziną w obozie dla wygnanych Tutsi w Gitwe, z dala od innych wiosek, na terenie zamieszkanym przez wielkie drapieżniki. Po wodę trzeba chodzić kilka godzin. Dzieci i dorośli boją się spotkań z lwami czy bawołami, ale najbardziej przerażają ich lamparty. Dlatego palą przed domami ogniska tak długo, jak się da, byle tylko odstraszyć zwierzęta. Ale one i tak przychodzą, skradają się cicho, na widok ich błyszczących w mroku oczu, ludzi paraliżuje strach. Matka Scholastique powtarza dzieciom, żeby widząc lamparta, nie ważyły się ruszyć. „Jeśli się poruszycie – mawiała – pomyśli, że nie okazujecie mu szacunku".

Słonie, które tratują kwiaty na plantacji Amerykanki, terroryzują wioskę uchodźców. Ale dzieci sądzą, że spotkanie z nimi ma swoje zalety – usprawiedliwia spóźnienie się na lekcje. Kiedy słonie wkraczają na drogę, ludzie muszą czekać, aż zwierzęta przejdą. Nie wolno biegać, rodzice powtarzają dzieciom: „Zawsze idźcie za słoniami, nigdy nie przecinajcie im drogi, nie wyprzedzajcie ich".

Majestatyczne zwierzęta budzą szacunek, tańczące kobiety naśladują ich ruchy pełne gracji.

4.

Rosamond Carr uczy się Rwandy i Rwandyjczyków, jej oczami widzę świat pogodny, który w pewnym momencie zmieni swoje oblicze, ale na razie nic tego nie zapowiada. Plantacja angażuje wielu ludzi, pracują dla Rosamond i przy niej żyją, przychodzą zwierzać się ze swoich kłopotów, zgłaszają się po porady i lekarstwa. Farmerzy Hutu przynoszą świeże owoce i warzywa, pasterze Tutsi dostarczają świeżego mleka w drewnianych kubkach, Pigmeje sprzedają garnki we wszelkich kolorach i kształtach. „Ich świat stał się moim światem, moje życie było zanurzone w ich kulturze, zwyczajach, tradycjach" – pisze Carr. Rozmawia z Rwandyjczykami, zapisuje, co mówią, zdania, takie, jak te: „Bóg dał kobiecie głos po to, żeby go używała". Czy: „Szczęście kobiety zależy od dobrego serca i delikatności jej męża" – słowa, które wypowiada Rudabeka, w połowie Pigmej, w połowie Hutu, mąż trzech żon.

Rosamond obserwuje ich życie, dzięki czemu z dystansu widzi własne. Po rozwodzie z Kennethem spotyka mężczyzn, z którymi znajduje porozumienie, ale z żadnym nie wiąże się na dłużej. Jeden prosi ją o rękę i proponuje życie z dala od Afryki. Carr odmawia – wybiera Afrykę. Mężczyzną, z którym dzieli drugą połowę życia jest Sembagare, początkowo jej służący, potem przyjaciel. Carr będzie miała osiemdziesiąt dwa lata, kiedy zbudują razem dom dziecka dla sierot, ofiar ludobójstwa. Rosamond napisze, że ona, która zawsze bolała nad faktem, że nie została matką, w wieku osiemdziesięciu dwóch lat doczekała się czterdzieściorga przygarniętych dzieci. Ojcuje im wszystkim sędziwy Sembagare.

Pogodny obraz codzienności w opisie Carr zmienia się, kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych liderzy Tutsi, do tej

pory ulubieńcy kolonizatorów, żądają niepodległości dla Rwandy. Belgowie odpowiadają faworyzowaniem większości etnicznej, czyli Hutu. Teraz szkoły, gdzie kiedyś liczebnie przeważali Tutsi, zaczynają zaludniać dzieci Hutu, a po rewolcie w 1959 roku stanowiska bankierów, sędziów, pomocników lekarzy, do tej pory zajmowane przez wykształconych Tutsi, przejmują niedoświadczeni Hutu. Carr z okna swojego domu widzi dymy unoszące się nad palonymi domami Tutsi, obserwuje rodziny idące drogą, niezwykle wysokich mężczyzn i kobiety w powiewających białych szatach. Opisuje aresztowania Tutsi, ich ucieczki za granicę, do sąsiednich Burundi, Ugandy, Konga.

To, co czterdziestosiedmioletnia wówczas Carr próbuje opisywać obiektywnie, Scholastique Mukasonga nazywa emocjonalnie, nieco po dziecięcemu. Początki swojego życia zamyka w rozdziale pod tytułem: „Koniec lat pięćdziesiątych: przerwane dzieciństwo". Kolejnym etapom życia nadaje równie znaczące nazwy: „Wygnana", „Przetrwanie w sawannie", „'Demokratyczne' wykluczenie" („L'exclusion „democratique"). Jej codzienność, jednej z *inyenzi*, to strach i oswajanie się ze śmiercią, choć obóz uchodźców traci znamiona prowizorki i robi się solidniejszy. Przez jakiś czas wydaje się, że życie się tu zagnieżdża, wygnani hodują w ogrodach warzywa, przynoszą z daleka wodę, modląc się, żeby mostu nie zabarykadowali żołnierze. To się zdarza, podobnie jak najazdy ciężarówek na obóz uchodźców, aresztowania. Niektóre dziewczynki, koleżanki Scholastique zostają zgwałcone, o czym ona napomyka sucho. Takie są fakty, z tym się żyje – ważne, że się żyje.

Wieczorami matka zbiera dzieci i opowiada im o stworze, na którego mają uważać. Nazywa się Ingegera i pojawia się w ciemnym kącie domu. Jest chudy, czarny, łypie zaczerwienionymi oczami. Ale najstraszniejsze są jego włosy, tak splątane, że wyglądają, jakby tkwiły w nich zioła i korzenie.

Tych włosów nie da się rozplątać, bo Ingegera nie ma nikogo, kto mógłby to zrobić.

Tymczasem nadchodzi niepodległość, a właściwie spada na Rwandę, zupełnie do tego nieprzygotowaną. „To była bez wątpienia najbardziej byle jak sklecona niepodległość, jaka kiedykolwiek miała miejsce”, zżyma się Carr. Zabrakło czasu, żeby zorganizować porządnie wybory, przygotować ludzi, uświadomić Rwandyjczykom, co się dzieje. Carr pisze, że ktoś zapytał: „Co to jest niepodległość? Osoba?”. Nad krajem latały helikoptery zrzucając ulotki z tekstem przygotowanym w pośpiechu. Zamieszanie potęgowała wiadomość, że już miesiąc po odzyskaniu niepodległości z Rwandy wycofają się siły ONZ, zostawiając nieprzygotowany kraj własnemu losowi. Według Carr bano się najazdów ze strony Tutsi mieszkających poza Rwandą, jednak dzień wyborów przebiegł zaskakująco spokojnie. Wieczorem Sembagare zapytał słuchającą radia Rosamond: „Co świat mówi o naszej niepodległości, Madame?”. Ale w radiu ledwo wspomniano o rwandyjskich wyborach. „Świat cieszy się razem z nami”, skłamała Carr.

Scholatique Mukasonga poszła na wybory razem z rodzicami. Jej ojciec wraz z innymi Tutsi, uchodźcami politycznymi, którym kazano głosować, stanęli przed długim stołem, przewiercani wzrokiem przez tych, którzy za nim siedzieli. Wysocy mężczyźni w białych szatach wolno powkładali kartki do głosowania do kopert, następnie wrzucili je do skrzynki. Scholastique pisze: „W ten sposób – powiedział mój ojciec – ja i inni uchodźcy polityczni z Nyamata zagłosowaliśmy na Kayibanda, który obiecał nas wykończyć”. I tak się stało. Styczeń i luty 1964 pod rządami Gregoire Kayibanda stanowiły preludium do ludobójstwa, które przyszło trzydzieści lat później. Zanim świat nazwał je ludobójstwem, wyrżnięto prawie milion ludzi w trzy miesiące.

Słowo „karaluchy” nabiera znaczenia w opowieści dwóch kobiet, których wspomnienia szkicują moją mapę Rwandy. Teraz już wiem, że ojciec Ingam, Tutsi, był karaluchem. Nie zapytałam Ingam, w jaki sposób zginął, Carr też nie pozwala się omsknąć swojej narracji w epatowanie okrucieństwem. Mukasonga przytacza fakty, tak suche, jak tylko się da.

Jej nastoletnie życie imituje normalne. Udaje jej się dostać do dobrej szkoły średniej, tam słowo *inyenzi* zastępuje imię uczniom Tutsi. Scholastique uczy się nocami, bo dnie są pasmami prześladowań. Razem z innymi „karaluchami” po zapadnięciu zmroku wymykają się do toalet, gdzie wreszcie mogą się w spokoju uczyć. „Wszystkiego, czego się nauczyłam w Notre-Dame-de-Citeaux, nauczyłam się w ubikacji” – pisze w swojej autobiograficznej książce.

Carr pisze: „Hutu nazywali ich *inyenzi* – co oznacza karaluchy – bo wychodzili tylko nocami”. Pisze, że napady Tutsi, których wygnano z Rwandy do Burundi, Ugandy i Konga, były przerażające. Sama nazywa ich terrorystami, używa nazwy nadanej im przez prześladowców – bo znała ich ofiary, staje po stronie bliskich sobie ludzi, których zabili wygnani. Przytacza cyfry: dwudziestu siedmiu zabitych Hutu w ciągu jednej nocy.

Potem, kiedy będzie opisywać wypadki nocy i dni, które zaczęły się 6 kwietnia 1994 roku, wspomni twarze Hutu, których znała od dziecka. Zmuszona opuścić swoją farmę, ukochany dom w Mugongo, przejedzie samochodem wśród szpaleru rozwścieczonych postaci. Część z nich wychowała się u jej boku, w jej ogrodzie, jej domu. Teraz stali i krzyczeli, nieprzytomni z nienawiści. Patrzyła na to z okien samochodu, który wiózł ją na lotnisko, zabierając z kraju, który kochała, teraz pełnego przemocy. Chociaż opierała się do końca, musiała wyjechać z Rwandy, gdy rozpętało się ludobójstwo.

I ona, i Scholastique zżymają się, że nikt nie nazwał stanu faktycznego po imieniu. Masakry ukrywano pod

rozmaitymi określeniami, unikając ich nazwania, dlatego dla świata nie istniały. „Konflikty etniczne”, tak uparcie określały je media i politycy.

Z dala od Rwandy, Carr wciąż tkwi tam myślami. „Spędzałam godziny przyklejona do telewizora, patrząc na obrazy, które będą mnie prześladować do końca życia”, pisze o tych miesiącach, które zmuszona była spędzić w Stanach. Mukasonga tak wspomina ten czas: „Nie byłam z moimi, kiedy ścinali ich maczetami. Jak mogłam żyć, kiedy oni umierali? Przeżyć! To misja, prawdziwa misja, którą nam powierzyli rodzice…”

Karaluchy, ludobójstwo, Tutsi i Hutu – słowa nacechowane, słowa przemilczane, słowa zabronione. Po nich nastąpiła cisza, cisza po miesiącach aktywnego zabijania, zwanego „pracą”. Słowo „praca” zyskało nowe znaczenie w Rwandzie czasów ludobójstwa – praca oznaczała wybijanie karaluchów. Między dwoma opowieściami kobiet, francuską i angielską, szukam obrazu tamtej Rwandy i równowagi dla moich polskich myśli.

6.

Dziesięć lat zabrało Scholastique Mukasondze, zanim odważyła się wrócić do Rwandy. Przejść drogą, na której kiedyś spotykała słonie, i którą omijała, przedzierając się po krzakach, gdy uciekała ze swojego kraju, coraz dalej od domu rodziców. Staje tam i mówi: „Jestem sama na obcej ziemi, gdzie nikt na mnie nie czeka”.

A potem odnajduje spłachetek ziemi przed domem, gdzie ostatni raz widziała matkę i naraz wszystko wraca – zapachy, obrazy, dotyk, nawet powiew wiatru z przeszłości. Opisuje otoczenie domu, którego już nie ma, chwyta szczegóły, szeleszczą nazwy ziół, drzew. Kreśli obraz tak dokładnie, że przestaje do mnie docierać znaczenie jej słów. W tej nierzeczywistości pod francuskie słowa opisujące

afrykańską rzeczywistość wsuwają się te, które znam najlepiej, polskie…

… bananowiec, pod którym stał dom Mukasongi, zamienia się w jabłoń, która rosła przed domem, gdzie mieszkałam jako dziecko. Dom, jeden z wielu na osiedlu żółtych domków fińskich, powojennym darze Związku Radzieckiego dla Polaków, dostał mój wuj inżynier. Jego młodszy brat bronił Warszawy w 1944, był siedemnastoletnim powstańcem. Ewakuowano go rannego, zanim Warszawę ścisnęło imadło dwóch frontów, niemieckiego i rosyjskiego. Domy zburzono w latach siedemdziesiątych, a nas, mieszkańców przeniesiono do nowo wybudowanych bloków. Jabłoń, starsza ode mnie i od moich wujów, rośnie przed domem, który istnieje już tylko w mojej pamięci. Tak, jak bananowiec w Rwandzie przed dawnym domem Mukasongi.

Sylwetka matki przed nieistniejącym domem – „Jestem u siebie", szepcze Mukasonga. Patrzy na bananowiec, ja widzę jabłoń rosnącą obok miejsca, gdzie stał nasz dom. To stamtąd, z Ochoty, pojechałam prosto na Okęcie, skąd samolotem przyleciałam do Belgii. Na przystanku przed lotniskiem Charleroi zobaczyłam Ingam, ale moje myśli wciąż pełne były wspomnień. Żółty dom stojący w kwitnącym ogrodzie i to, co z niego zostało kilka lat później – wyrysowany w ziemi kwadrat fundamentów. Miałam kilka lat, kiedy stanęłam obok niego i patykiem dorysowywałam dach, komin, dym. Ale ziemia wokół dołu po domu była zryta kołami ciężarówek, które właśnie wywiozły gruz. Byłam mała, linia, którą wytyczałam patykiem nie przebiła się przez koleiny.

Ingam wczytywała się w rozkład jazdy autobusów odjeżdżających do Brukseli, a ja myślałam, ile się wokół dawnego domu zmieniło. Wytyczono nowe ścieżki, ustawiono ławki, miejscu po osiedlu nadano nazwę: park imienia Józefa Piłsudskiego. Niedaleko miejsca, gdzie kiedyś stał mój dom, wiodła ścieżka ochrzczona nazwiskiem Ryszarda

Kapuścińskiego. Mieszkał po sąsiedzku, zanim się urodziłam. Chodził do tej samej podstawówki co moja mama.

Mukasonga zapisuje imiona zabitych. Będzie je pamiętać, nauczy ich swoich dzieci.

Carr wraca do Mugongo kilka miesięcy po ludobójstwie. Dom jest zniszczony, ale stoi. Osiemdziesięcioletnia kobieta zabiera się za budowanie życia od nowa. Bez wody, elektryczności, czasem bez jedzenia, odbudowuje swój dom, obok stawia drugi, większy. Zamieszkają w nim dzieci, które przetrwały ludobójstwo. Sierociniec, który Carr założyła z Sembagare, pomieści ponad setkę dzieci.

Imiona bliskich Mukasongi, jej rodziców, braci, sióstr, kuzynów i sąsiadów są wypisane w książce *Inyenzi ou les cafards*. Odpryski wspomnień tkwią w jej powieściach.

Rosamond Halsey Carr spisała swoje wspomnienia, korzystając z pomocy bratanicy, Ann Howard Halsey. Fragmenty książki podróżowały z Pensylwanii w Stanach do ambasady amerykańskiej w Kigali, skąd ciężarówka zabierała je do dawnego domu Sembagare. Tu przejmowały ją dzieci i niosły dwanaście mil, żeby przesyłkę doręczyć osobiście Rosamond Carr.

7.

9 marca 2013 roku Scholastique Mukasonga, powściągając złość na niesłowną dziennikarkę, opowiada mi o Rwandzie. Potem wpisuje do książki: „Dla Grażyny. To historia ludzi. Ale jest nadzieja na lepszą przyszłość. Scholastique”.

Z Ingam ustalamy, żebym nie jechała do Rwandy wiosną, bo w kwietniu obchodzi się tam narodową żałobę. 6 kwietnia 2014 roku wypada dwudziesta rocznica ludobójstwa, smutek przeniknie każdy dom, słowa nie dadzą mu rady. Ale potem skończy się pora deszczowa i przyjdzie długi sezon suchy, Ikyi. Powtarzam to słowo w kinyarwanda, zgadując jego wymowę.

Biogramy autorów

Halldór Armand Ásgeirsson – nazywany jest nowym głosem literatury islandzkiej. Jego debiutancka książka „Vince Vaughn w niebie", wydana w 2013 składa się z dwóch rozbudowanych opowiadań. Młody prozaik jest również autorem dramatów i kompozytorem, obecnie pracuje nad powieścią. Swoim debiutem zwrócił w 2013 roku uwagę krytyków i otrzymał z Icelandic Literature Center Grant dla Nowych Głosów. Absolwent prawa; mieszka w Londynie i w Reykjaviku.

Marek Bieńczyk – prozaik, eseista, tłumacz m.in. książek Milana Kundery, Rolanda Barthesa i Emila Ciorana. Opublikował powieści „Terminal" i wielokrotnie nagradzane „Tworki", a także zbiory esejów, m.in. „Melancholia. O tych co nigdy nie odnajdą straty", „Oczy Dürera. O melancholii romantycznej", „Przezroczystość" i nagrodzoną NIKE „Książkę twarzy" (2011). Bieńczyk jest także autorem książek dla dzieci, m.in. „Księcia w cukierni". Jego utwory tłumaczono na angielski, francuski, hiszpański, niemiecki, rosyjski i bułgarski.

Mikkel Bugge – pochodzi z Vesterålen na północy Norwegii, ale mieszka w Oslo. Zadebiutował zbiorem opowiadań „Yttersider" (2007). Chwalony przez krytykę za szybkie tempo prowadzenia narracji, inteligentne i pomysłowe opowiadania. Powieść Buggego „Schodząc pod ziemię" została entuzjastycznie przyjęta, podobnie jak najnowsza – „Tauet" („Lina").

Kristín Eiríksdóttir – prozaiczka i poetka. Pierwszy tomik poezji autorki „Mięsne miasto" ukazał się w 2004r. W 2008 pojawił się zbiór „Inny rodzaj błogości". Dwa lata później Eiríksdóttir wydała opowiadania „Doris umiera", a w 2012 – debiutancką powieść „Hvítfeld – historia rodzinna". Utwory Eiríksdóttir tłumaczono na duński, niemiecki i angielski.

Thórarinn Eldjárn – debiutował w 1974 roku tomem „Wiersze". Od tamtej pory opublikował kilkanaście zbiorów poezji, książek dla dzieci oraz dziewięć zbiorów opowiadań (m.in.

„Wyolbrzymienia”; „Ostatnie sympozjum i inne tragedie”; „Zawsze ta sama historia”), sześć powieści (m.in. „Niebieska wieża”) i współczesne wersje poematów „Wieszczba Wölwy” oraz „Pieśń Najwyższego”. Eldjárn przełożył na islandzki m.in. dramaty Szekspira, utwory Lewisa Carrolla, H.C. Andersena, Henrika Ibsena, Erlenda Loego i Roberta Burnsa. Wiesze, opowiadania i powieści autora ukazały się w przekładach na m.in. angielski, francuski, niemiecki, duński, polski, węgierski i chiński.

Christine Glinski-Kaufmann – w latach 2007-2010 studiowała dziennikarstwo we Freien Journalistenschule (FJS) w Berlinie. Od 2009 do 2013 uczęszczała na kursy kreatywnego pisania w hamburskiej Schule des Schreibens, którą ukończyła z wyróżnieniem za jedno ze swoich opowiadań. Publikuje między innymi w wydawanej co roku przez Literaturhaus w Liechtensteinie „Jahrbuch”.

Natasza Goerke – prozaiczka i poetka. Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Autorka książek „Fractale”, „Księga pasztetów”, „Pożegnania plazmy” oraz „47 na odlew”, za którą była nominowana do Nagrody Literackiej NIKE. Publikuje w polskiej i niemieckiej prasie. Mieszka w Hamburgu. W ramach Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania prowadzi warsztaty kreatywnego pisania, jest także jurorką konkursu na najlepsze opowiadanie organizowanego w ramach festiwalu.

Inga Iwasiów – krytyczka literacka, prozaiczka, historyczka i teoretyczka literatury, poetka. Prezeska Polskiego Towarzystwa Autobiograficznego. Wydała między innymi: „Gender dla średnio zaawansowanych. Wykłady szczecińskie”, zbiory wierszy „Miłość” i „39/41”; opowiadania „Smaki i dotyki” oraz powieści „Bambino”, „Ku słońcu”, „Na krótko”. W 2013 ukazały się między innymi „Blogotony”, „Umarł mi. Notatnik żałoby”, a 24 września tego roku – najnowsza powieść autor-

ki „W powietrzu”.

Piotr Paziński – redaktor naczelny „Midrasza” i współtwórca Dni Książki Żydowskiej, członek redakcji wydawnictwa Austeria. Pisze, tłumaczy, zajmuje się filozofią judaizmu i tematem żydowskim w literaturze. Ogłosił dwa tomy własnej prozy: „Pensjonat” (za tę książkę otrzymał Europejską Nagrodę Literacką) i „Ptasie ulice”. Bywa fotografem oraz redaktorem i składaczem książek własnych i cudzych.

Grażyna Plebanek – pisarka, autorka powieści „Nielegalne związki”, „Dziewczyny z Portofino”, „Pudełko ze szpilkami”, „Przystupa”, „Córki Rozbójniczki” i najnowszej „Bokserki”. Pracowała jako dziennikarka dla Agencji Reutera i „Gazety Wyborczej”, publikuje m.in. w „Wysokich Obcasach Extra”, „Lampie”, „Newsweeku” czy „Elle”. Od 2005 roku mieszka w Brukseli.

Stefan Sprenger – nauczyciel, pisarz i artysta, pracuje w Liechtensteinie i w St. Gallen. Wśród jego publikacji znajdują się zbiory prozy, m.in. „Dr Hans und sini Bank“ oraz „Katzengold. Zwei Aufsätze zum Wandel im Fürstentum Liechtenstein“. Opowiadania i wiersze autora publikowano w kilkunastu czasopismach i antologiach, np. w „Best European Fiction 2011“.

Laila Stien zadebiutowała zbiorem opowiadań „Nyveien”. Jej utwory osadzone są w społecznościach lokalnych północnej Norwegii, podejmują tematy codzienności i życia bohaterów, na które wpływ mają wyjątkowy klimat, społeczeństwo i oddalenie. Stien wydała powieść „Vekselsang”, a także cztery zbiory opowiadań. Autorka tłumaczy na norweski książki napisane w języku lapońskim, redagowała również antologie współczesnej literatury lapońskiej.

Ziemowit Szczerek – absolwent prawa i nauk politycznych, dziennikarz, współpracuje z portalem Interia.pl i „Nową Europą Wschodnią”. Publikował m.in. w „Tygodniku powszechnym”, „Lampie” i „Studium”, jest stałym felietonistą portalu

Ha!art. Laureat Paszportu „Polityki” 2013 za „Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian”. W 2013 r. oprócz nagrodzonej książki opublikował również alternatywną historię Polski w formie eseju pt. „Rzeczpospolita zwycięska”. Jest autorem m.in. pierwszego w Polsce tłumaczenia „Upadku i demoralizacji na Derby Kentucky” Huntera S. Thompsona.